

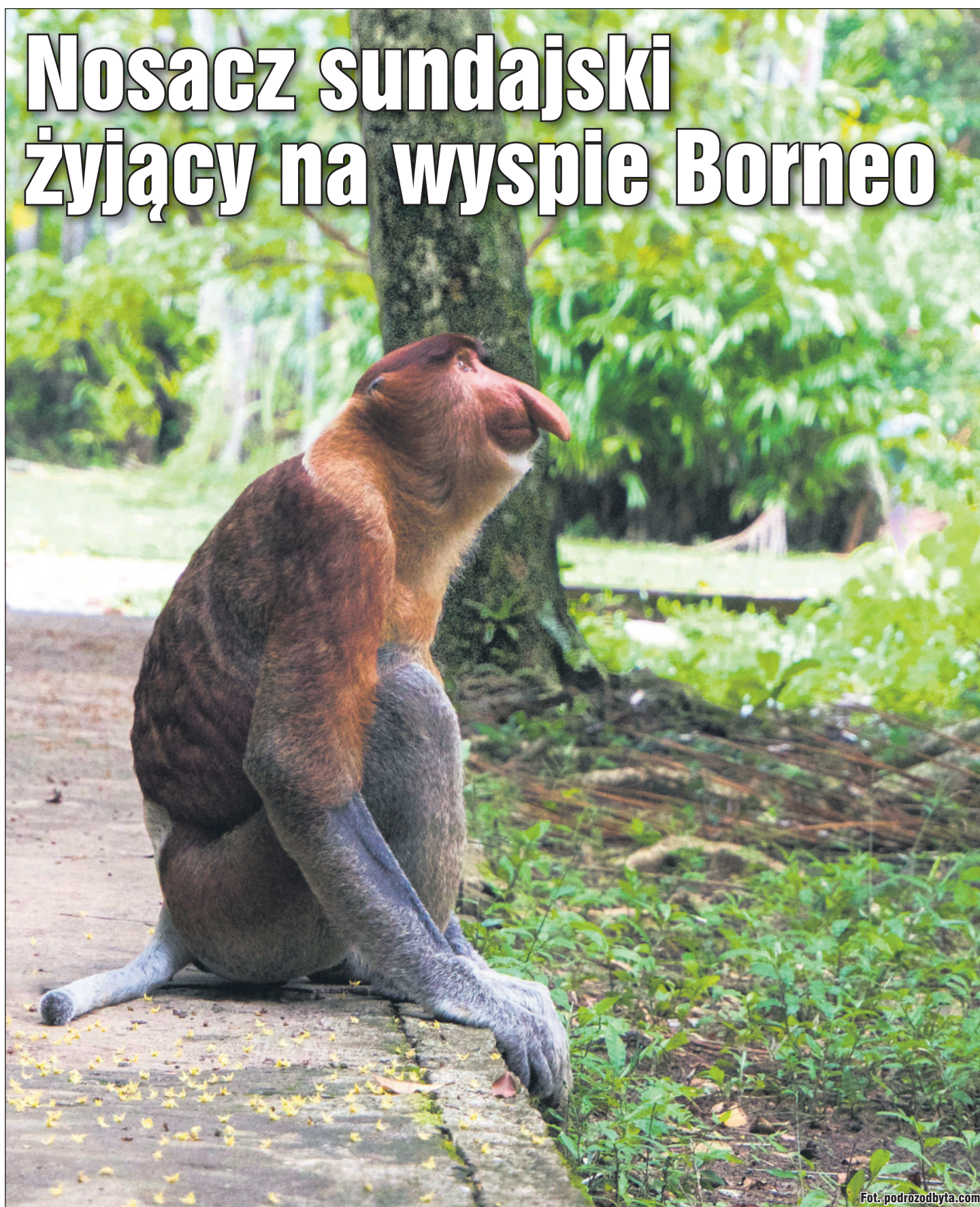
samo życie

Magazin auf Polnisch

nr 8 (643) – sierpień 2025

2,30 €

Nosacz sundajski żyjący na wyspie Borneo



Fot. podrozodbyta.com

Borneo to największa wyspa Archipelagu Malajskiego i Azji oraz trzecia pod względem wielkości wyspa na świecie. Część północna Borneo należy do Malezji, południowa do Indonezji a niewielki obszar między malezyjskimi stanami Sarawak i Sabah stanowi terytorium Brunei. Str. 16

Dalajlama



Jego następcę już czeka, ale... nie w Tybecie Str. 6



Aneta Lamik



Ultrakolarka, zwyciężczyni prestiżowego wyścigu Race Across America Str. 9



Neil Young



Ten uczestnik legendarnego festiwalu Woodstock 1969 skończy w tym roku 80 lat. Nic jednak nie wskazuje na to, aby mimo zaawansowanego wieku zamierzał przejść na emeryturę. Str. 17



Whoopi Goldberg



Jedna z najbardziej rozpoznawalnych twarzy amerykańskiej kultury, członkini elitarnego grona laureatów EGOT Str. 25



Aktualności

Stryczek dla zdrajcy?

Szerokim echem w mediach odbiły się słowa prezydenta Andrzeja Dudy, który w wywiadzie przeprowadzanym przez trzy konserwatywne media (były to: Otwarta Konserwa, Klub Jagielloński i Nowy Ład) powiedział, że ubolewa nad tym, iż dawno nikogo w Polsce nie powieszono.

Niedawno jeden człowiek powiedział do mnie bardzo brutalnie: „Wie pan, dlaczego w Polsce jest tyle zdrajców i warcholstwa bezczelnego? Ponieważ dawno nikogo nie powieszono za zdradę”.

W tych słowach jest prawda – tak wybrzmiały słowa głowy państwa. Ta wypowiedź została uznana przez wielu za szczególnie bulwersującą, ponieważ dotyczyła sędziów niepopierających pisowskiej reformy wymiaru sprawiedliwości.

Można powiedzieć, że w wypowiedzi prezydenta słyhać było tęsknotę, którą przejawiał jeden z współczesnych pisarzy najważniejszych dla obozu Prawa i Sprawiedliwości. Usunięty przez Barbarę Nowacką z listy lektur Jarosław Marek Rymkiewicz – autor nomen omen „Wieszania” – tak mówił o wydarzeniach 1989 roku: *Może winni*

są po trosze wszyscy Polacy – zamiast iść wtedy do urn, powinni wyjść na ulice, spać parę komitetów, postawić barykady i zatańczyć karmiole. Ofiary byłyby nieliczne, a wszyscy by się dowiedzieli, że w naszych dziejach nastąpiła wielka zmiana.

Tego entuzjazmu wobec mordu nie podzielali politycy, którzy wsłuchali się w słowa prezydenta:

To, że aż takie myśli przychodzi panu prezydentowi Dudzie do głowy, świadczy o tym, że w złej kondycji kończy swoją pracę, w złej kondycji psychicznej. Szkoda – ocenił Donald Tusk podczas konferencji prasowej.

Natychmiast odpowiedział mu Andrzej Duda: *Delikatnie przypominam Państwu z KO i ich medialnym akolitom, kto pierwszy, już jakiś czas temu, mówił o wieszaniu. To Wasz lider, a dziś premier Donald Tusk. Jakoś wówczas nie trzęśliście się z oburzenia – napisał prezydent na portalu X, czym nawiązywał do wypowiedzi Donalda Tuska, w której ten cytował wiersz Czesława Miłosza „Który skrzywdziłeś”.*

Z kolei europosłowi Krzysztofi Brejzie wypowiedź Dudy skomentowała się z Dalekim Wschodem:

Wyrzucić wszystkich sędziów bez prawa do emerytury to koncepcja PAD zapożyczona od Putina. Wieszanie „zdrajców” to już bliżej Korei Północnej, najlepiej w południe, publicznie, na placu, dzieci w pierwszym rzędzie, a zapadnię niech zwalnia najmłodszy stażem żołnierz. Kim Duda Sen – pisał na portalu X.

Uprzejmie informuję Pana Prezydenta Andrzeja Dudę, że – na dobre i na złe – Polska jest od 2000 roku związana protokołem nr 6 do konwencji Rady Europy o ochronie praw człowieka, który zniósł karę śmierci. MSZ nie przewiduje wypowiedzenia ani konwencji, ani protokołu – ironizował w swoim wpisie minister Radosław Sikorski.

Do sprawy odnieśli się też sami zainteresowani:

Jak to usłyszałem, to myślałem, że jest to jakaś prowokacja ze sztuczną inteligencją, bo nie wyobrażałem sobie, że prezydent RP może coś takiego powiedzieć. Tu jest i groźba karalna, i ten ton wypowiedzi po prostu skandaliczny – mówił Onetowi prof. Andrzej Zoll, były rzecznik praw obywatelskich i były prezes Trybunału Konstytucyjnego.

Zacznę od tego, że poziom tej wypowiedzi nie jest tym, na

jakim ja chciałbym podejmować jakąś polemikę. Natomiast na pewno trzeba te słowa potraktować jako wezwanie do hejtu i agresji pomiędzy poszczególnymi grupami społecznymi – przekazał, także Onetowi, prof. Marek Safjan, były sędzia unijnego Trybunału Sprawiedliwości i były prezes Trybunału Konstytucyjnego.

Krytycznie do słów prezydenta odnieśli się publicyści:

Wszystkim politykom, którym marzy się wieszanie za zdradę, w tym panu prezydentowi Andrzejowi Dudzie w szczególności, uprzejmie przypominam, że niekoniecznie musieli być po stronie oceniających, kto zdradził, lecz mogliby pechowo trafić na czas bycia ocenianymi – zauważył dziennikarz Wirtualnej Polski Patryk Słowik.

Historyczną genezę niechęci środowiska PiS i samego prezydenta do sędziów przedstawił w „Polityce” Jan Hartman:

Chodzi bowiem o starą, sięgającą wieku XIX mitologię patriotyczną, której negatywnym bohaterem był zdraźciecki albo po prostu obcy, reprezentujący wrogie imperium sędzia. Byli źli sędziowie skazujący powstańców na zsyłki, a wśród nich byli też sędziowie narodowości polskiej. To bolało. W II RP też nie brakowało usługujących sędziów zamykających przeciwników sanacji

w twierdzeniach. Po drugiej wojnie światowej było jeszcze gorzej (...).

Prezydent-upadka, prezydent-filister. Straszna to była dekada, poprzeczka dla następcy wisi naprawdę bardzo nisko. A istnieją realna obawa, że nowy prezydent i tak do niej nie doskoczy – podsumowywał w „Newsweeku” redaktor naczelny Michał Szadkowski.

Co ciekawe, od słów Dudy dystansowali się niektórzy politycy PiS.

Pytany o słowa prezydenta przez TVN24 Przemysław Czarnek powiedział, że to jest kwestia pewnego stylu i pewnego opowiadania rzeczywistości. Być może ja ująłbym to inaczej.

W podobnym tonie wypowiedział się poseł Michał Wójcik, który sugerował dziennikarzom Polsatu, że słowa Andrzeja Dudy były metaforą:

– Wymiar sprawiedliwości miał się sam oczyścić, a się nie oczyścił. Ja bym inaczej dobiebrał słowa. Trudno mi się podpisać pod tym zdaniem.

Na prawicy nie zabrakło jednak postaci, które zachwyciły się pomysłem prezydenta:

Podzielał tę refleksję doświadczony polityk – napisał na X szef Ordo Iuris Jerzy Kwaśniewski.

JAN ROJEWSKI
Angora 29/2025

Po raz pierwszy od 11 lat Parlament Europejski głosował nad wnioskiem o odwołanie szefa Komisji Europejskiej

Czas odejść?

Od objęcia urzędu w grudniu 2019 roku Ursula von der Leyen nigdy nie stanęła przed głosowaniem w sprawie wotum nieufności. Chociaż różne grupy w parlamencie groziły wnioskami w takich kwestiach, jak naruszenia praworządności na Węgrzech i w Polsce, przejrzystość umów dotyczących szczepień czy zarządzanie migracją i operacjami Frontexu przez Komisję, żadna z nich nie zyskała wystarczającego poparcia, aby kontynuować prace. Tym razem przeciwnikom przewodniczącej KE udało się doprowadzić sprawę do końca.

Wniosek zainicjował Gheorghe Piperea, europoseł z Rumunii,

wiceprzewodniczący grupy Europejskich Konserwatystów i Reformatorów (ECR), do której należy również Prawo i Sprawiedliwość. Jako powód podał aferę Pfizergate ciągnącą się od czterech lat. Wybuchła po ujawnieniu przez „The New York Times” informacji o wymianie SMS-ów między von der Leyen i prezesem firmy farmaceutycznej Pfizer Albertem Bourlą, tuż przed zakupem przez Unię szczepionek Pfizera przeciwko COVID-19. Zakontraktowano ich za dużo, a Unia bez powodzenia wciąż próbuje negocjować warunki tamtego kontraktu. Treści SMS-ów von der Leyen nie ujawniono. Komisja Europejska stwierdziła,

że ich nie posiada. Nie pomógł nawet Sąd Unii Europejskiej, który uznał oświadczenie KE za niewiarygodne i nakazał wiadomości odtajnić. Sygnatariusze wniosku uważają, że von der Leyen dopuściła się braku przejrzystości, ale mają też inne powody, by domagać się zakończenia jej sześciolletnich rządów. Wysunęli zarzut o ingerencji KE w rumuńskie wybory oraz pominięcie Parlamentu Europejskiego przy organizowaniu wspólnych unijnych pożyczek na obronność. Wniosek podpisało 77 europosłów z trzech ugrupowań: ECR, Patriotów za Europą (PFE) i Europa Suwerennych Narodów (ESN). – To początek końca – oznajmił Piperea podczas prezentacji wniosku w poniedziałek 7 lipca.

Ursula von der Leyen odniosła się do zarzutów, mówiąc, że afery Pfizergate to teoria spiskowa stworzona przez antyunijne siły dążące do podzielenia Europy, zwolenników wniosku nazwała antyszczepionkowcami i apologetami Putina, zaś sam wniosek,

jej zdaniem, jest *wzięty żywcem z najstarszego podręcznika ekstremistów*. Za wotum nieufności dla szefowej KE mocno lobbował węgierski premier Viktor Orbán. Dzień przed głosowaniem na swoim koncie na platformie X opublikował grafikę przypominającą okładki „Time’a” – przewodnicząca KE na czerwonym tle wychodząca z kadru i napis: *Time to go* (Czas odejść). To był odwet za podobny obrazek z tym samym hasłem, ale z wizerunkiem Orbána, jaki w ubiegłym roku zamieściła na Facebooku Europejska Partia Ludowa, ugrupowanie von der Leyen.

Głosowanie nad przyszłością przewodniczącej, a tym samym całej Komisji Europejskiej odbyło się 10 lipca. Za odwołaniem opowiedziało się 175 posłów, 360 było przeciwko, 18 wstrzymało się od głosu. Ursula von der Leyen uratowała stanowisko, lecz wizerunek szefowej bardzo ucierpiał. Głosów przeciwko jej przywództwu jest coraz więcej. Nie tylko wśród prawników.

Lewica w głosowaniu poparła ją jedynie warunkowo. Jednym z głównych ich zarzutów jest to, że obóz przewodniczącej coraz bardziej łączy siły ze skrajną prawicą, przede wszystkim w celu wycofania przepisów dotyczących ochrony środowiska. Francuska europosłanka Valérie Hayer, liderka centrowej grupy Odnówmy Europę, mówi o obecnej Komisji: *Zbyt scentralizowana i sklerotyczna*. Profesor prawa UE Alberto Alemanno uważa, że próba odsunięcia von der Leyen *wypukła wiele niedociągnięć, na które media i obserwatorzy polityki zwracali uwagę już od pewnego czasu – jej styl prezydencki, centralizację władzy i jej nieprzejrzystość (...). Nie wyjdzie stąd wzmacniona (...). Presja, by pociągnąć ją do odpowiedzialności, będzie tylko rostała. (EW)*

Na podst.: *The Journal, Hungarian Conservative, Euronews, France24, Anadolu Ajansı*
Angora 29/2025

„Samo Życie” – Pismo dla wszystkich i o wszystkim w języku polskim.

Miesięcznik. Redaguje zespół. Redaktor naczelny (Chefredakteurin): Barbara Winterberg

Redaktor „magazynu”: Janusz Glanc-Szymański. Odpowiedzialny w rozumieniu prawa (V.i.S.d.P.): Marius Matuszczyk

Druk: Rheinische DruckMedien, Düsseldorf

Wydawca: Verlag Matuszczyk KG, Luisental 2, 51399 Burscheid, tel. 02174 / 8964480, fax 02174 / 8964456, redakcja@samo-zycie.com

Nie zwracamy niezamówionych materiałów. Zastrzegamy sobie prawo skrótu nadsyłanych tekstów. Teksty podpisane przez autorów nie muszą odpowiadać poglądom redakcji. Zamieszczone teksty podlegają prawu autorskiemu. Przedruk jedynie za zgodą redakcji. Za treść ogłoszeń i reklamy wydawnictwo i redakcja nie ponoszą odpowiedzialności.

NIK chce komisji śledczej w sprawie afery GetBack

Największa afera finansowa z czasów rządów PiS wraca w raporcie Najwyższej Izby Kontroli. NIK zarzuca organom państwa, że zostawiły na lodzie 9 tys. klientów, którzy stracili ponad 3 mld zł na obligacjach spółki GetBack.

„Przypominam sobie prawdopodobnie jedną rozmowę z panem Mariuszem Kamińskim [szefem MSWiA i koordynatorem służb specjalnych] i tylko z nim (...), ale to już było w okolicach maja, gdy mleko się rozlało, czyli wiadomo było, że jest niedobrze (...). Opo- wiadałem o tym, że wiele osób jest oszukanych, że warto jest podejmować wszystkie możliwe działania, ale co mówił pan Kamiński wtedy, to nie pamiętam” – to ujawniony przez NIK fragment zeznań byłego premiera Mateusza Morawieckiego przed inspektorami prowadzącymi kontrole w sprawie afery GetBack.

Morawiecki działał nie pamięta

Z tego, co mówi były szef rządu, wynika, że – mimo publicznych deklaracji – nie interesował się losem ludzi, którzy w GetBacku ulokowali oszczędności swojego życia. W swoich zeznaniach Morawiecki przyznaje, że nie rozmawiał o aferze z przewodniczącym Komisji Nadzoru Finansowego Markiem Chrzanowskim – choć ten miał dla niego raporty w tej sprawie. Z Jackiem Jastrzębskim, następcą Chrzanowskiego w KNF (który musiał odejść z powodu zarzutów korupcyjnych), Morawiecki pamięta, „rozmowy, gdzie prosiłem go zawsze o profesjonalne prowadzenie tej sprawy razem ze służbami i to działa się gdzieś od 2019 roku”. Zaraz potem Morawiecki mówi, że żadnych działań ze strony służb (które jako premier nadzorował) „nie pamięta”.

NIK ujawnił też zeznania Jastrzębskiego. Wynika z nich, że „KNF nie ustalił wartości majątku spółki [GetBack]”. Na pytanie, „czy KNF zajmował stanowisko w zakresie dokonania zmiany propozycji układowych”, Jastrzębski odpowiada: „Według mojej wiedzy nie zajmowałem, bo nie był uczestnikiem tego postępowania”.

Tymczasem na przestrzeni kilku miesięcy od wiosny 2018 r. do stycznia 2019 r. obligatariusze GetBacku w ramach postępowań układowych byli stawiani przed faktami dokonanymi, tracąc perspektywę na odzyskanie pieniędzy. Początkowo dostali propozycję zwrotu 65 proc. kapitału, ale



Bogdan Święczkowski, ówczesny prokurator krajowy, osobiście nadzorował śledztwo w sprawie GetBack

Fot. Piotr Nowak/PAP

ostatecznie stanęło na 25 proc. płatnych przez 8 lat w ratach, bez odsetek. Dziś oceniają to na „nie więcej niż 5 proc. zainwestowanych pieniędzy”.

Wierzyciele mogli odzyskać pieniądze?

Z ogłoszonego we wtorek raportu NIK można wyciągnąć wniosek, że zarówno przed wybuchem afery GetBack, jak i po jej wybuchu i serii aresztowań organy państwa nie skupiły się na zabezpieczeniu pieniędzy spółki. Na konferencji usłyszeliśmy nawet, że „wierzyciele mogli zostać zaspokojeni w 100 proc.”. Tymczasem GetBack działał w sposób podobny do piramid finansowych i wiosną 2018 r. stracił płynność.

Przypomnijmy: GetBack był spółką zajmującą się skupowaniem i odzyskiwaniem wierzytelności, przede wszystkim banków, ale też drobniejszych instytucji (telekomy, sieci kablowe). W latach 2016–2017 zdobył rynek, kupując ogromne pakiety niespłaconych pożyczek od banków prywatnych i państwowych. Płacił za nie znacznie więcej niż konkurencja, kupując nawet kredyty przeterminowane, niemożliwe do odzyskania. W 2017 r. GetBack wszedł na Giełdę Papierów Wartościowych, gdzie został ogłoszony „najbardziej udanym debiutem roku”. Spółka cieszyła się wsparciem mediów, zwłaszcza prorządowych, które finansowała poprzez reklamy i nagrody dla czołowych polityków PiS, jak Jarosław Kaczyński czy Mateusz Morawiecki. Klientom sprzedawała obligacje jako „pewny produkt” ze znacznie wyższą niż u konkurencji stopą zwrotu.

Złapało się na to ponad 9 tys. osób. W kwietniu 2018 r. GetBack ogłosił nagle, że dostanie dofinansowanie 250 mln zł z PKO BP i Polskiego Funduszu Rozwoju. Obie instytucje natychmiast zaprzęczyły. Notowania spółki na giełdzie zawieszono, a KNF złożył do prokuratury zawiadomienie

o przestępstwie. Na oskarżenia o bezczynność państwa i brak kontroli nad spółką prokuratura zareagowała serią aresztowań osób z zarządu GetBacku oraz sprzedawców obligacji. Zarząd oskarżono m.in. o to, że kupował po znacznie zawyżonych cenach udziały w instytucjach finansowych. Ale klienci domagali się swoich pieniędzy, a z tym był problem. GetBack bowiem nie upadł, lecz został przejęty przez spółkę Capitea. I to ona negocjowała (i negocjuje do dzisiaj) warunki spłaty. Ona też dysponuje majątkiem dawnego GetBacku.

„Dajcie nazwiska”

W tym zakresie ustalenia NIK są szokujące. Przesłuchiwanie przez inspektorów prokuratury twierdzą, że śledztwo było ręcznie sterowane przez Prokuraturę Krajową i osobiście przez jej szefa Bogdana Święczkowskiego.

„Przekazywałam materiały, których Prokuratura Krajowa po prostu sobie życzyła w ramach nadzoru. Na pewno były to też protokoły przesłuchań. Co się z nimi działo potem, nie wiem” – mówiła jedna z prokuretek.

„Było wyartykułowane oczekiwanie, że ja mam do piątku zebrać materiał, który pozwoli na przedstawienie takich zarzutów, aby mogły skutkować skierowaniem wniosku o zastosowanie tymczasowego aresztowania. Ja powiedziałam, że nie widzę takiej możliwości, że przesłucham określonych świadków i będę weryfikować materiał, ale nie widzę możliwości, żebym po prostu te zarzuty postawiła. [...] nie zamierzałam robić niczego, co nie wynika z materiału dowodowego” – zeznaje ta sama osoba.

Inna prokuratorka mówi: „Nie badałam przesłanek wszczęcia postępowania. Informacja na temat utraty płynności dłużnika była ogólnie dostępna. Nie badałam, czy wszczęcie postępowania było zasadne. [To że] GetBack był piramidą finansową, to była

informacja publiczna, medialna, na niej się opierałam, a także na zawiadomieniu KNF”.

Urzędnik KNF opisuje wizytę, jaką w Komisji złożył Święczkowski z grupą prokuratorów PK w sierpniu 2018 r. To podczas tej wizyty Święczkowski miał powiedzieć: „Dajcie nam nazwiska, a my już będziemy z nimi robić swoje”. Jak wspomina urzędnik: „Spotkanie było z inicjatywy prokuratora krajowego. Zawiadomienia mieliśmy kierować do wiadomości Prokuratury Krajowej”. Urzędnik zaznacza: „Nie pamiętam, by w jakiegokolwiek innej sprawie w KNF miało miejsce spotkanie z prokuratorem krajowym”.

Jak podaje NIK, gdy prokuratorzy nie poddawali się naciskom, PK powołała nowy zespół. Ten przeprowadził zatrzymania i wystąpił o aresztowania zarówno wobec członków zarządu GetBacku, jak i wobec prezesa Funduszu Altus Piotra Osieckiego.

Tajemniczy wątek

Raport NIK wychodzi poza początki afery GetBacku i dowodzi, że państwo w tej sprawie nie działało w interesie pokrzywdzonych. Ale NIK nie przedstawia dowodów, że wiosną w GetBacku były pieniądze, jakimi można było zaspokoić roszczenia. Prawdą jest, że prokuratura nie wystąpiła o realną wycenę wartości pakietów wierzytelności skupionych przez GetBack. O tym, że mają one jednak jakąś wartość, świadczy, że Capitea – następca prawny GetBacku – wciąż prowadzi z nich windykacje.

W wypowiedziach na konferencji pojawił się też tajemniczy wątek „powiązań prokuratorów z GetBack”. NIK zapewnia, że ma „listę powiązań pomiędzy prokuratorami, urzędnikami KNF, osobami z GetBack i osobami biorącymi udział w postępowaniu układowym”. Nie chce jednak podać tu żadnych szczegółów. Nawet tego, czy ma to charakter konfliktu interesów, czy wręcz korupcyjny.

Według NIK 7,5 roku po wybuchu afery organy ścigania wciąż nie spełniły swojej roli. Jak czytamy w podsumowaniu raportu, „biorąc pod uwagę skalę ujawnionych nieprawidłowości w funkcjonowaniu najważniejszych organów państwa mających wyjaśnić aferę GetBack”, NIK widzi potrzebę powołania sejmowej komisji śledczej w tej sprawie, gdyż aparat państwa przez ponad siedem lat nie był w stanie wyjaśnić tej afery w interesie tysięcy pokrzywdzonych obywateli, ale także w celu zapewnienia bezpieczeństwa funkcjonowania rynku finansowego i pozostawał całkowicie bierny na krzywdę ponad dziewięć tysięcy obligatariuszy, którzy w dobrej wierze nabywali obligacje korporacyjne”.

WOJCIECH CZUCHNOWSKI
Angora 29/2025

Dokąd iść?

Według badania zleconego przez Ministerstwo Pracy, Rodziny i Polityki Społecznej w ubiegłym roku naliczono w Polsce 1022 bezdomnych młodych ludzi w wieku 18 – 25 lat. W 2019 roku podobne badanie pokazało liczbę 784. Obie wielkości są mocno niedoszacowane, mówi posłanka Marcelina Zawisza z partii Razem. – *Uwzględnione są tylko osoby, które w tę konkretną zimową noc, gdy odbywa się liczenie, przebywają w noclegowniach czy schroniskach, ewentualnie w miejscach znanych spisującym, jak pustostany albo altany na działkach. A młodzi bezdomni są kreatywni w wyszukiwaniu noclegów. Śpią na przykład w autobusach, jak Przemek. Matka z pomocą konkubenta wyrzuciła go z domu. Dosłownie. Razem z partnerem otworzyli drzwi wejściowe, popchnęli 19-latkę na korytarz i zamknęli drzwi (...). Przemek skończył liceum. Matka dała mu miesiąc na podjęcie pracy. Nie podjął. Jest w spektrum autyzmu. O emocjach mówi niechętnie. Ale z pierwszej nocy mało kto pamięta emocje. Skrupiasz się na tym, dokąd możesz iść (...). Pojeździł autobusami, dotarł do kolegi. Jedną noc przespał u niego, potem znowu jeździł. Sebastiana po śmierci mamy wychowywała babcia. To był tzw. porządną dom, ale on zaczął eksperymentować z narkotykami. Po maturze wyjechał do pracy do Holandii i całkiem się pogryzł. Wrócił do kraju całkowicie uzależniony. Rodzina się go bała. Nocował w ruderach wśród stosów desek i gnijących kanap. Ola też miała dom. Rodzice kazali z domu wyp...ć, gdy skończyła 16 lat. Radziła sobie, nawet nikt nie zauważył, że jest bezdomna. Chodziła do szkoły, zarabiała w gastronomii, spała u koleżanek, potem zamieszkała z chłopakiem. Okazał się przemocowcem. Gdy wybuchła pandemia, zaczęła pracę w domu seniora, z zamieszkaniem. Ale praca tam nie kończyła się nigdy. Próbowala negocjować warunki, znowu kazano jej wyp...ć. Agnieszka Sikora, założycielka Fundacji po DRUGIE, opowiada, że rodziny coraz częściej chcą zepchnąć problemy z dziećmi na kogoś, kto je naprawi. Przychodzą i mówią: – On w domu nie robił nic, tylko się szlał z menelami; zajmijcie się nim, bo jest niedobry. A to 19-latek z niepełnosprawnością umysłową i problemami zdrowotnymi psychicznego. I nigdy nie był leczony. Bywa, że taka matka przyjeżdża później do ośrodka wypasionym autem, ubrana w futro i nie obchodzi jej, za czyje pieniądze utrzymywane jest jej dziecko.*

Wybrała i oprac. E.W.
Angora 29/2025

Nowi, ale czy lepsi?

W ciągu kilku tygodni ma dojść do rekonstrukcji rządu Donalda Tuska

Gorące krzesła

Przyjrzelśmy się ministrom, o których najczęściej mówi się w kontekście dymisji, po czym oceniliśmy, czy rzeczywiście powinni odejść.

Gruntowne zmiany w rządzie, które od wielu tygodni zapowiada Donald Tusk, mogą być nie- zwykłe trudną operacją. Premier musi nie tylko przekonać pozosta- łych liderów koalicji, którą tworzą cztery ugrupowania, a każde z nich chce zachować swój stan posiadania. W sytuacji, w której Tusk chce zredukować liczbę resortów, negocjacje mogą się nie tylko mocno przeciągać, ale też stanowić kolejny element osłabiający spójność obozu władzy, będącego dziś w głębokiej defensywie.

Chaos kulturalny

Najłatwiej będzie wymienić ministrów rekomendowanych przez Koalicję Obywatelską. Tu pierwsza do zwolnienia jest mini- stra kultury Hanna Wróblewska, która sama nosi się z zamiarem odejścia, mając dość politycznych przepychanek. Faktem jest, że trafiła do specyficznego resor- tu, naznaczonego gwałtownym przejęciem mediów publicznych, a następnie postawieniem ich w stan likwidacji przez poprzed- nika Wróblewskiej, Bartłomieja Sienkiewicza. Do tej pory ich sta- tus się nie zmienił, dalej podpo- rządowane są politykom – i to pierwszy zarzut, jaki można postawić ministrze kultury, któ- ra zresztą była eksperymentem. Wróblewska nie pełniła w przeszłości żadnych funkcji

politycznych, ale działała ostro, przez co oskarżano ją o czystki personalne. Najczęściej wymie- niane w tym kontekście przy- padki to dymisje Roberta Kostro w Muzeum Historii Polski, Jana Englerta w Teatrze Narodowym czy Waldemara Dąbrowskie- go w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej. Kontrowersyjne były też okoliczności odejścia dyrek- torki PISF Karoliny Rozwód.

Spora jest oczywiście lita- nia zarzutów formułowanych przez opozycję, np. byłego mini- stra Piotra Glińskiego. Więk- szość z nich jest motywowana politycznie, ale duże wątpliwo- ści pozostawia odstępianie od budowy nowego gmachu Naro- dowego Muzeum Techniki (wraz z Muzeum Historii Naturalnej) na błoniach Stadionu Narodowe- go, a także rezygnacja z budo- wy Polskiej Opery Królewskiej czy opóźnienia w procesie roz- budowy Muzeum Narodowego w Warszawie. Głównym powo- dem były tu obiektywne ograni- czenia finansowe, ale i te zdaniem PiS traktowano instrumental- nie. Gliński przywołuje w roz- mowie z nami sytuację ze swo- jej kadencji, gdy okazało się, że koszty budowy Muzeum Getta Warszawskiego przewyższają te określone w rozstrzygniętym przetargu, a on polecił mimo to kontynuować inwestycję. Hanna Wróblewska w ostatnich dniach zaprezentowała na konferencji prasowej swój dorobek, co zosta- ło odebrane jako forma pożeg- nania. Wymieniła m.in. usta- wę o zabezpieczeniu socjalnym

dla osób wykonujących zawód artysty, ustawę o muzeach oraz zagwarantowanie twórcom pra- wa do wynagrodzenia z tytułu tantiem z internetu. Wśród jej następców w politycznych kula- rach wymienia się obecną mar- szalek Senatu Małgorzatę Kida- wę-Błońską oraz wiceministra kultury Macieja Wróbla.

Nowacka na czele listy

Ministry Wróblewskiej nie ma w rankingach najgorzej ocenia- nych i najmniej popularnych człon- ków rządu, może z uwagi na jej małą rozpoznawalność. W son- dażach tych na czele jest zazwy- czaj ministra edukacji Barbara Nowacka. Pretekstem do jej dymi- sji może być ponowne połączenie MEN z resortem nauki i szkol- nictwa wyższego, co jest jedną z rozważanych koncepcji. Nowa- cka to bliska współpracownicz- ka Rafała Trzaskowskiego, któ- ra po jego porażce w wyborach prezydenckich znalazła się na indeksie jako współwinna prze- granej. Na podobnej zasadzie miałyby zostać zlikwidowane Ministerstwo Sportu, kierowane przez Sławomira Nitrasa, kolej- nego winnego wyborczej klęski. Jego resort ma być połączony albo z kulturą, albo z MEN. W KO są zarazem zwolennicy pozosta- wienia Nitrasa w rządzie, choć- by w roli wiceministra, by „nie miał czasu na knucie w partii”.

Nowacka przez półtora roku urzędowania nie zyskała punk- tów ani w świecie polityki, ani pośród edukacyjnych ekspertów. Budowaniu pozycji w MEN nie pomogła jej zapewne konstruk- cja tego resortu: na stanowiskach wiceministrów zasiadły mocne i temperamentne przedstawici- elki Nowoczesnej (Katarzyna Lubnauer) i Polski 2050 (Joan- na Mucha), było więc do prze- widzenia, że dojdzie tu do spięć. Niedawna rezygnacja Muchy potwierdza, że taka konstrukcja poczyniła w MEN więcej szkód niż pożytków.

Nowacka podpadła też niemal od początku środowisku oświa- towemu. Po pierwszych sukce- sach w rodzaju 30-procentowych podwyżek dla nauczycieli czy odwołania niesławnej małopols- kiej kuratorki Barbary Nowak – zaczęły się kręte i strome scho- dy. Najpierw była spektakularna wpadka z ograniczaniem zadań domowych. Nie dlatego, że leżą- ca u źródeł tej zmiany diagnoza – przemęczenie uczniów – oka- zała się niesłuszna. Nowacka nie doceniła faktu, że jej decyzja będzie krytykowana za to samo, co robił Przemysław Czarnek – za zbyt duże zapędy do centralizo- wania oświaty i wydawanie decy- zji bez konsultacji z ekspertami i doświadczonymi pedagogami. A to przecież KO obiecywała więk- szą autonomię szkół i nauczy- cieli, czego arbitralny dekret o ograniczeniu prac domowych



był doskonałym zaprzeczeniem. W dodatku szybko stało się jasne, że podwyżka dla nauczycieli to widowiskowy epizod – relatyw- nie wysokie pensje zaczęły się rychło dewaluować ekonomicz- nie (za sprawą inflacji), a jeszcze szybciej politycznie. Smutną tego puentą są wrogie pomruki władz ZNP, który od miesięcy domagał się wprowadzenia mechanizmu stałej waloryzacji pensji, a wobec braku reakcji rządu zaczął ostat- nio grozić akcją protestacyjną.

To wszystko nie oznacza, że Nowacka odejdzie z MEN – o ile ta dymisja stanie się faktem – bez sukcesów. Poza mimo wszystko lepszą atmosferą wokół oświaty niż za PiS, do katalogu jej osią- gnięć można dodać uporządkowa- nie kwestii religii. Niezależnie od tego, co sądzi społeczeń- stwo o katechezie w murach szkół, Nowacka zrobiła z grub- sza to, co obiecała. Okroiła pulę finansowanej z podatków religii do jednej godziny tygodnio- wo, a dodatkowo – co ważne dla dzieci na katechezę nieuczęsz- czających – wprowadziła nakaz prowadzenia tej lekcji tylko na początku i na końcu dnia nauki, jak przystało na przedmiot nie- obowiązkowy.

Bodnar nie dał rady

Za Nowacką w rankingu nie- popularnych ministrów plasuje się szef resortu sprawiedliwo- ści Adam Bodnar. Jego dymisji domaga się nie tylko opozycja, ale też przewodniczący sejm- owej komisji sprawiedliwości Paweł Śliz z Polski 2050, a nawet część klubu KO.

Trzeba przyznać, że minister miał od początku bardzo trud- ną sytuację, bo trafił na sferę wyjątkowo zepsutą przez rzą- dy PiS. Bodnar nie może się jed- nak pochwalić zbyt dużym dorob- kiem w jej naprawianiu. Do dziś nie powstał projekt ustawy roz- dzielającej urząd ministra spra- wiedliwości i prokuratora gene- ralnego. Do Sejmu nie trafił też żaden projekt ustawy o Sądzie Najwyższym czy też regulujący status tzw. neosędziów. Po wie- lu miesiącach prac w resorcie

powstały dwa konkurencyjne projekty i na tym się skończyło.

Bodnar starał się godzić ogień z wodą. Z jednej strony chciał być legalistą i unikać dróg na skróty, przez co narażał się na zarzuty zbyt powolnych rozliczeń z PiS. Z drugiej, po pozbawieniu za pomocą kruczka prawnego funkcji prokuratora krajowego Dariusza Barskiego i tak stał się dla PiS wrogiem numer jeden. Nie powiedły się też jego stara- nia, by nadać ustawie o KRS taki kształt, by mógł ją podpisać pre- zydent Andrzej Duda. Ta sprawa pokazuje zresztą najlepiej sytuację Bodnara – w związku z ustawą o KRS (m.in. popraw- ką dającą bierne prawo wyborcze neosędziom) został zaatakowa- ny z jednej strony przez własne, radykalne zaplecze, a z drugiej – oferty kompromisu nie przy- jął sam Duda.

Jednak za najbardziej symbo- liczną porażkę resortu uchodzi fakt, że nie udało się skutecz- nie zatrzymać zamieszanego w aferę Funduszu Sprawiedli- wości posła PiS Marcina Roma- nowskiego (do dziś przebywa na Węgrzech) – nadzorowana przez Bodnara prokuratura nie zadbała o pozbawienie go immu- nitetu Zgromadzenia Parlamen- tarnego Rady Europy.

Zdrowie w ruinie, nauka w skandalach

W rankingach równie nega- tywnie jak Bodnar oceniana jest Izabela Leszczyna, szefa- wa resortu zdrowia z KO. Fak- tem jest, że funkcja ta uchodzi za straceńczą misję i tylko nie- liczni wychodzą z tego doświad- czenia z tarczą. Leszczyna jak na warunki, w których przyszło jej pracować, i tak długo utrzymu- je się na powierzchni. W ochronie zdrowia od roku trwa potęż- ny kryzys finansowy, którego Donald Tusk nie dostrzega, a jeśli dostrzega – ignoruje, pozwa- lając na zasilanie budżetu NFZ kropłówkami (choć licznymi w miliardach złotych). Nie tylko opozycja, lecz także eksperci ds. ochrony zdrowia mówią o liczo- nej w setkach miliardów złotych



luce, ale Leszczyna musi radzić sobie z tym, co ma, i co odziedziczyła po rządach PiS. Problem goni dziś problem, a Leszczyna zamartwia się, ilu miliardów złotych zabraknie na podwyżki dla medyków (ustawa odziedziczona po PiS, bardzo kosztowna), a ilu – na leczenie pacjentów onkologicznych. Oszczędności resortu szuka w inwestycjach, więc do listy problemów za chwilę trzeba będzie dopisać brak nowoczesnych szpitali.

Specyficzna jest sytuacja w resorcie nauki i szkolnictwa wyższego, którym kieruje przedstawiciel lewicy. Trwa tam ostry konflikt ze środowiskiem naukowym, którego poprzednie kierownictwo – minister Dariusz Wiczorek i jego zastępca Maciej Gdula – nie potrafili rozwiązać. Wręcz go zaognili, forsując kontrowersyjny projekt ustawy o PAN, odbierający mu częściowo autonomię. Obecnie zarządzająca resortem dwójka: minister Marcin Kulasek i wiceminister Karolina Ziolo-Pużuk, nie generuje już takich konfliktów. Przygotowany został nowy, kompromisowy projekt ustawy o PAN, ale resort nie potrafi jeszcze uporać się z innymi problemami odziedziczonymi po epoce Czarnka. Choćby wprowadzić nowy system ewaluacji nauki, a co za tym idzie jej finansowania. Nadal obowiązuje mocno krytykowana lista czasopism, za publikacje w których przyznawane są punkty – po wyborach w 2023 r. została tylko trochę zmodyfikowana.

Wciąż nie udało się też rozwiązać problemu powstałego po głośnym odwołaniu szefa ośrodka badawczego IDEAS w Narodowym Centrum Badań i Rozwoju, dr. hab. Piotra Sankowskiego. Nic na razie nie wyszło z nowego instytutu, zajmującego się sztuczną inteligencją, na którego czele miał stać (trochę w ramach ucieszenia skandalu) Sankowski, a który szumnie zapowiadał jeszcze minister Wiczorek.

Wciąż nie wiadomo nawet, czy w ramach rekonstrukcji i odchudzania rządu zostanie zrealizowana koncepcja ponownego połączenia nauki i szkolnictwa wyższego z edukacją. Jeśli tak by się stało, przedstawiciele lewicy twardo zapewniają, iż będą walczyć, by na czele nowego MEiN stał ich człowiek.

Kloska w dół, Domański w górę

Bardzo często w kontekście dymisji wymieniane jest nazwisko minister klimatu i środowiska Pauliny Hennig-Kloski z Polski 2050. Nie potrafi porozumieć się z koalicyjnymi zastępcami i już nawet politycy Polski 2050 przestali jej bronić. Jednak Hennig-Klosce po wielu miesiącach udało się w końcu sfinalizować liberalizację ustawy o wiatrakach

– notabene z poprawką zamrażającą do końca roku ceny energii, co zostało zinterpretowane jako „pułapka” na niechętnego wiatrakom prezydenta Dudę.

Wiele wskazuje na to, że ustawa to swoisty testament Hennig-Kloski. Jej resort ma być według jednej z koncepcji „odchudzania” rządu rozczłonkowany i część kompetencji związanych z energetyką przekazana do nowego resortu „gospodarki”. Hennig-Kloska raczej już tam nie trafi; pojawia się za to nazwisko obecnej rzeczniczki marszałka Szymona Hołowni Katarzyny Karpy-Swiderk. W przypadku powstania nowego superresortu gospodarczego nadzór nad nim premier Tusk ma powierzyć ministrowi finansów Andrzejowi Domańskiemu (jako kolejnemu wicepremierowi). Jest on zresztą bodaj jedynym ministrem, który z rekonstrukcją wyjdzie wzmocniony.

Domański odnalazł się bowiem bez większych trudności w roli rządowego księgowego, który pilnuje kasy, nie pchając się przy tym do przodu w rządowych ławach. Ci, którzy liczyli, że wzorem poprzedników z wcześniejszych rządów Platformy będzie dążył do redukcji wydatków publicznych, mogą jednak czuć zawód. Domański raczej stosuje taktykę wspierania rozwoju gospodarki transferami z budżetu. Nie jest też typem ministra finansów, który swoją rolę rozumie głównie jako temperowanie konsumpcyjnych apetytów kolegów z rządu. Jest raczej kimś w rodzaju „fundaisera”, który w różnych miejscach zdobywa finanse na realizację rządowych planów. A to oznacza, iż obecny rząd świadomie realizuje strategię poprzedników, którzy odrzucili utrzymywanie w ryzach długu publicznego dla samej higieny finansów publicznych. W efekcie rządu Tuska są de facto kontynuacją „rozdawnictwa” – jak o polityce rządu PiS, opartej na dużych transferach socjalnych, mówili sami politycy PO.

Koalicyjna rafa

Na stanowisku pozostanie zapewne wysoko oceniany Tomasz Siemoniak, choć według niektórych informacji nie można wykluczyć powrotu do MSWiA Marcina Kierwińskiego, którego rola jako likwidatora skutków powodzi się skończyła. Wtedy Siemoniak wróciłby do roli ministra-koordynatora służb. Inna rozpatrywana wersja to Kierwiński jako szef Kancelarii Premiera; obecnie nią kierujący Jan Grabiec miałby stać na czele resortu aktywów państwowych (...).

PIOTR ŚMIŁOWICZ
Współpraca:
MAREK RABIJ
MAŁGORZATA SOLECKA
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
Angora 29/2025

Skandal z wyborem sędziów Trybunału Konstytucyjnego

Niemiecki parlament miał wybrać 11 lipca trzech sędziów Trybunału Konstytucyjnego. Niespodziewanie jednak wybory zostały przełożone. W historii Bundestagu po raz pierwszy zdarzyło się coś takiego. Koalicja chadeków i socjaldemokratów kanclerza Friedricha Merza stanęła w obliczu poważnego kryzysu. Także autorytet Trybunału doznał uszczerbku. „Co za katastrofa!” – lamentowała Dagmar Pepping, komentatorka wiadomości pierwszego programu telewizji publicznej Tagesschau.

Sędziowie Trybunału Konstytucyjnego wybierani są przez parlament większością dwóch trzecich głosów. Przez dziesięciolecia elekcja była sprawą rutynową. Politycy najważniejszych partii umawiali się między sobą co do kandydatów, a głosowanie było formalnością.

W tym roku chadecy (CDU i CSU) nominowali na sędziego Güntera Spinnera. SPD wyznaczyła Ann-Katrin Kaufhold i 54-letnią profesor Frauke Brosius-Gersdorf wykładającą prawo publiczne na uniwersytecie w Poczdamie. Zdaniem polityków prawicy ta ostatnia jest postacią kontrowersyjną. Wielu uważa ją za lewicową aktywistkę, która w czasach epidemii covidu opowiadała się za

przymusem szczepionek, chciała pozwolić urzędnikom państwowym wyznającym islam na noszenie muzułmańskich chust zakrywających włosy. Frauke Brosius-Gersdorf nie zyskała zwolenników w kręgach konserwatywnych, gdy w programach telewizyjnych głosiła, że prawo aborcyjne powinno zostać zliberalizowane, a ustawa zasadnicza kraju „zmieniona zgodnie z zasadami genderu”. Ponadto austriacki „tropiciel plagiatów” Stefan Weber ogłosił 10 lipca, że praca doktorska Frauke Brosius-Gersdorf w 23 miejscach jest jakoś dziwnie podobna do pracy habilitacyjnej jej męża Huberta Gersdorfa. Mimo wszystko kanclerz Merz i przewodniczący klubu chadeków w Bundestagu Jens Spahn obiecali socjaldemokratom, że obie ich kandydatki zostaną wybrane. Wśród parlamentarzystów CDU i CSU wybuchł bunt.

11 lipca rano kanclerz wysłał do szefa socjaldemokratów Larsa Klingbeila stanowczego esemesa, że SPD musi wycofać kandydaturę Frauke Brosius-Gersdorf. Jeśli tego nie zrobi, posłowie chadecji wstrzymają się od głosu i profesor z Poczdamu sędzią Trybunału nie zostanie. Socjaldemokraci nie mogli zgodzić się na to bez utraty twarzy. Kryzysowe rozmowy koalicjantów trwały

półtorej godziny. W końcu uzgodniono, że głosowania w sprawie wszystkich trojga kandydatów zostaną przełożone. Nie wiadomo, kiedy odbędzie się ponowna elekcja sędziów Trybunału Konstytucyjnego. Zapewne dopiero we wrześniu, po letniej przerwie w obradach. SPD nie ułatwia rozwiązania i zapowiada, że będzie trwać przy swojej nominatce Brosius-Gersdorf. Z kręgów socjaldemokracji, Zielonych i Partii Lewicy rozlega się głosy, że mizoginiczna prawica znów rzuca kłody pod nogi kobiecie z wysokimi kwalifikacjami. Federalna minister sprawiedliwości Stefanie Hubig z SPD nie szczędziła chadeckim koalicjantom słów krytyki: „Ten, kto świadomie wyrządza szkody urzędowi i osobom, zagraża integralności naszej demokratycznej wspólnoty”. Komentatorzy w Berlinie wzdychają smutnie, że upolitycznienie Trybunałów Konstytucyjnych obserwowano już w innych krajach, a teraz o Niemczech można powiedzieć to samo. „67 dni po przejęciu władzy koalicja Friedricha Merza znalazła się nad przepaścią” – napisał 12 lipca wykonakladowy „Bild”. (KK)

Na podst.: *Der Spiegel, Focus, tagesschau.de, Rheinische Post, Bild Zeitung, Deutsche Welle*
Angora 29/2025

Polski kąpieliska najgorsze w Unii Europejskiej

Z raportu Europejskiej Agencji Środowiska wynika, że spośród 764 kąpielisk zlokalizowanych w naszym kraju tylko 58,1 proc. spełniło najwyższe unijne normy.

Jako dobre sklasyfikowano 13 proc. kąpielisk, wystarczające – 6 proc., a 2,6 proc. oceniono jako złej jakości. Dla 20,3 proc. nie przypisano kategorii – najczęściej z powodu braku wystarczających danych. Najlepiej wypadły woj. pomorskie i wielkopolskie, gdzie niemal wszystkie kąpieliska uzyskały ocenę doskonałą. Najgorzej – woj. łódzkie (aż 17 proc. kąpielisk miało wodę złej jakości). Polskie wody wypadły więc najgorzej spośród wszystkich państw Unii Europejskiej. Znaleźliśmy się na przedostatnim miejscu, wyprzedzając jedynie Albanie, która nie jest członkiem UE. Inne kraje, które również wypadły słabo w raporcie, to: Estonia (61,5 proc. kąpielisk doskonałych) i Węgry (67 proc.). Dla porównania Cypr,

Bulgaria i Grecja uplasowały się na czele zestawienia, z najwyższym odsetkiem kąpielisk z wodą doskonałej jakości. Ta analizowana była pod kątem obecności dwóch rodzajów bakterii – pałeczek okrężnicy i enterokoków – które są wskaźnikami zanieczyszczenia ściekami komunalnymi i obornikiem. Badanie nie uwzględnia zanieczyszczeń chemicznych, takich jak pestycydy, metale ciężkie oraz mikroplastiki. „(...) W raporcie zwrócono uwagę, że jakość wód kąpieliskowych w Europie znacząco poprawiła się w ostatnich dekadach dzięki ograniczeniu zrzutów nieoczyszczonych ścieków komunalnych, inwestycjom w oczyszczalnie oraz systematycznemu monitoringowi w ramach unijnej dyrektywy kąpieliskowej z 2006 r. Stan jakości wody na kąpieliskach w Polsce sprawdzić można na bieżąco w serwisie kąpieliskowym GIS. Przyczyną

powiewania czerwonej flagi są najczęściej: sinice, enterokoki, Escherichia coli, zakwit alg. Pod pojęciem «inne zanieczyszczenia» kryją się: szkło, guma, tworzywa sztuczne i materiały smoliste (...)».

Angora24.pl



PRODUKTY PROSTO Z POLSKI

90. urodziny

Polityczna zabawa lalkami

Moda na hiperrealistyczne lalki reborn, do złudzenia przypominające dzieci, dotarła do Brazylii. W mediach społecznościowych pojawiły się filmy przedstawiające ludzi, którzy ubierają je, kąpią, układają w wózkach i łóżeczkach. A pod filmami setki krytycznych komentarzy wraz z satyryczną piosenką zachęcającą do kopania lalek na ulicy. Fala nienawiści zaczęła się od filmu na TikToku opublikowanego przez kolekcjonerkę, która powiedziała, że nazwano ją *szaloną*, gdy zabrała swoją lalkę do sklepu. Wkrótce pojawił się inny, pokazujący lalkę „leczoną” w szpitalu. Wyjaśnienia autorki, że to tylko zabawa, nie powstrzymały agresji. Kontrowersje osiągnęły szczyt 6 czerwca, kiedy pewien mężczyzna uderzył w głowę czteromiesięczną niemowlę, twierdząc, że pomylił je z lalką. Dziecko wyszło z ataku bez szwanku, agresora zwolniono za kaucją. Tymczasem publiczna dysputa trwa. W kraju, gdzie były przywódca Jair Bolsonaro staje przed sądem oskarżony o próbę zamachu stanu, zaś obecny prezydent ma fatalne notowania, nie istnieje bardziej paląca kwestia niż lalki. Awanturę podsycają pravicowi i ultrapravicowi politycy demonizujący nową modę. Zgłosili już około 30 pomysłów regulacji prawnych, m.in. proponując zakaz korzystania z reborn w publicznej służbie zdrowia i zakazu używania lalek w celu uzyskania pierwszeństwa w kolejkach do usług publicznych. – *Nie przypominam sobie żadnego problemu, który w tak krótkim czasie wywołałby tak wiele projektów ustaw na różnych szczeblach rządu* – mówi profesor nauk politycznych Isabela Kalil. Szałeństwo pravicowców ma uzasadnienie polityczne – odwracając uwagę od procesu sądowego ich lidera, lecz ofiarami nagonki padają kobiety, stanowiące większość wśród twórców i kolekcjonerów lalek. – *Codzień dostaję groźby za pośrednictwem mediów społecznościowych. Piszą takie rzeczy: „Nie mogę się doczekać, aż wezmę broń i znajdę cię na ulicy”* – opowiada artystka Larissa Vedolin. Emocjonalne reakcje przeciwników reborn sugerują, że lalki są zagrożeniem dla umysłów Brazylijczyków, powszechną zamianą zdrowej prokreacji w niezdrową fascynację podróbkami dzieci. Jednak nic podobnego się nie dzieje. Jeden z youtuberów filmował spotkanie kolekcjonerów lalek w São Paulo: – *Jestem zaskoczony, że było to tak mało ekscentryczne. Po prostu grupa ludzi wymieniających się pomysłami na temat czegoś, co lubią*. (EW)

Na podst. The Guardian
Angora 27/2025

Jego następca już czeka, ale... nie w Tybecie

Dalajlama – wielki powrót po śmierci

Po latach milczenia i niepewności Dalajlama XIV ogłosił – praktycznie w przeddzień swoich 90. urodzin – że reinkarnacja będzie kontynuowana, a następca zostanie odnaleziony poza Chinami, wśród około 140 tysięcy Tybetańczyków na uchodźstwie. Decyzja zapada w cieniu chińskich nacisków i zapowiada religię z dwiema twarzami: jedną tybetańską, drugą chińską. Czy świat stanie wkrótce przed wyborem: któremu Dalajlamie wierzyć?!

W środowy poranek upalnego lipca 2025 roku w Dharamsali, górskiej enklawie w północnych Indiach, gdzie Dalajlama mieszka od ponad sześciu dekad, padły słowa, na które jedni czekali z nadzieją, inni z obawą, a Pekin zapewne odebrał je jako prowokację. Po raz pierwszy od lat duchowy przywódca Tybetańczyków potwierdził publicznie: tak, będzie następca. Nie wskazał konkretnego imienia, nie podał dokładnego miejsca, ale dał wyraźny sygnał – poszukiwania nowej inkarnacji po jego śmierci będą prowadzone poza granicami Chińskiej Republiki Ludowej.

Na pierwszy rzut oka ta decyzja mogła wydawać się oczywista, przecież reinkarnacja to rdzeń tybetańskiej tradycji. A jednak ogłoszenie kontynuacji instytucji Dalajlamy ma głębokie znaczenie polityczne i symboliczne. Dalajlama XIV, Tenzin Gjaco, przez wiele lat publicznie mówił, że następca może się nie pojawić wcale. Nie dlatego, że nie wierzy w reinkarnację, lecz dlatego, że nie chciał, by ta decyzja została upolityczniona lub zawłaszczona. Obawiał się, że Pekin wykorzysta jego śmierć do wyznaczenia „własnego” Dalajlamy – lojalnego wobec Chin. Od momentu, gdy Tybet został wchłonięty przez Chińską Republikę Ludową w 1951 roku, każda decyzja duchowego przywódcy Tybetańczyków ma wymiar nie tylko religijny, lecz także geopolityczny.

Tradycja buddyzmu tybetańskiego zakłada, że nowy Dalajlama jest odnajdywany dopiero po śmierci poprzedniego – jako dziecko, w którym rozpoznaje się inkarnację duchowego przywódcy. Tak właśnie, jako dwuletniego chłopca, odnaleziono Tenzina Gjaco. Jego duchowa edukacja rozpoczęła się kilka lat później, zgodnie z tradycją. Decyzję o kontynuacji instytucji ogłosił teraz, przy okazji pierwszego od 2019 roku zgromadzenia najwyższych mnichów tybetańskich, zwołanego w ramach obchodów jego urodzin. Tym samym uciął spekulacje, że jego śmierć oznaczać będzie kres urzędu lub – co

bardziej niebezpieczne – że Chiny spróbują wskazać następcę jeszcze za jego życia.

Tenzin Gjaco nie po raz pierwszy uprzedza historię. W 1959 roku, po krwawym stłumieniu powstania tybetańskiego, uciekł pieszo przez Himalaje do Indii, gdzie mieszka do dziś. Choć od ponad sześciu dekad nie postawił stopy w Tybecie, pozostał niekwestionowanym duchowym przywódcą swojego narodu. Do 2011 roku pełnił też funkcję przywódcy Centralnej Administracji Tybetańskiej – nieuznanego na arenie międzynarodowej rządu na uchodźstwie. Zrezygnował z niej dobrowolnie, przekazując władzę wyłonionemu demokratycznie liderowi, pozostając jednocześnie autorytetem dla diaspory i budyjskiego świata.

Tę symboliczną pozycję Pekin od lat stara się osłabić, zwłaszcza w kontekście sukcesji. Dobrze wie, że Dalajlama to nie tylko duchowy przewodnik, lecz także żywy symbol tybetańskiej niezależności. W latach 90. konflikt o reinkarnację Panczenlamy – drugiej najważniejszej postaci w tybetańskim pantheonie – stał się zapowiedzią tego, co może się wydarzyć po śmierci Dalajlamy XIV. W 1995 roku Dalajlama wskazał chłopca uznanego przez Tybetańczyków za Panczenlamę. Zniknął on krótko po ogłoszeniu tej decyzji. Wkrótce po tym chińskie władze mianowały własnego kandydata, który dziś wspiera linię partii i pozostaje lojalny wobec Pekinu.



Fot. Ashwini Bhatia/AP/East News

Zgodnie z tradycją to Panczenlama rozpoznaje nową inkarnację Dalajlamy. Wobec braku zgody co do jego osoby Dalajlama XIV powierzył ten proces duchownym z Ganden Phodrang – ciału, które sam powołał. „Żadna inna osoba nie ma prawa ingerować w ten proces” – podkreślił. Mimo to nie sposób wykluczyć, że po jego śmierci pojawi się dwóch Dalajlamów.

Religijny autorytet Dalajlamy pozostaje jednak niezwykle silny. Dla milionów Tybetańczyków – zarówno w diasporze, jak i w samym Tybecie – jedynym prawowitym następcą będzie ten, którego wskażą tradycyjne rytuały: konsultacje z wyroczniami, interpretacje znaków i inne duchowe praktyki. Cały proces

może potrwać miesiące, a nawet lata – i niemal na pewno stanie się polem gry politycznej. Nowy Dalajlama, jeśli rzeczywiście narodzi się poza Chinami, jak zapowiada jego poprzednik, będzie pierwszym, który nigdy nie postawił stopy w Tybecie. Najpewniej zostanie odnaleziony wśród społeczności w Dharamsali, gdzie tybetańska administracja prowadzi szkoły, klasztory i instytucje obywatelskie. Utrzymuje się głównie z prywatnych darowizn, ale wspierają ją też m.in. Stany Zjednoczone, Indie i Unia Europejska. (ANS)

Na podst.: ilpost.it, italiatibet.org, corriere.it, repubblica.it, ilsole24ore.com, ilfattoquotidiano.it, asianews.it, huffingtonpost.it, agi.it

Angora 28/2025

www.sklep.de

**polskie produkty
w sklepie online**

Darmowe mieszkanie na próbę

Od upadku muru berlińskiego drastycznie zmniejsza się liczba mieszkańców we wschodnich Niemczech. Dwie graniczące z Polską miejscowości wpadły na pomysł, jak przyciągnąć nowych mieszkańców.

Magistrat Eisenhüttenstadt ogłosił, że przyjmie na próbę i za darmo do dwóch dużych i w pełni umeblowanych mieszkań dwie rodziny w terminie od 6 do 20 września br. Projekt skierowany jest do obywateli UE, którzy przeprowadzą się do miasta nad Odrą. Zgłoszenia można przysyłać do końca czerwca. Oprócz bezpłatnego zakwaterowania przez dwa tygodnie uczestnicy programu mogą wziąć udział w stażach i praktykach w miejscowych zakładach pracy oraz zwiedzić siedziby firm w regionie.

Beneficjenci wezmą też udział w wycieczce z przewodnikiem po mieście, otrzymają informacje na temat dalszego kształcenia się w języku niemieckim oraz zostanie im przedstawiona oferta na spędzenie wolnego czasu oraz wstąpienia do różnych lokalnych stowarzyszeń.



Urzędnicy wymagają jedynie od uczestników napisania na zakończenie programu „listu miłosnego do Eisenhüttenstadt”, czyli podzielenia się wrażeniami, które zostaną użyte w celach marketingowych. „Wystarczy 300 szczerych słów, które na życzenie mogą się ukazać pod zmienionym imieniem i nazwiskiem” – wyjaśnił magistrat.

Miasto prosperowało najlepiej w tym samym czasie co mur berliński, czyli w latach 1961 – 1989. W ramach destalinizacji

połączono trzy sąsiadujące miejscowości: Fürstenberg, Schönfließ oraz Stalinstadt. Miasto Stalina było osiedlem robotniczym wybudowanym w 1950 roku dla pracowników nowej huty żelaza, czyli Eisenhütte. Stworzony od podstaw ośrodek w stylu socrealizmu miał być idealnym miejscem do życia dla 30 tysięcy osób. Centrum z niezbędnymi obiektami użyteczności publicznej otaczały cztery kompleksy mieszkalne. W szczytowym momencie w 1988 roku w Eisenhüttenstadt

żyło ponad 53 tysięcy ludzi. Gdy upadł mur berliński i zamknięto hutę, ludzie zaczęli uciekać masowo na zachód i południe Niemiec. Obecnie liczba mieszkańców ledwie przekracza 25 tysięcy.

Podobny problem ma leżący na lewym brzegu Nysy Łużyckiej Guben. W 1981 roku liczył 36 tysięcy mieszkańców, a dziś raptem 16 tysięcy. Urzędnicy miejscy akcję z darmowymi mieszkaniami na próbę ogłosili już w lutym ubiegłego roku. Trafiła na pierwsze strony gazet i rozeszła się w mediach społecznościowych. Do magistratu napłynęły 33 zgłoszenia. Ponad połowa wniosków pochodziła z Berlina, ale reszta z tak odległych miejsc jak Hamburg czy Monachium. Mieszkaniami na próbę zainteresowane były głównie pary i rodziny. Wybrano 18 osób, ale ostatecznie w programie wzięło udział 16 osób. Dziesięć z nich zdecydowało się pozostać w Guben także po zakończeniu darmowego okresu próbnego.

– Jesteśmy pod ogromnym wrażeniem, nie sądziliśmy, że pójdzie tak dobrze – stwierdziła Linda Geilich, koordynatorka

w agencji powitalnej „Guben tut gut” i współodpowiedzialna za mieszkania próbne. I dodała: – Większość zainteresowanych nie znalazła jeszcze w ogóle Guben, nie były to osoby powracające, ale prawdziwi nowi mieszkańcy w wieku od 20 do 60 lat.

W programie wzięła też udział rodzina z zagranicy. Swoją rodzinę zgłosiła Keti Jajanaszwili z Gruzji. Jej mąż dostał pracę w szpitalu w Guben i przeprowadzili się z dwójką dzieci. Gdy pociechy były w przedszkolu, Keti miała jeszcze czas, aby pracować zdalnie dla jednego z banków. – Naprawdę nie spodziewałam się, że dostaniemy aż tak wspaniałe i duże mieszkanie. Dzieci również czują się tu jak w domu – opowiedziała Gruzinka.

Akcja mieszkania na próbę okazała się genialną i taną kampanią reklamową. Mimo zakończonego programu do Lindy Geilich wciąż dzwonią ludzie, aby zapytać o możliwość zamieszkania w Guben. Julia Weißenberg z Berlina przyjechała zwiedzić miasto i przy okazji znalazła interesujące ją mieszkanie w tak dobrej cenie, że została bez darmowego okresu próbnego. (PKU)

Na podst.: eisenhuettenstadt.de, jetzt-pläne-schmieden.de, rbb24.de

Angora 26/2025

Polskie stocznie odzyskują znaczenie

Koniec zimnej wojny nie rozpoczął się w górach w Afganistanie ani na szczycie muru berlińskiego, a w porcie w Gdańsku. Na tym samym odcinku nabrzeża, gdzie Lech Wałęsa przemawiał kiedyś do pracowników portowych i namawiał ich do sprzeciwienia się rządowi komunistycznym.

Kiedy w latach 70. rozwijała się działalność niezależnych związków zawodowych, a w latach 80. „Solidarności” założonej przez Wałęsę, miasto portowe popadało w ruinę. Jednakże dzisiaj Gdańsk znów tętni życiem, a echo buntu odeszło w niepamięć.

W przyszłym roku ukończona zostanie budowa pierwszego od dziesięcioleci okrętu wojennego klasy fregata. Gdańsk odegrał kluczową rolę w remilitaryzacji Warszawy, w wyniku której wydatki na obronność w ostatnich latach wzrosły do ponad 4 proc. PKB. Miasto położone jest niewiele ponad 70 kilometrów od granicy z obwodem królewieckim i znajduje się na pierwszej linii obrony NATO przed Rosją.

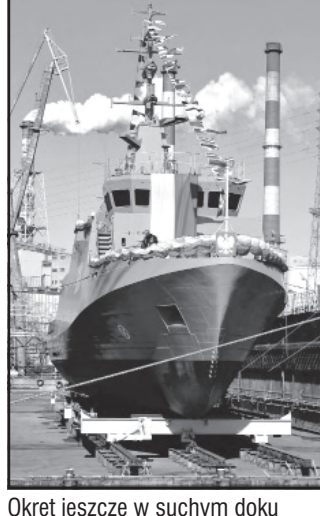
Polityczna rola Gdańska nie zakończyła się na „Solidarności”. W późnych latach 90. w mieście wybuchły protesty przeciwko zamknięciu stoczni w związku z żądaniem Unii Europejskiej dotyczącymi restrukturyzacji polskiej gospodarki. Port pomógł w ukształtowaniu współczesnej tożsamości narodowej poprzez walkę z komunizmem, a bankructwo i zamknięcie stoczni stało się

symbolem polskiego nacjonalizmu, który zwieńczony został wyborem Karola Nawrockiego na prezydenta kraju na początku tego miesiąca.

Trzy dekady później, po inwazji Rosji na sąsiadującą Ukrainę, nabrzeże Gdańskie wznowiło swoją działalność. W 2017 roku otwarto nowoczesną Stocznę Wojenną.

43-letni Marcin Ryngwelski jest dyrektorem generalnym stoczni. Szkolił się jako monter w Gdańsku do czasu aż zarówno jego, jak i wielu innych inżynierów wysłano do pracy w Niemczech i Norwegii po zwinięciu się przemysłu stoczniowego w Polsce. Dzisiaj, z powrotem w domu, Ryngwelski sprawuje kontrolę nad rozwojem nowoczesnej polskiej Marynarki Wojennej. Nadzoruje również wart miliardy program „Miecznik”, który zakłada wybudowanie trzech wielozadaniowych fregat rakietowych. Mają być one wzorowane na brytyjskich okrętach typu 31 o kadłubie w kształcie grotu strzały, budowanych w stoczni Babcock w Rosyth w Szkocji.

Chociaż wielu inżynierów powróciło do Polski, Ryngwelski stwierdza, że niełatwo jest zrekrutować młodych, dobrze wykształconych Polaków. Dyrektor generalny stoczni w Gdańsku obawia się, że obecnie większe zainteresowanie wzbudza praca w mediach społecznościowych niż przy budowie nowoczesnych statków wojennych potrzebnych, aby stawić czoła zagrożeniu



Okręt jeszcze w suchym doku

Fot. Łukasz Dejnarowicz/Forum

ze strony Rosji po inwazji na Ukrainę. – Do roku 2009 wszystko zdążyło zaniknąć – mówi. – Teraz każdy chce być tiktokerem albo youtuberem. Musimy podjąć się trudnego zadania, jakim będzie próba odbudowy portu, przywrócenie utraczonych umiejętności i, co najważniejsze, ponowne wzbudzenie pasji.

Stojąc w ogromnym hangarze, gdzie nabiera kształtu kadłub nowej fregaty o wartości 1,2 miliarda euro, której wodowanie zaplanowano na przyszły rok, Ryngwelski tłumaczy, że nad okrętem pracują Polacy ze względu na konieczność zachowania tajemnicy wojskowej. – Większość instalacji

oraz rozwiązań inżynierskich pozostaje sekretem i to dlatego Polacy nadzorują budowę. W końcu statki mają bronić obywateli naszego państwa – stwierdził, dodając, że od 2021 roku 80 proc. z ponad czterystu nowych stanowisk pracy wymagających wysokich kwalifikacji zostało obsadzonych przez kobiety. – Nie chodzi wyłącznie o projekt i technologię, a o ludzi. Potrzebujemy Polaków. Razem możemy odbudować dawne wartości, które utracił Gdańsk. W Stoczni Wojennej budowane są także trałowce i okręty pomocnicze dla planowanych przez Polskę okrętów podwodnych w ramach programu „Orka”.

Ryngwelski nie tylko nadzoruje pracę w stoczni, w której w przyszłym roku pracować będzie już ponad tysiąc osób, ale jest też mentorem i nauczycielem dla nowej generacji inżynierów. To w ich rękach spoczywa przyszłość polskiej Marynarki Wojennej. – Sprawdzam, kto nadaje się do pracy w tym miejscu. Najlepszych ludzi mamy już na pokładzie.

Zagrożenie ze strony Rosji tęgło życie w gdańskie stocznie, które oprócz dziedzictwa „Solidarności” przekazały Polsce politykę eurosceptycznego nacjonalizmu po protestach przeciwko zamknięciu doków zarządzanemu przez Brukselę pod koniec lat 90. Na początku tego miesiąca odbyły się w Polsce wybory prezydenckie. Z niewielką

przewagą zwyciężył 42-letni Karol Nawrocki z ramienia konserwatywnej, nacjonalistycznej i populistycznej partii Prawo i Sprawiedliwość (PiS). Nawrocki to były chuligan piłkarski oraz historyk, który dorastał w bloku z czasów komunizmu w Gdańsku. W młodości trenował jako bokser na siłowni w obecnie zamkniętej stoczni, gdzie Wałęsa utworzył swój związek zawodowy w 1980 roku.

Chociaż Nawrocki i Tusk mają zupełnie inne opinie na temat Trumpa, Unii Europejskiej oraz liberalizmu, zgadzają się co do jednego: miasto, z którego obaj pochodzą, odradza się, a gdańskie stocznie zyskują na znaczeniu. Polski minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski, który aktywnie udziela się w sporach politycznych, powiedział, że obaj liderzy, choć są rywalami, odegrają kluczową rolę w nowej geopolityce definiowanej przez Trumpa. Dzięki nim znaczenie Gdańska na arenie międzynarodowej ma wzrosnąć. – Nawrocki zapewnia, że utrzymuje bardzo dobre stosunki z Białym Domem – powiedział w tym tygodniu, zaznaczając, że nowy prezydent „jednoznacznie zgadza się z ogólnokrajowym konsensem mówiącym o odstraszaniu Rosji”. – Możemy grać na dwóch fortepianach w tym samym czasie: z jednej strony mamy ideologiczne powiązania z Partią Republikańską, a z drugiej relacje międzyrządowe na poziomie państw – dodał. (TL)

Bruno Waterfield

© Copyright Times Newspaper

Limited 2025

Angora 26/2025

Na polskim niebie

LOT kupuje airbusy, które nie są airbusami



Fot. Gonzalo Fuentes/Reuters/Forum

Polska od wielu lat była związana z Boeingiem, a następnie z brazylijskim Embraerem. Teraz pora na europejskie konsorcjum Airbus, choć kupowane samoloty nie są tak naprawdę airbusami. Ale po kolei.

Przewozy lotnicze to niezwykle trudny biznes, w którym zyski są niewielkie w stosunku do kosztów operacyjnych. Dlatego wszelkie linie lotnicze muszą dobrze określić, jakich samolotów potrzebują w jakiej grupie połączeń. W przypadku naszego krajowego, państwowego przewoźnika Polskie Linie Lotnicze LOT, istniejącego od 1929 roku, mamy cztery główne grupy tras. Są to dalekie trasy międzykontynentalne, takie jak do USA i Kanady, ale też do Chin, Wietnamu oraz Indii; średnio długie trasy okołokontynentalne, takie jak Hiszpania i Portugalia, Wielka Brytania i Francja, Włochy, Grecja, Turcja, Bliski Wschód, Islandia; krótsze trasy zagraniczne: Niemcy, Dania, Szwecja, państwa bałtyckie, Czechy, Węgry, Rumunia i Bułgaria; trasy krajowe, ewentualnie niektóre krótkie zagraniczne z mniejszymi potokami pasażerskimi. W pierwszej grupie używamy szerokokadłubowych (czyli takich z więcej niż jednym podłużnym przejściem między fotelami) Boeingów 787 Dreamliner w dwóch wersjach (252 miejsca w B-787-8 i 294 miejsc w B-787-9), w drugiej grupie mamy Boeingi 737 Max-8 oraz starsze 737-800, mające po 186 miejsc pasażerskich, w trzeciej używamy Embraerów 190 (106 miejsc) i Embraerów 195 (skonfigurowane różnie – na 112, 118 lub 136 miejsc), a w czwartej grupie – Embraerów 170 (76 miejsc) i Embraerów 175 (82 miejsca).

Dzięki temu można elastycznie dostosować wielkość samolotu do potoków pasażerskich, tak by samoloty te nie latały wypełnione do połowy. PLL LOT raczej

nie ma z tym problemów, raczej zdarza się tzw. overbooking, czyli sprzedaż większej liczby biletów w stosunku do liczby miejsc (o kilka), bowiem część pasażerów po prostu nie stawia się na lot, więc wszyscy, którzy przyjdą, są zwykle zabrani. W przeciwnym razie przewoźnik załatwia miejsce w innym samolocie, płacąc niewielkie odszkodowanie.

Nowa flota

Podpisana umowa opiewa na 20 samolotów Airbus A220-100, które mogą być konfigurowane na 100 – 135 miejsc, oraz 20 jednostek A220-300, które mogą mieć 120 – 160 miejsc. Jaką konfigurację siedzeń wybierze LOT? Tego na razie nie wiadomo, ale pewnie będzie to, odpowiednio, sto kilkanaście i 130 – 140. Bezpośrednio samoloty te zastąpią więc Embraery 190 i 195, których LOT ma 8 i 16, oraz modele 170 i 175, których jest 5 i 15. Poza wymienionymi nasz przewoźnik ma też trzy niedawno zakupione Embraery 195E-2, które zapewne pozostaną jeszcze we flocie przez jakiś czas. Pozbycie się embraerów będzie o tyle łatwiejsze, że nie są one własnością LOT-u, ale znajdują się w leasingu od firmy Nordic Aviation Capital z Irlandii. To obecnie powszechna praktyka, bowiem zwykle przewoźników nie stać na zakup samolotów dla siebie. Cena pojedynczego Airbusa A220 to około 36 milionów dolarów, dlatego często pośredniczą w tym firmy leasingowe formalnie kupujące te samoloty, a następnie pobierające opłaty za użytkowanie. Ma to albo formę kredytu, albo zwykłego wypożyczenia, w zależności od zawartej umowy.

Warto zwrócić uwagę, że kupowane przez LOT Airbusy A220, przeznaczone do zastąpienia wszystkich embraerów, są od

nich nieco większe i zabierają więcej osób. Jest to efekt wciąż rosnących po pandemii przewozów, a zatem potoki pasażerów na tych samych trasach rosną. Długofalowo możemy jeszcze dokupić kolejne 44 jednostki A220, zgodnie z zawartą w umowie opcją.

Trzech graczy

Wbrew pozorom nie jest to więc zderzenie amerykańskich interesów Boeinga z europejskimi interesami Airbusa i polityczna decyzja nowych władz. To nie ten segment samolotów, tutaj głównym konkurentem był brazylijski Embraer, trzeci gracz na rynku dostawców samolotów pasażerskich. Embraer, będąc firmą państwową, był mocno zasilany państwowymi funduszami, aż w końcu wyrósł na ważnego dostawcę samolotów dla linii lotniczych. Początkowo startował w segmencie samolotów regionalnych zabierających do 80 pasażerów, a stopniowo wkroczył w rynek maszyn liniowych w segmencie 100 – 150 pasażerów, wpisując się w pewną lukę, bowiem główni dostawcy, Boeing i Airbus, oferują samoloty zaczynające się od 130 – 200 pasażerów. W obszarze samolotów regionalnych do chwili obecnej działał jeszcze kanadyjski Bombardier.

Tyle że Bombardier mający poważne kłopoty finansowe w latach 2016 – 2018 zostawił sobie produkcję samolotów regionalnych i odrzutów biznesowych, zaś swój program CSeries sprzedał Airbusowi, który przejął też zakład w Mirabel w Quebecu w 2018 roku. Od tego momentu Bombardier CS100 jest znany jako Airbus A220-100, a nieco większy CS300 (kadłub dłuższy o ponad 3 m) został przemianowany na A220-300. Samoloty te są obecnie produkowane w Mirabel w Kanadzie, a także

w nowych zakładach Airbusa w Mobile w Alabamie w USA. Kupujemy więc tak naprawdę dawnego bombardiera, a nie „czystego” airbusa.

Sam Airbus SE ma swoje główne zakłady w Blagnac pod Tulużą oraz w Hamburgu, oba działa się produkcją sztandarowego modelu A320 zaprojektowanego jak najbardziej w Europie, w Tuluzie. Większe samoloty Airbusa, czyli obecnie A350, produkowane są w Tuluzie-Blagnac. Powstawał tu też wielki A380, którego produkcję, po nasyceniu się rynku, właśnie zakończono.

Boeing, którego oba wielkie zakłady mieszczą się pod Seattle, w Everett i Renton, to stara firma powstała jeszcze przed pierwszą wojną światową. Boeing przez wiele dekad po drugiej wojnie światowej pozostawał niekwestionowanym liderem wśród producentów odrzutowych samolotów pasażerskich, a jego głównym rywalem był amerykański Douglas z Santa Monica w Kalifornii. Jednakże w latach 90. firma ta została wchłonięta przez Boeinga i w Kalifornii nie powstają już samoloty pasażerskie, lecz jedynie komponenty do nich.

Europa przy amerykańskich gigantach wydawała się skromnym kopcuszkim. Takie konstrukcje jak francuski samolot SUD Caravelle, brytyjskie de Havilland Comet, Hawker Siddeley Trident, BAC VC-10 czy BAC 1-11 były o wiele słabiej rozpowszechnione, nawet od serii sowieckich tupolewów czy iljuszynów.

W tej sytuacji europejskie państwa postanowiły połączyć swoje wysiłki i w grudniu 1970 roku powstało konsorcjum Airbus Industrie, na bazie francuskich firm połączonych w Aerospatiale z Tuluzi oraz niemieckiego Deutsche Airbus utworzonego z mniejszych firm Messerschmitt-Bölkow-Blohm (MBB) i Dornier Flugzeugwerke, budując zakład w Hamburgu. W późniejszym okresie do konsorcjum dołączyła główna brytyjska firma lotnicza BAE Systems, a później także hiszpańska CASA. Początki Airbusa były bardzo trudne, bowiem ich pierwszy samolot A300, oblatany w 1972 roku i wprowadzony do użycia w 1974 roku, z wielkim trudem przebił się na światowe rynki. Tak naprawdę „konie robocze” ciągnącym Airbusa stał się popularny model średniodystansowy A320, który bezpośrednio konkurował z amerykańskim Boeingiem 737, a oba te typy stały się najpopularniejszymi na świecie samolotami pasażerskimi wyprodukowanymi w liczbie ponad 10 tys. egzemplarzy każdy. A320 zasłynął z bardzo skomputeryzowanego sterowania – jako pierwszy liniowiec miał monitory wielofunkcyjne zamiast tradycyjnych

przrzędów, aktywny elektroniczny układ sterowania i bardzo zaawansowanego autopilota.

C-Series, czyli Airbus A220

Kiedy Bombardier wchodził na rynek ze swoim modelem CSeries, który dziś jest Airbusem A220, wszystkie te elementy stały się już standardem. Samolot jest więc wcieleniem wszystkich rozwiązań, jakie są najnowszymi osiągnięciami w dziedzinie konstrukcji samolotów pasażerskich. W konstrukcji płatowca użyto kompozytów z laminatu szklanego wzmocnionego włóknami węglowymi oraz stopów aluminium-litowych, czyli samolot ten jest w połowie wykonany z bardzo mocnego plastiku. Maszyna ma zintegrowany system awioniki Pro Line Fusion amerykańskiej firmy Rockwell Collins, obejmujący cały zestaw różnych systemów nawigacyjnych, system zarządzania lotem, autopilota oraz pięć dużych (szerokość 38 cm), kolorowych, ciekłokrystalicznych monitorów w kabinie. A220 – podobnie jak airbusy, a obecnie też boeingi – ma aktywny elektroniczny układ sterowania niedopuszczający do podstawowych błędów pilotowania w przypadku sterowania ręcznego. Współcześnie jednak samolotami pasażerskimi lata głównie autopilot włączony przez 90 proc. całego czasu lotu; załoga zadaje mu tylko parametry, jakie ma utrzymać, wykonując lot. Dlatego do ręcznego sterowania są tylko małe joysticki na bocznych półkach zamiast tradycyjnych dużych wolantów trzymany dwoma rękoma. Ponieważ w przypadku kapitana ów joystick znajduje się po lewej stronie, więc pierwszy pilot steruje samolotem lewą ręką – do tego stopnia doprowadzono poziom zautomatyzowania sterowania.

Kabina A220 też jest dość wygodna, mając niesymetryczny układ z dwoma fotelami po lewej stronie przejścia i trzema po prawej. Kabina ma też relatywnie duże okna i specjalne obrotowe bagażniki ułatwiające przechowywanie bagażu podręcznego. Zwykle jest on konfigurowany w jedną klasę ekonomiczną, tak jak nasze embraery. Silniki również są bardzo nowoczesne – amerykańskie Pratt & Whitney PW1500G charakteryzujące się niskim zużyciem paliwa przy dużym ciągu, relatywnie ciche i mające dość niski poziom emisji CO₂.

Airbus A220 wszedł do służby w 2016 roku. Jest już ich na świecie 418 (maj 2025 r.) i na razie spisują się doskonale. Żaden nie uległ dotąd rozbiciu i nikt w związku z tym nie zginął, a konsorcjum Airbus gwarantuje pewne wsparcie logistyczne produkowanych maszyn. Miejmy nadzieję, że i w PLL LOT się one doskonale sprawdzą.

Michał Fiszer
Angora 26/2025

Na rowerze jeżdżę od zawsze

Rozmowa z ANETĄ LAMIK – ultrakolarką, zwyciężczynią prestiżowego wyścigu Race Across America



Fot. Marek Rupiński

– Kilka dni temu wygrała pani najtrudniejszy kolarski wyścig na świecie. Odpoczęła już pani?

– W połowie wyścigu byłam bardzo zmęczona, organizm się buntował przed dalszym wysiłkiem, ale potem to już właściwie regenerowałam się na rowerze. Miałam dwa lekkie, karbonowe rowery. Nie straciłam dużo na wadze, około czterech kilogramów, świetny zespół dbał o mnie. Tylek też mnie nie bolał, były obtarcia, ale miałam świetnie dopasowane siodełko.

– Od dawna pani startuje w wyścigach?

– Mam czterdzieści cztery lata, na rowerze jeżdżę od zawsze, dzięki niemu miałam możliwość wyrwania się z domu, był moim środkiem transportu.

– Dojeżdżała pani rowerem do szkoły?

– Tak, z rodzinnych Górek, części Łęzin, do Bierunia, dziewięć kilometrów w jedną stronę. Rower to najwierniejszy przyjaciel, obecnie dojeżdżam do pracy – trzydzieście kilometrów do Oświęcimia. Jedynie mocna zawierucha czy wielka ulewa zmusza mnie do przesiadki do samochodu.

– Startowała pani w wyścigach kolarskich?

– Tylko jako amatorka. Po kilku latach ścigania wróciłam do turystyki rowerowej. Z dwuletnią córeczką Zosią w foteliku przemierzyliśmy Polskę wzdłuż wschodniej granicy. Później Zosia trafiła do szkoły kolarskiej i na

rowerze szosowym jeździłam na wyścigi jako jej kibic. Zaczęłam startować w wyścigach mastersów. Ostatecznie przez przypadek, trzy lata temu, trafiłam do ultrakolarstwa.

– Pierwszy ultrawyścig, w którym pani startowała?

– W Niesulicach – Piękny Zachód. Trasa przebiegała przez Sudety, dotarłam na metę i usłyszałam pochwały, zakwalifikowałam się do wyścigu Bałtyk – Bieszczady. Złapałam bakcyła ultrakolarstwa.

– Kiedy pojawiła się myśl o starcie w najważniejszym na świecie ultrawyścigu kolarskim w Stanach Zjednoczonych?

– Pierwszy raz o Race Across America przeczytałam w książce słynnej ultrakolarzki Juliany Buh-ring. Myśl o starcie w tym wyścigu była kosmosem, nie mieściło mi się w głowie, że mogę wziąć udział w tej niezwykle trudnej, ale bardzo prestiżowej imprezie kolarskiej. W wyścigu dookoła Polski wywalczyłam jednak kwalifikację, ziarenko zaczęło kiełkować i rozpoczęłam przygotowania do startu w USA. W październiku ubiegłego roku zapłaciłam pierwszą część wpisowego, w lutym drugą, wyścig szybko stał się moim celem.

– Ile wynosi wpisowe?

– 16 tys. złotych, dla mnie bardzo duży wydatek. Poszłam na całość, nie miałam gwarancji, że ktoś mi finansowo pomoże. Perspektywy, że uda się pospinać budżet, były bardzo słabe.

Koszty startu nie są małe, udało się jednak zebrać odpowiednie fundusze. Towarzyszył mi sześciuosobowy wspaniący zespół – superdrużyna!

– Gdzie był start wyścigu?

– W Oceanside w Kalifornii przy słynnym molo. Metę wyznaczono w Atlantic City w New Jersey. Trasa dokładnie wyznaczona, każdy z zawodników był elektronicznie śledzony, nic nie umknęło uwagi organizatorom. Trasa wiodła przez pasma górskie, pustynie i równiny.

– Ile dni zajęło jej pokonanie?

– Dwanaście dni i pięćdziesiąt minut. Limit na pokonanie tej trasy wynosił dwanaście dni i dwadzieścia jeden godzin. Przejechałam 4937 kilometrów.

– Średnia wynosi ponad czterysta kilometrów na dobę.

– Największą przeszkodą była piekielna temperatura. Nie spadała poniżej 30 stopni. Były momenty, gdy przekraczała nawet 50 stopni.

– Szaleństwo!

– Dla mnie największe wyzwanie, zdecydowanie wolę jeździć, gdy jest chłodniej. Poruszałam się także nocą, w pierwszej dobie nie spałam, w drugiej – godzinę, później potrzebowałam więcej snu, ale było to maksymalnie trzy godziny na dobę. Bardzo dużo piłam, izotoniki uzupełniałam elektrolitami. Najtrudniejszym odcinkiem był przejazd przez Kansas. Równina i dziesiątki kilometrów prostej drogi, na stu kilometrach jeden, jedyny zakręt! Musiałam walczyć z wiatrem, jechałam

bardzo pokornie. Przepychałam te odcinki, a kiedy znów trasa wiodła przez Appalache, to już mnie poniosło. Wolę urozmaiconą trasę, a w górach czuję się zdecydowanie lepiej niż na nużących prostych. Trudna była też jazda autostradami oraz drogami ekspresowymi, w gąszczu rozpędzonych samochodów nie było łatwe pokonywanie wyznaczonej trasy. Regulamin nakazywał jazdę poboczem, ale na amerykańskich drogach jest na nim wszystko. Leżą tam grube śruby, opony, szczątki zwierząt – żółwi, pancerników, saren. Któregoś razu nie zauważyłam ich na poboczu i brunatna maź zabryzgała rower, bidony, moje ciało. Nie byłam w stanie korzystać wtedy z bidonów, bo od razu miałam odruchy wymiotne.

– W tej imprezie ważne jest odpowiednie nastawienie psychiczne.

– Najtrudniejsze były momenty, kiedy przestałam poznawać swoje ciało. Mniej więcej w połowie trasy potwornie spuchłam, spowodowane to było zmęczeniem i wysoką temperaturą. Miałam również problem ze zginaniem kolan z powodu pojawiających się obrzęków. Chwilami ogarniała mnie bezsilność, na szczęście opuchlizna zaczęła zniknąć i jechało mi się coraz lepiej. Cieszyło, że regeneracja nastąpiła jeszcze w czasie wyścigu. Najważniejsze, by ciągle być pozytywnie nastawionym. Myślałam oczywiście o rodzinie, o domu, rozważałam

jak mogłabym umeblować mieszkanie. Taka jazda to życie w pigułce, natłok myśli, kiedy wpadałam w melancholię, to od razu pedałowałam dużo wolniej. Był czas na modlitwę, płacz, zdarzały się, niestety, mocne przekleństwa. Płakałam ze wzruszenia, ale też z chwilowej bezsilności bólu, a nawet strachu. Zawodnik w czasie tego wyścigu nie może korzystać z telefonu, w uchu może mieć tylko jedną słuchawkę. Pewnego razu musiałam zadzwonić do rodziny, brakowało mi z nią kontaktu. Zatrzymałam się na poboczu i proszę sobie wyobrazić, że właśnie w tym momencie na trasie pojawił się sędzia. Zgłosił, że korzystam z telefonu, ale nie otrzymałam czasowej kary, bo zatrzymałam się obok trasy i rozmawiałam, nie jadąc rowerem. Przeklinałam głównie z powodu dróg, którymi prowadził wyścig. Nie zapomnę euforii na ostatnim odcinku. Nie wiem, skąd wykrzesalam resztki sił, końcówce 200 kilometrów pokonałam ze średnią prędkością ponad 30 kilometrów na godzinę. Mknęłam do mety jak szalona. Do dzisiaj jestem jeszcze oszołomiona, bo wygrałam ten wyścig w swojej kategorii wiekowej. Dla mnie to absolutne szaleństwo. Kiedy zbliżałam się do mety, marzyłam tylko, aby się wypaść, wykapać, położyć wygodnie w łóżku. Ale po ukończeniu wyścigu wybrałam się na plażę, aby popływać w oceanie. Spać poszłam bardzo późno, delektowałam się czasem wolnym. Odespałam dopiero następnego dnia.

– Kolarstwo jest sposobem na życie?

– Dla mnie tak. Rower w pewnym sensie uzależnił mnie, kolarstwo jest niczym narkotyku, często bywam w stanie euforii. Jazda na rowerze to wyjątkowa dawka energii, ale to także kontakt z niesamowitymi ludźmi. W USA poznałam człowiek ultrakolarzów świata, nikt z nas nie odczuwał, że rywalizujemy ze sobą, każdy był częścią dużej rodziny. Długą jazdę na rowerze porównuję do medytacji. Żyjemy w poście, zawsze się gdzieś spieszymy, a na rowerze człowiek docenia, jak ważny jest czas. Okazuje się, że nie potrzebujemy żadnych zagłuszcaczy, telefonu, nieustannego kontaktu w social mediach. Rower daje nam możliwość rozmyślenia.

– Jakie kolejne wyzwanie?

– Apetyt rośnie w miarę jedzenia, ale nie wiem, czy po wyścigu w USA jest jeszcze większe wyzwanie. Nie mam skonkretyzowanych planów. Zaproponowano mi niedawno udział w wyścigu w Chinach. W sierpniu w Austrii odbędą się mistrzostwa świata w ultrakolarstwie. Najważniejsze, bym obecnie wreszcie trochę odpoczęła.

TOMASZ ZIMOCH
Angora 28/2025

O pieniądzach się nie mówi?

Tabu jawnych płac

Polska wdraża unijną dyrektywę dotyczącą jawności płac. Polacy chętnie poznają zarobki kolegów. Woleliby jednak nie zdradzać swoich.

W maju 2025 roku Sejm przyjął ustawę dotyczącą jawności wynagrodzeń. Wszystko ma związek z dyrektywą unijną 2023/970. W mediach wrzawa, bowiem jedną ze zmian zakładanych w ustawie miał być przepis wymagający od pracodawców, aby ci podawali widełki wynagrodzeń już na etapie ogłoszenia o pracę. Wbrew szumnym zapowiedziom ta bomba okazała się jednak cichutkim kapiszonem – jak tylko ustawa przeszła przez Sejm i Senat, natychmiast rozmydlnie ten zapis. Mamy więc widełki Schrödingera, bo trochę miały być, a trochę ich nie ma. Pracodawca nadal może podać stawkę na dowolnym etapie rekrutacji.

Będą owoce, nie będzie widełek

Pierwotny, poselski, projekt ustawy o jawności zarobków zakładał, że pracodawca, publikując ofertę pracy, musiałby zawrzeć w niej minimalną i maksymalną wysokość oferowanego wynagrodzenia na danym stanowisku. Dokonano jednak zmian, z których wynika, że „pracodawca musi przekazać informację o wynagrodzeniu z wyprzedzeniem umożliwiającym zapoznanie się ze stawkami, co ma zapewnić świadomość i przejrzystość negocjacji”. Na pierwszy rzut oka wygląda to w porządku. Warto jednak zauważyć, że w senackiej poprawce zastąpiono frazę „z odpowiednim wyprzedzeniem” na samo „z wyprzedzeniem”. Pozostaje jeszcze dalsza część zdania, z której wynika, że potencjalny pracownik powinien się dowiedzieć, jakie zarobki są mu oferowane, żeby mógł podjąć decyzję, czy bierze pracę czy też nie.

Okrągłe słówka w nowelizacji Kodeksu pracy nie zmieniają sytuacji kandydatów starających

się o pracę. Przepis nie nakłada obowiązku publikowania widełek w ogłoszeniach. Politycy zostawili pracodawcom furtkę, aby nadal mogli tę informację przedstawić na samym końcu procesu rekrutacyjnego, czyli przed nawiązaniem stosunku pracy. Jesteśmy więc w punkcie wyjścia, gdzie kandydat z ogłoszenia o pracy dowie się jedynie, jakie stawia mu się wymagania i czy w czwartek będą owoce lub karnet na siłownię.

Ekspertki zastanawiają się, czy przy obecnym brzmieniu ustawy uda się osiągnąć cel unijnej dyrektywy o przejrzystości wynagrodzeń, którego zamierzeniem jest zapewnienie równości zarobków dla kobiet i mężczyzn. Dyrektywa przewiduje również prawo pracownika do uzyskiwania informacji na temat swojego wynagrodzenia w odniesieniu do uśrednionych wynagrodzeń pracowników wykonujących taką samą pracę lub pracę o takiej samej wartości (to wszystko z dodatkowym podziałem na płeć). Kolejną zmianą będzie zmiana sposobu pisania ogłoszeń o pracę. Będą musiały być neutralne pod względem płci.

Wiem, ale nie powiem

Szum wokół ustawy o jawności wynagrodzeń wywołał społeczną dyskusję o tym, czy jako społeczeństwo w ogóle umiemy rozmawiać o pieniądzach. Dla wielu Polek i Polaków to nadal drażliwy temat. – *Tabuizowanie tematu zarobków ma związek z naszą hierarchiczną kulturą. To wiąże się z niskim poziomem zaufania społecznego. Osoby zarabiające więcej m.in. na stanowiskach menedżerskich często obawiają się, że jawność zarobków spowoduje pewne poczucie niesprawiedliwości dookoła. Współpracownicy, nie znając kontekstu, np. kwalifikacji czy warunków umowy zatrudnienia drugiej osoby, mogą uważać, że czyjeś zarobki są efektem czynników negatywnych, takich jak np. nepotyzm. To wszystko buduje negatywną*



atmosferę w pracy – komentuje psycholożka biznesu dr **Malwina Puchalska-Kamińska** z USWPS.

Według badania przeprowadzonego na zlecenie Radia Zet 57 proc. Polaków opowiada się za jawnością wynagrodzeń. 42 proc. respondentów chce poznać zarobki swoich współpracowników. Najbardziej interesuje to respondentów w wieku od 25 do 44 lat (17 proc. badanych). Najmniej ciekawskich jest zaś w grupie powyżej 55. roku życia (5 proc.). Zgodę na ujawnienie własnych zarobków wyraża jednak zaledwie 35 proc. badanych. Reasumując: chcemy znać zarobki innych, ale wolelibyśmy nie ujawniać swoich. Idzie za tym pewien kulturowo utrwalony strach. – *W Polsce jest silny stereotyp, że jeśli ktoś jest majątny, to prawdopodobnie nie zdobył tych pieniędzy w sposób legalny. Inaczej jest w kulturach, gdzie dominuje religia protestancka. Tam pieniądze są wyrazem pracowitości. Jeśli ktoś ma ich dużo, to znaczy, że się narobił i je zarobił* – tłumaczy dr Puchalska-Kamińska.

Wieczne tabu

Czy Polacy rzeczywiście wstydzą się ujawniać zarobki

ze względu na ewentualną niechęć innych współpracowników lub zawiść? Powszechnie znany jest bon mot ukuty przez ministra Ludwika Dornę: „Pokaż lekarzu, co masz w garażu”. To zdanie miało piętnować lekarzy ze względu na zarobki i być wytłumaczeniem dla kolejnego kryzysu w ochronie zdrowia. Słynne słowa zostały wypowiedziane ponad 18 lat temu. Wracają jednak jak bumerang przy każdej dyskusji o kryzysie w ochronie zdrowia. Było tak w 2020 roku podczas protestów w Białym Miasteczku 2.0, kiedy ministrem zdrowia był Adam Niedzielski. Temat wrócił teraz, kiedy u sterów jest ministra Leszczyńska, która również wypominała lekarzom duże zarobki. Oskarżenia o pazerność dotyczą także innych grup zawodowych. Wystarczy, że któraś z nich zaczyna się upominać o lepsze warunki pracy. Obrywa się wtedy wszystkim – poczynając od szeroko pojętej budżetówki, a na nauczycielach, którzy pracują za głodowe pensje, kończąc. – *W Polsce mamy dość absurdałne przekonanie, że jak ktoś wykonuje zawód związany z misją, czy to będzie lekarz, czy nauczyciel, to te osoby nie muszą być wysoko wynagradzane, bo praca sama w sobie jest już nagrodą. To paradoksalne,*

bo to bardzo wymagające zajęcie – tłumaczy dr Puchalska-Kamińska.

Z danych GUS za grudzień 2024 roku wynika, że mediana zarobków wyniosła w Polsce 7266 zł. Bardzo widoczne są różnice między branżami, płcią, wiekiem i miejscem zamieszkania. Według badania przeprowadzonego przez firmę SD Worx blisko 51 proc. Polaków uważa, że ich pensja jest satysfakcjonująca. Według wyliczeń Business Insider to oznacza, że sporą część polskich pracowników zadowala wypłata na poziomie 4,5 tys. zł na rękę miesięcznie. To zaś ewenement na skalę europejską. Według wspomnianego badania SD Worx przeprowadzonego na próbie 18 tys. osób zaledwie 37 proc. europejskich pracowników jest zadowolonych ze swojej wypłaty, zaś kolejnych 26 proc. deklaruje, że nie jest z niej w ogóle zadowolone.

Idzie nowe

– *Jeśli chodzi o rozmawianie o zarobkach, to jako społeczeństwo mamy jeszcze sporo do przepracowania, bo pieniądze nadal pozostają tematem tabu. Bardzo często są one synonimem władzy czy poczucia własnej wartości. Dlatego rozmawiając o pieniądzach, zdarza się, że nie mówimy o tym samym. Nikt nie uczy Polaków, jak wyceniać swoją pracę i rozmawiać o pieniądzach. Warto odrobić tę lekcję chociażby dla przyszłych pokoleń* – mówi dr Malwina Puchalska-Kamińska.

Zmiana pokoleniowa już jednak nadeszła. Młodzi dorośli nie tylko chętnie poznają zarobki swoich znajomych. Aż 69 proc. respondentów uważa, że pieniądze dają szczęście. Chodzi o wyniki badania ogólnopolskiego panelu Ariadna, które przeprowadzono w marcu 2025 roku. Przekonanie o szczęściu biorącym się z pieniądza jest największe w grupie wiekowej od 18 do 24 lat (82 proc. badanych). Twórcy analizy podkreślają ponadto, że wiara w związek posiadanych pieniędzy ze szczęściem jest większa u respondentów, którzy swoją sytuację materialną postrzegają

Dzieci za głośne, matka ukarana

W Golubiu-Dobrzyniu na Kujawach doszło do zaskakującego wyroku sądowego. Dorota Bruździńska została skazana na miesiąc ograniczenia wolności za hałas spowodowany przez jej dzieci w mieszkaniu – normalne dźwięki codziennych zabaw.

Nowi sąsiedzi, państwo K., zaczęli składać skargi, twierdząc, że bieganie i śmiech dzieci zakłócają im spokój oraz uniemożliwiają

oglądanie telewizji. Konflikt narastał, mimo że państwo Bruździńscy podejmowali liczne działania, by ograniczyć hałas: rozłożyli dywany, dzieci nosiły skarpetki antypoślizgowe, a nawet starano się minimalizować odgłosy codziennych czynności, takich jak przygotowywanie posiłków.

Spółdzielnia mieszkaniowa zwróciła uwagę na regulamin dotyczący ciszy nocnej, ale to nie powstrzymało dalszych skarg.

Sąsiedzi złożyli oficjalne zawiadomienie, co doprowadziło do interwencji policji. Dorota Bruździńska musiała złożyć wyjaśnienia. Ku jej zaskoczeniu policja stwierdziła, że zgodnie z przepisami to ona ponosi odpowiedzialność za ewentualne zakłócenia porządku. W efekcie sprawa trafiła do sądu, który wydał wyrok nakazowy, skazując kobietę na miesiąc ograniczenia wolności i obowiązek wykonania 20 godzin prac społecznych.

Rodzina była wstrząśnięta wyrokiem. Matka nigdy wcześniej nie była karana. Przeplakała kilka dni. Jej starszy syn budził się w nocy, płacząc ze strachu, że mama trafi do więzienia. Sprawa oburzyła lokalną społeczność, zwłaszcza sąsiadów, którzy stanęli w obronie Bruździńskich. Wskazywali, że rodzina jest spokojna, a dzieci nie zachowują się uciążliwie. Budynek, w którym mieszkają, jest blokiem z wielkiej płyty, co sprawia, że dźwięki łatwo się rozchodzą, ale to część życia w takim miejscu. Dziennikarze programu

„Interwencja” próbowali ustalić więcej szczegółów, rozmawiając z innymi mieszkańcami. Sąsiedzi podkreślali, że nie słyszą żadnych hałasów, które mogłyby być uznane za wyjątkowo uciążliwe, i byli zaskoczeni, że sprawa trafiła do sądu. Natomiast państwo K. unikali komentarzy, ograniczając się do stwierdzenia, że więcej szczegółów wyjdzie na jaw na rozprawie.

Podczas postępowania sądowego skarżący sąsiad ujawnił, że planuje samodzielnie wyciszyć mieszkanie, wierząc w suficie

Zbrodnia, a kiedy kara?

jako złą. Prawie 30 proc. ankietowanych stwierdziło, że do szczęścia potrzebuje miliona złotych. Zaledwie 10 proc. odpowiedziało, że do poprawy humoru wystarczy im 50 tys. zł.

Według raportu „Jak młodzi Polacy oszczędzają na czarnej godzinie?”, stworzonego przez UCE Research i Syno Poland, 77,4 proc. Polaków w wieku od 18 do 35 lat twierdzi, że odłożyło coś na tzw. czarną godzinę. 12,3 proc. badanych nie ma żadnych oszczędności. Co ciekawe, 10,4 proc. ankietowanych twierdzi, że nie pamięta, czy w ogóle posiada takie zasoby. Są to głównie osoby z wyższym wykształceniem, które wolą nie mówić o wysokości swoich dochodów. – *W większości mogą to być osoby, które wstydzą się tego, że nie mają odłożonych żadnych pieniędzy. Dlatego też wolą jednoznacznie nie wskazywać, ile zarabiają lub udawać, że nie pamiętają o swoich oszczędnościach. Ale może być też tak, że są to dość majątne osoby, które z daleko posuniętej ostrożności nie chcą informować nikogo o swoich zarobkach i ewentualnych oszczędnościach* – mówi Łukasz Zieliński. Z jednej strony mamy więc pewną pokoleniową zmianę, w której temat pieniędzy traktuje się z większą śmiałością. Z drugiej strony cały czas ciąży na części osób strach, że jawność zarobków może odcisnąć na nich społeczne piętno.

Jeśli chodzi zaś o lęki, to generacja Z cierpi na tzw. peniafobię, czyli paniczny strach przed brakiem pieniędzy. To stwierdzenie popiera raport UCE Research i Risify.pl, w którym 47 proc. młodych dorosłych wskazało pustą portfel jako swój największy koszmar. **Wraz z obawą o zbyt szybko topniejący stan konta zmienia się tradycyjny model rodziny. Dom z kredytem hipotecznym na 30 lat i dzieci odchodzą do lamusa. W zamian pojawiają się podróże, rozwijanie pasji i inwestowanie w siebie. Tymczasem ustawa o jawności zarobków trafiła do prezydenta. Los zrównania zarobków kobiet i mężczyzn zależy od jego podpisu.**

KORNEL WAWRZYNIAK
Angora 26/2025

codziennie od wpół do siódmej rano. Wyglądało na to, że miał zamiar uprzykrzyć życie Bruździńskim, by zmusić ich do wyprawki. Sam przyznał, że nie zależy mu na karaniu pani Doroty, ale chce, aby dzieci zachowywały się ciszej. Rodzina Bruździńskich była oburzona, podkreślając, że będzie walczyć o sprawiedliwość.

Dorota Bruździńska złożyła odwołanie od wyroku, argumentując, że rodzic nie powinien być karany za naturalne zachowanie dzieci.

AB
Angora 26/2025

Kat i ofiara

W dużym pokoju na regale stoi ołtarzyk ze zdjęć nastolatki z kruczoczarnymi włosami. Na ławie sarta papierów. Pan Jarosław podnosi kolejno wydruki internetowych konwersacji i czyta fragmenty. „Wasza cudna Majeczka nic się nie zmieniła, zawsze świeciła gołą dupą i narkotykami, jak i ucieczkami z domu”; „Ta dziewczucha napała mnie obrzydzeniem”; „Maja była katem i oprawcą mojego syna”. I jeszcze: „dostała, o co się prosiła”; „śmieć wylądował w koszu, możesz dołączyć”. – Ktoś mógłby pomyśleć, że to nasza córka kogoś zabiła, a nie, że jest ofiarą – tata Mai powoli dobiera słowa, patrząc mi w oczy. – A w to, że autorką tych wszystkich obelg jest matka zabójcy naszej córki, chyba nikt by nie uwierzył.

Żywi nie wrócimy

Do jednej z najbardziej wstrząsających zbrodni ostatnich lat doszło półtora miesiąca temu w Mławie. 16-letnia Maja wyszła z mieszkania na obrzeżach miasta 23 kwietnia wieczorem. Mamie powiedziała wprost, że idzie do Bartka. Z 17-letnim Bartoszem chodziła do szkoły, a kilka lat temu byli sobie bliscy. Ale kontakt urwał się na dwa lata, kiedy Maja z mamą wyprowadziły się tymczasowo do Olsztyna. Teraz, po powrocie do Mławy, mamy nastolatki nie zdziwiło, że ta chciała się spotkać z dawnym kolegą. Maja jednak nie wróciła i rodzina rozpoczęła poszukiwania. Telefon dziewczyny nie odpowiadał, a ostatnią wiadomość Maja wysłała do koleżanki kilkanaście minut po tym, jak wyszła do Bartka. To było jedno słowo: „szybko!”, ale przyjaciółka odczytała sygnał alarmowy dopiero po godzinie, gdy telefon już milczał.

Poszukiwania trwały tydzień. Policja znalazła zmasakrowane i związane ciało 16-latki ukryte w krzakach – niecały kilometr od domu Bartka i położonego tuż obok warsztatu stolarskiego jego rodziny. Warsztatu, w którym – jak ustaliła policja – doszło do spotkania dawnych przyjaciół. Choć organy ścigania bardzo powściągliwie informują o swoich ustaleniach, wiemy, że Bartek zabił nastolatkę siekierą albo młotkiem. Twarz dziewczyny została dosłownie zmasakrowana, a morderca przypalał jej ciało papierosami. Potem próbował spalić zwłoki, oblewając je łatwopalną substancją. Tata Mai usłyszał na komendzie, że „dowody bezspornie wskazują na Bartka”. Tyle że Bartka nie było już w Polsce. W międzyczasie 17-latek wyjechał ze swoją klasą na wymianę szkolną

do greckiego miasta Katerini. Po wystawieniu europejskiego nakazu aresztowania chłopca zatrzymała grecka policja. Dokładnie wtedy do Grecji dojechała jego mama, samotnie wychowująca nastolatka, na co dzień mławska przedsiębiorczyni. Wynajęła prawniczkę, a mec. Maria Chartomantei poinformowała, że będzie wnosila o sądenie nastolatki w Grecji, bo w Polsce „o winie 17-latka już przesądzono”. Gdy sąd pierwszej instancji – wbrew tej tezie – uznał, że ekstradycja Bartka jest dopuszczalna i konieczna, chłopiec próbował się w celi powiesić. Odratowano go i w krytycznym stanie przewieziono do szpitala. Media zauważyły, że kilkanaście godzin wcześniej jego matka opublikowała w internecie post, że ona i syn „żywi do Polski nie wrócą”. Co gorsza, nie był to jej jedyny wpis w sieci opublikowany po zbrodni.

Może spadła ze schodów

Kilka dni po samobójczej próbie Bartka, gdy podejrzany nieco wydobrzała, Katarzyna G. udzieliła wywiadu jednej z greckich telewizji. Podkreślała brak obiektywizmu polskiego wymiaru sprawiedliwości i jednocześnie chwaliła Greków: „Tu czujemy się bezpiecznie. Spotkałiśmy dużo życzliwych osób, Bartka traktują jak człowieka, a nie jak mordercę i zwyrodnialca” – mówiła do kamery. W tej sytuacji postanowiłem sam poprosić Katarzynę G. o rozmowę. Głównie dlatego, że kobieta – co ciekawe – we wszystkich wypowiedziach starannie omijała to, co najważniejsze: szczegóły wieczornego spotkania Mai i Bartka i zachowania jej syna po tym, gdy doszło do zbrodni. Rozmawiamy przez komunikator wideo, za hotelowym balkonem kobiety widać morze, plażowe parasole i kwiaty. – Co się stało w tym warsztacie? – pytam od razu, bo wiem, że kobieta musiała obejrzeć nagranie z monitoringu, zanim przekazała je policji. – Nie wiem. Oni spotkali się w salonie, a tamta kamera jest nieczynna. Potem widać, jak Maja wędruje po korytarzu, naga i na czworakach w kierunku schodów. Może z nich spadła? – A może uciekała przed Bartkiem? – ripostuję. – Nie, bo ona szła swobodnie. – A co w tym czasie robił pani syn? – Siedział obok i szli w kierunku schodów. Co się stało później, na schodach, nie wiem, bo tam kamery nie ma. Mogła spaść, a że była na czworakach, mogła spaść przodem – dywaguje Katarzyna G., a ja przechodzę do internetowych postów. – Czy obraźliwe wpisy są na miejscu, skoro ona jest ofiarą, a Bartek jedynym



podejrzewanym o jej okrutne zamordowanie? – Uważam, że są na miejscu, bo ja w nich piszę prawdę! – oburza się kobieta. – „Rodzina może być z niej dumna, jakiego potwora wychowała” – cytuję pierwszy lepszy. – Tak uważam – brnie matka Bartosza G. – Fotomontaże hejtujące Bartka na Instagramie były bardzo uwłaczające i nie jeden dorosły mógłby tego nie udźwignąć.

Sprawa hejtu wobec 17-latka stała się przyczyną porównań mławskiej zbrodni do głośnego serialu „Dojrzwanie”, gdzie nastolatek zabija nastolatkę z powodu internetowego hejtu. Fakt, w sieci pojawiały się wiele miesięcy temu obraźliwe wobec chłopca treści. Takie jak post z głową Bartka w środku wielkiej kupy, czy też jego zdjęcie z dorysowanymi czerwonymi różkami i podpisem „Diabełek Bartuś. Bartek p... swoją dupę sprzedał”. Tyle że do ich publikacji przyznała się inna jego koleżanka, a mama Bartka – mimo wielokrotnych oskarżeń wobec Mai – nie podała ani jednego dowodu, że miała ona z tym coś wspólnego.

Ona nie żyje, a mój syn cierpi!

Skąd mógł wziąć się hejt wobec Bartka? Nowe światło na sprawę rzucają jego dawni koledzy, z którymi udało mi się porozmawiać. – Nasz kontakt się urwał, bo Bartek stawał się bardzo agresywny wobec rówieśników – opowiadają. – Od razu wyzywał, mógł nawet z rękoma wylecieć. – Działal tu na terenie Mławy z kolegami, tworząc „gang G...”, zwany tak od jego nazwiska – dodaje ich mama (chłopcy są braćmi). – Czasem wystarczyło jedno spojrzenie i były wulgaryzmy, groźby. Nieraz Bartek bił słabszych i młodszych kolegów. – A jego mama reagowała? – dopytuję. – Nie. Zawsze był dla niej okiem w głowie.

Katarzynie G. przypominam jej kolejne posty. – Czy naprawdę uważa pani, że Maja była „oprawcą” pani syna? – Tak, bo byłam w tym wszystkim razem z Bartkiem. – Dlaczego się tego wieczora z nią spotkał, skoro ona go hejtowała, a on jej unikał? – wracam do opisu zdarzeń. – Syn nie

pamięta zdarzenia, więc nie mogę się tego dowiedzieć. Może chciała go czymś zastraszyć? – ucina kobieta. – A co Bartek powiedział, jak wrócił z warsztatu? Nie mówił, że spotkał się z Mają? – Nie. On tego nie pamięta – utrzymuje Katarzyna G. – Wyszęd, wrócił i nagle nie pamiętał, co robił? – nie dowierzam. – Nie. Musiałoby dojść do czegoś tragicznego, jeśli on wyparł to ze świadomości.

Dr Wojciech Kasprzyk, adwokat rodziny Mai, ma bardzo proste wytłumaczenie zachowania mamy Bartka: – Prawdopodobnie to taktyka, by uniknąć odpowiedzialności. W czasie poszukiwań Mai Katarzyna G. mówiła, że dziewczyny tam nie było, że przyszła i zaraz poszła, więc mamy do czynienia z mataczeniem.

– Może problem w tym, że pani nie dopuszcza w ogóle tego, że pani syn mógł Maję zamordować? – to ostatnie pytanie do mamy Bartka. – Znam swoje dziecko – głos Katarzyny G. brzmi wyjątkowo dobitnie. – I dla mnie niezrozumiałe jest, żeby mój syn mógł się dopuścić morderstwa. Uważam, że nie byłby do tego zdolny. A jeżeli tak, jestem ciekawa opinii specjalistów, co mogłoby być tego przyczyną. Od niego możemy się tego nie dowiedzieć, bo po próbie samobójczej może mieć problem z pamięcią. Jak pan myśli, jak on się czuje, gdy jest w areszcie i nie wie, dlaczego tam jest?! On cierpi!

– A może chodzi po prostu o to, żeby przed sądem iść w jego niepojętą? – Jarosław Kowalski, tata Mai, kontruje dywagacje matki Bartka i dodaje: – Niezależnie od tego, jak jest naprawdę, nasz adwokat pisze wobec Katarzyny G. pozew do sądu za obrażanie nas i mojej córki, która sama już nie może bronić się przed atakami matki zabójcy.

Prawdopodobnie w ciągu kilku tygodni grecki Sąd Najwyższy ostatecznie zdecyduje o wydaniu 17-latka Polsce. W ojczyźnie grozi mu 30 lat więzienia.

TOMASZ PATORA
Fot. autor

Autor na co dzień jest reporterem telewizji TVN. Jego reportaże na ten temat ukazał się kilka dni temu w programie „Uwaga!”
Angora 25/2025

Ale warto obejrzeć

Kolekcja im. Jana Pawła II Fundacji Carroll-Porczyńskich

Muzeum pełne wątpliwości

Jesienią 1987 roku bardzo trudno było w Polsce o jakiegokolwiek optymizm, nawet urzędowy. Według oficjalnych danych gospodarka PRL kurczyła się rocznie o prawie 1,5 proc.; tzw. nawis inflacyjny, czyli nadwyżka środków pieniężnych znajdujących się w rękach społeczeństwa nad wartością dóbr oferowanych na rynku, sięgał 30 proc., a dewizowe zadłużenie zagraniczne osiągnęło pułap czterdziestu miliardów dolarów. Taka luka powodowała zjawisko przymusowego oszczędzania – ze względu na pustki na sklepowych półkach dużej części zarobionych pieniędzy Polacy w ogóle nie byli w stanie wydać, nawet gdyby chcieli.

W takiej przynębiającej atmosferze w czwartkowy listopadowy wieczór na warszawskim Solcu odbywało się wydarzenie dosłownie z innego świata. Ówczesna siedziba Muzeum Archidiecezji Warszawskiej od lat była miejscem spotkań opozycyjnych kręgów kulturalnych – organizowano tu niezależne prelekcje, wystawy oraz koncerty. Ranga tych wydarzeń miała się jednak nijak do tego, co miało nastąpić. „05.11.1987” – tylko to wybił wielką czcionką w tytule swojej relacji „Tygodnik Powszechny”, jasno sugerując, że data ta rozpoczyna nową erę w historii polskiej kultury. W Warszawie po raz pierwszy pokazano publicznie oszałamiającą kolekcję malarstwa europejskiego Zbigniewa i Janiny Porczyńskich – kolekcję tak obszerną, że w skromnych progach archidiecezjalnego muzeum starczyło miejsca do wyeksponowania jedynie jej części. Rembrandt, Tycjan, Caravaggio, Rubens, Velazquez, van Gogh, Dürer, Cranach, van Dyck, Tintoretto, Renoir, a być może nawet zaginiony obraz Leonarda da Vinci – prasa nie ustawała w przetrzymywaniu się nazwiskami dawnych mistrzów, których arcydzieła znalazły się w kolekcji Polonusów milionerów, przekazanej na ręce Kościoła jako dar dla narodu polskiego. Otwierając wystawę prymas Polski kardynał Józef Glemp przypominał, że kilka miesięcy wcześniej, w trakcie swojej trzeciej pielgrzymki do Polski, obrazy w trakcie prywatnego pokazu podziwiał sam papież Jan Paweł II, który wyraził zgodę, aby kolekcja nosiła jego imię. Chwalono przenikliwość darczyńców patriotów, którzy korzystając z pośrednictwa Kościoła, zabezpieczyli się przed możliwością przejęcia podarowanych obrazów przez komunistyczne władze.

Kolekcjonerzy amatorzy

Z oficjalnych, momentami nieco tajemniczych, życiorysów małżeństwa Porczyńskich wylania się obraz bohaterów bez skazy. Ich drogi

przebiegały się dopiero na emigracji, w Wielkiej Brytanii. Zbigniew Karol Porczyński trafił tam więziony uprzednio najpierw przez Sowieć (dzięki ucieczce uniknął śmierci w Katyniu), a potem przez Niemców (na Pawiaku, w Auschwitz i Buchenwaldzie). Droga Janiny Karp wiodła przez syberyjskie zesłanie i południowoafrykańską Rodezję. Na Wyspach wzięli ślub, tam też zdobyli staranne wykształcenie – ona socjologiczne, on chemiczne, ukończone doktoratem. Majątek przyniosły im przede wszystkim liczne wynalazki i patenty przemysłowe Porczyńskiego, znanego na Zachodzie jako Charles Carroll. Na początku lat osiemdziesiątych XX wieku, u progu emerytury, postanowili pozbyć się całego majątku (łącznie z „osobistą biżuterią pani Janiny”) i całość uwolnionych środków finansowych zainwestować w stworzenie specjalnej kolekcji.

Podjąwszy kluczową życiową decyzję, Porczyńscy rzucili się w wir aukcyjnych zakupów, nabywając, co brzmiało wręcz surrealistycznie, aż dwieście obrazów w ciągu pierwszego roku (a w sumie kilkaset w ciągu kilku lat). Nie da się ukryć, że na międzynarodowym rynku sztuki byli absolutnymi nowicjuszami. Aby zminimalizować ryzyko zakupu sfałszowanych dzieł sztuki, nie kupowali ich nigdy od handlarzy ani osób prywatnych, a jedynie za pośrednictwem i doradztwem renomowanych domów aukcyjnych, przede wszystkim nowojorskiego Sotheby's, londyńskiego Christie's, ale też mniej prestiżowych – Bonhams oraz Phillips. Mimo to, jak wspominali sami Porczyńscy, nie obeszło się bez wpadek, gdy mając w ręku prawdziwe arcydzieła, za złym podszeptem wypuścili je niemal za bezcen. Tu Zbigniew szczególnie żałował obrazów Veronesego, Tycjana i Rubensa, a Janina – Canaletta.

Zachęcone entuzjastycznym przyjęciem małżeństwo zaczęło przygotowywać się do finalnego kroku, czyli przeniesienia

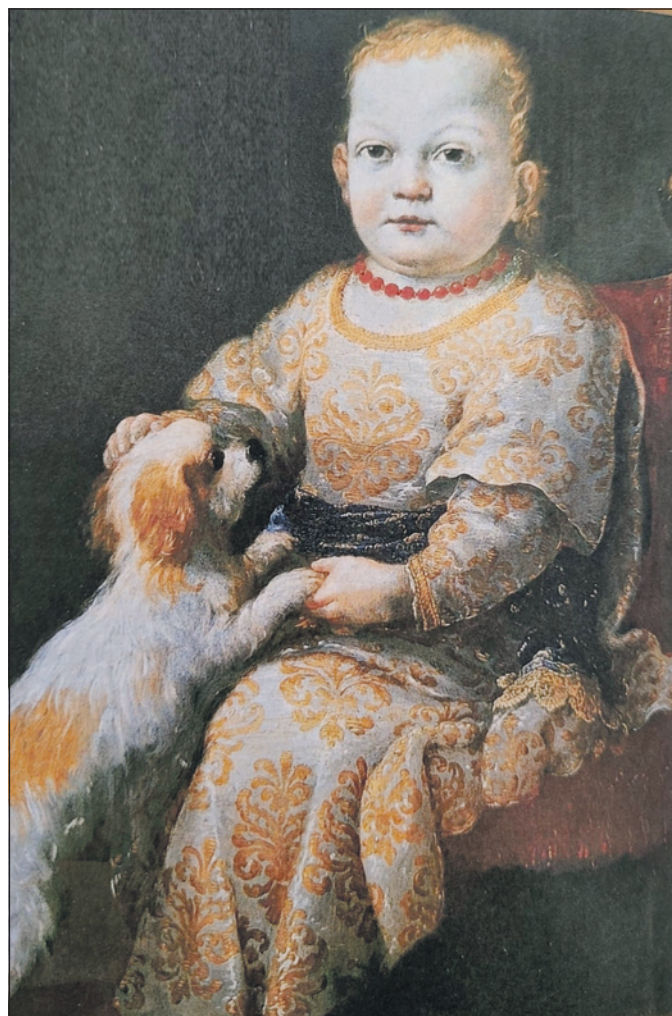
bezcennej kolekcji do kraju. Na początku sierpnia skierowali list do osobistego sekretarza Jana Pawła II, czyli Stanisława Dziwisza. Zaproponowali „zaofiarowanie Polsce przez Ojca Świętego lub przez Kościół Katolicki w Polsce” kolekcji malarstwa „wartej od 10 do 15 milionów dolarów.

Watykańska maszyna urzędnicza tym razem zadziałała błyskawicznie i już tydzień później Porczyńscy otrzymali bardzo uprzejmą informację zwrotną, aby zwrócili się z tą propozycją do sekretarza Konferencji Episkopatu Polski księdza

od kradzieży i pożaru), stałej konserwacji, wydania katalogów kolekcji oraz stopniowego opracowania naukowego całego zbioru. W grudniu pierwszy z dziesięciu transportów z bezcennymi obrazami dotarł do Warszawy.

Pierwsze wątpliwości

Przyjęcie i zabezpieczenie tak licznej zbioru bezcennych arcydzieł wielkich mistrzów przez niewielki i niedoświadczony zespół kościelny muzeum było niesamowitym wyzwaniem, nic więc dziwnego, że warszawska metro-



Obraz „Dziecko z rodu Medyceuszy” przypisywany Tycjanowi. Niestety, nie wygląda, jakby wyszedł spod pędzla mistrza

Fot. Muzeum Kolekcji im. Jana Pawła II

arcybiskupa Bronisława Dąbrowskiego. Dalej sprawa potoczyła się również bardzo szybko i już w październiku tegoż 1986 roku została zawarta w Paryżu wstępna umowa między Fundacją Arteks doktora Charlesa Carrolla a Muzeum Archidiecezji Warszawskiej w sprawie przekazania do depozytu kolekcji malarstwa, a to dla „uczczenia pontyfikatu Polaka Jana Pawła II. Deponując dużą kolekcję, Muzeum Archidiecezji brało na siebie nie małe zobowiązania – nie tylko właściwego jej wyeksponowania, ale też zabezpieczenia (warunki klimatyczne, zabezpieczenie

polia chętnie korzystała z pomocy ludzi kultury z kręgów „Solidarności”. Wtedy też pojawiły się pierwsze wyrażane pokątnie wątpliwości, o których po latach wspominał opozycyjny dziennikarz i krytyk sztuki Andrzej Oseka: „W Muzeum Archidiecezji rozpakowane obrazy oglądają przedstawiciele Kościoła, artyści, historycy sztuki, muzealnicy. Wśród tych ostatnich wielkie nadzieje raptownie przygasają, jednak całkiem się ich pozbyłoby trudno, z wielu względów. Jest w tej kolekcji niemało ciekawych prac (...). Czuje się często wielką kulturę malarską Florencji,

Bolonii, Niderlandów. Nagle jednak ukazuje się jako Tycjan pokraczny portret dziecka z pieskiem, o materii głuchej, z weneckim kolorystą niemającej nic wspólnego. Dalsze przykre niespodzianki to Rembrandt, Tintoretto, Rubens”.

Do naukowego przebadania obszernej kolekcji potrzeba było bardzo dużo czasu, niemałych środków finansowych i determinacji ofiarodawcy. Brakowało każdej z tych trzech rzeczy, a błyskawicznie zbliżała się trzecia pielgrzymka Jana Pawła II do ojczyzny, któremu planowano zaprezentować część zbiorów w trakcie specjalnego pokazu. Doszło do niego późnym wieczorem 13 czerwca 1987 roku w Domu Arcybiskupów Warszawskich. Fotoreporterzy obfotografowali Janinę i Zbigniewa Porczyńskich objaśniających papieżowi sekrety swojej kolekcji, a po chwili doszło do zadziwiającej sytuacji, gdy Jan Paweł II został zaskoczony propozycją, aby kolekcja przyjęła jego imię. „Dar państwa Porczyńskich jest wielkim wkładem w kulturę polską, jak i w kulturę światową” – stwierdził Karol Wojtyła, wyrażając zgodę, ku radości wszystkich zgromadzonych.

Po prezentacji dla Ojca Świętego i pierwszej publicznej wystawie części kolekcji w Muzeum Archidiecezji w 1988 roku ukazał się bogato ilustrowany album wydany przez Krajową Agencję Wydawniczą. Tym razem głos zabrał dyrektor Muzeum Łazienek Królewskich profesor Marek Kwiatkowski, który uderzył w wysokie tony, stwierdzając, że obecność w kolekcji dzieł takich malarzy jak Cranach, Tintoretto, van Dyck, Goya oraz Velazquez uprawnia do „uznania tego daru za królewski”. Nieco ostrożniej wypowiadał się ksiądz Andrzej Przekaziński, dyrektor Muzeum Archidiecezji Warszawskiej, tłumacząc przypisanie do obrazów „najprostszych not atrybucyjnych” pośpiechem, z jakim przygotowywano ten pierwszy całościowy katalog kolekcji – pośpiechem zrozumiałym w obliczu „społecznego zainteresowania”.

Do grona nieoficjalnych sceptyków kolekcji dołączył znany tenista Wojciech Fibak, który z uwagą na posiadane środki finansowe, międzynarodowe obycie i wieloletnie zainteresowanie rynkiem sztuki najszybciej mógł uchodzić w ówczesnej Polsce za światowca. W przytoczonej przez Janusza Miłszkiewicza ustnej (ale publicznej) wypowiedzi sportowiec stwierdził: „To nie są kolekcjonerzy. To są ludzie, którzy przypadkowo zaczęli nabywać obrazy tylko dlatego, że byli wiedzeni swoją wizją humanistyczną i powołaniem religijnym (...). Oni sami nie kupowali. Zlecali to innym”. Gdy ktoś z sali replikował, że mogli mieć doskonałych doradców, Fibak odparł: „Ja znam te rzeczy od podszewki. W tamtych kręgach, jeśli ktoś ma znakomitych doradców, to zwykle

Ale warto obejrzeć

są oni związani z domami aukcyjnymi i zależy im tylko na tym, żeby sprzedać”.

Kolekcja w nowej siedzibie

W międzyczasie fundator skonfliktował się z księdzem Andrzejem Przekazińskim. Oficjalnie powodem zatargu były niewłaściwe warunki przechowywania obrazów, które dyrektor archidiecezjalnego muzeum miał zdaniem Porczyńskiego niszczyć, w tym także przez przypalanie i cięcie nożem (sic!). Nieoficjalnie mówiło się, że kością niezgody była kwestia specjalistycznych badań kolekcji, na które wbrew woli ofiarodawcy należał ksiądz Przekaziński. Aby nie eskalować konfliktu, za zgodą kardynała Józefa Glempa obrazy zostały dyskretnie przetransportowane i złożone na przechowanie u księży paulinów na Jasnej Górze. Prymas przewidywał, że zbiory wrócą do Warszawy już do nowej, bardziej prestiżowej siedziby, w budynkach poseminaryjnych przy Krakowskim Przedmieściu. Tak się jednak nie stało, ponieważ do gry o zaszczyt goszczenia Kolekcji im. Jana Pawła II włączył się drugi potężny gracz. Mające niewiele życia przed sobą komunistyczne państwo.

Zarówno Muzeum Historii Polskiego Ruchu Rewolucyjnego, jak i warszawskie Muzeum Lenina nie cieszyły się w 1989 roku przesadnym zainteresowaniem, nawet jako żelazny punkt wycieczek szkolnych. I to właśnie dyrektorka tej pierwszej instytucji miała wpasnąć na pomysł, aby oba muzea, częściowo dublujące się, połączyć w jedno, a wolnioną siedzibę przy placu Bankowym 1 przekazać powołanej w międzyczasie także w Polsce Fundacji Artek. Oczywiście decyzje w tej sprawie zapadały gdzie indziej, dosłownie na najwyższym szczeblu – w Belwederze Zbigniew Porczyński uzyskał poparcie generała Wojciecha Jaruzelskiego, a w Komitecie Centralnym PZPR pierwszego sekretarza Mieczysława Rakowskiego. Ponieważ latem 1989 roku zmiany polityczne w Polsce radykalnie przyspieszyły, ostatecznie umowę o przekazaniu budynku w nieodpłatne użytkowanie dla fundacji Porczyńskich podpisała już Izabella Cywińska, minister kultury i sztuki w pierwszym niekomunistycznym rządzie Tadeusza Mazowieckiego. Małżeństwo ofiarodawców zyskiwało w bezpłatne i bezterminowe użytkowanie ponad tysiąc siedemset metrów kwadratowych wyremontowanej powierzchni wystawienniczej w przepięknym klasycystycznym gmachu Antonia Corazziego, dawnej siedziby Banku Polskiego i Giełdy. Wspaniała kolekcja europejskiego malarstwa wreszcie zyskiwała równie efektowną oprawę. W celu zalegalizowania nowej sytuacji Konferencja Episkopatu Polski zawarła z Fundacją Artek (w porozumieniu z ministrem kultury i sztuki) lakoniczną umowę

w sprawie utworzenia wspólnego Muzeum Kolekcji im. Jana Pawła II Fundacji Carroll-Porczyńskich w Warszawie. W kwietniu 1990 roku po raz pierwszy udostępniono dla zwiedzających całość kolekcji (czterysta trzydzieści obrazów). Na fundatorów spadł deszcz nagród i odznaczeń. Jeszcze w 1988 roku zostali wyróżnieni Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, a cztery lata później zo-

małostkowy, jeśli nie haniebny. I wreszcie, jako *ultima ratio* nad zbiorami z placu Bankowego unosił się nimb autorytetu Jana Pawła II. Dla wielu osób atakowanie wartości papieskiej kolekcji było równoznaczne z atakowaniem Ojca Świętego.

Pracownik Instytutu Sztuki PAN doktor Mieczysław Morka już wtedy uchodził za *enfant terrible* polskich krytyków malarstwa i słynął

Szczególnie zaniepokoiła go zapowiedź opublikowania przez Morkę cen katalogowych i transakcyjnych obrazów pozyskanych do kolekcji. Dyrekcja Instytutu Sztuki PAN zaproponowała zamieszczenie polemiki w kolejnym numerze. Jednocześnie poczyniono przygotowania, aby utrudnić Zbigniewowi Porczyńskiemu możliwość wykupienia całego nakładu periodyku, a w razie takiej ewentualności

w merytoryczne zastrzeżenia Mieczysława Morki do poszczególnych obrazów, warto zauważyć, że zwrócił on uwagę na bezdyskusyjny fakt, możliwy do odnotowania nawet przez absolutnego amatora. W kolejnych poświęconych kolekcji katalogach i albumach atrybuując wielu obrazów zmieniały się (prawie zawsze w górę), zazwyczaj bez przekonującego uzasadnienia. Przytoczenie oryginalnych opisów aukcyjnych, cen szacunkowych i transakcyjnych nabytków (często zaskakująco niskich) budowało dla tej obserwacji dodatkowy, raczej złowrogi kontekst: Mamy do czynienia z „prezentowaniem zwiedzającym oraz czytelnikom kupionym w pełni świadomie kopii jako oryginalnych bądź warsztatowych dzieł wielkich mistrzów malarstwa europejskiego”.

W obronie zbiorów im. Jana Pawła II

Zamiast merytorycznej polemiki na łamach niszowego periodyku Zbigniew Porczyński wybrał pełnoskalowy atak przy otwartej kurtynie, korzystając z przysług wciąż przychylnych mu mediów, zaufanych ekspertów oraz... polityków. W felietonie „Odrażający doktor Morka” Jerzy Waldorff wprost stwierdził, że intencją krytyka sztuki jest „dobicie już chorego na serce dr. Porczyńskiego” i wysyłał tego pierwszego do spowiedzi. Nic dziwnego, że po takich publikacjach do Instytutu Sztuki PAN zaczęły napływać anonimowe pogróżki. Członkowie Rady Naukowej Muzeum Kolekcji im. Jana Pawła II zapewniali, że fundator dysponuje ekspertami światowej klasy specjalistów, takich jak dyrektorzy Luwru, Rijksmuseum w Amsterdamie, Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych w Madrycie. Spory kaliber miało oświadczenie Rady Kultury przy Prezydencie RP, która w obliczu „zacieklności ataków przypuszczanego na unikalny w Polsce zbiór dzieł sztuki i jego twórców” dramatycznie pytała:

– Komu i dlaczego zależy na dyskredytacji muzeum?

– Komu i dlaczego zależy na dyskredytacji ludzi, którzy dzieło swego życia przywieźli do Polski i ofiarowali polskiemu narodowi?

– Komu i dlaczego zależy, aby w taki sposób prowadzona kampania przyczyniała się do obniżenia w opinii zagranicznych kolekcjonerów wartości dzieł znajdujących się w muzeum?

To bezprecedensowe pismo podpisał m.in. prezydencki minister Andrzej Zakrzewski, znany artysta Franciszek Starowieyski, historyczka idei Maria Janion oraz historyk starożytności Aleksander Krawczuk. Wylał się wspomniany wcześniej, również wchodzący w skład tego gremium, Andrzej Osęka, który zauważył, że



Jan Paweł II z małżeństwem Porczyńskich na specjalnym pokazie kolekcji w 1978 roku

Fot. Muzeum Kolekcji im. Jana Pawła II

stali pierwszymi po wojnie honorowymi obywatelami miasta stołecznego Warszawy. W 1990 roku Politechnika Warszawska nadała Zbigniewowi Porczyńskiemu doktorat *honoris causa* za wybitne osiągnięcia na polu chemicznym.

Autentyczne dzieła czy falsyfikaty?

Wyraźnie umocniony w przekonaniu o przełomowym znaczeniu swojego daru w historii polskiej kultury Zbigniew Porczyński z tym większą determinacją przystąpił do zwalczania głosów nielicznych sceptyków. „Czasami u krytyków brak jest znajomości poszczególnych szkół malarzkich” – pouczał, sugerując, że z powodu naszej zaścianowości nie ma w Polsce osób z odpowiednim przygotowaniem, aby zajmować się wielkim malarstwem europejskim. Do tego, jak ostrzegał z troską, „pózwazanie autentyczności obrazów jest równoznaczne z kwestionowaniem wiarygodności domów aukcyjnych, z których pochodzą. Za to na Zachodzie można zostać zaskarżonym do sądu”. Wielu krytyków obezwładniał fakt, że ta cenna (tak czy inaczej) kolekcja była darem dla narodu polskiego. Kwestionowanie kompetencji, a nawet uczciwości szlachetnych ofiarodawców zakrawało na czyn

z tego, że raczej nie gryzie się w język. Na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XX wieku pracował nad katalogiem malarstwa włoskiego w polskich zbiorach kościelnych. Po przeniesieniu kolekcji Porczyńskich na plac Bankowy w pierwszym odruchu zrezygnował więc z dalszego jej opracowywania. Nie dawały mu jednak spokoju „kolejne anonimowe publikacje o kolekcji, ostatnio także obcojęzyczne, przekazujące czytelnikom te same albo i zmieniane, ale wciąż błędne, niekiedy wręcz żenujące atrybucje”. Narzekał przy tym na znanych historyków sztuki, którzy włączyli się „w prowadzoną nie pod merytorycznymi, lecz narodowo-patriotycznymi hasłami” kampanię, która miała spacyfikować pojawiające się wątpliwości. Swoimi podejrzeniami Morka podzielił się najpierw podczas odczytu w Instytucie Włoskim w Warszawie, gdzie zapowiedział również publikację na łamach wydawanego przez PAN „Biuletynu Historii Sztuki” o nakładzie kilkuset egzemplarzy. Dowiedziawszy się o tych planach, Zbigniew Porczyński zareagował kolejny raz kompletnie nieadekwatnie do sytuacji, żądając najpierw udostępnienia mu tekstu przed upublicznieniem, a później, pod groźbą pozwu sądowego, wstrzymania druku artykułu.

umożliwić szybki dodruk numeru. Darczyńca nie miał jednak w ogóle takich planów, triumfując później, że część nakładu nie została sprzedana.

Artykuł „Malarstwo włoskie w kolekcji J. i Z.K. Porczyńskich. Problemy atrybucji” mimo niepotrzebnych złośliwości zdawał się spełniać kryteria rozprawy naukowej i była to rozprawa wymierzająca bardzo silne ciosy tej części zbiorów, która pochodziła z Półwyspu Apenińskiego. „Największą (...) grupę obrazów stanowią kopie, przede wszystkim dzieł najwybitniejszych artystów” – rozpoczynał swoje rozważania Morka. Dalej nie było dużo lepiej: „Osobną grupę stanowią (...) obrazy o błędnych, niekiedy wręcz fantastycznych atrybucjach oraz obrazy, które na aukcjach miały nieco inne, bardziej ostrożne atrybucje, które następnie, bez żadnego uzasadnienia, zostały zmienione w katalogach i albumach, tak aby podnieść rangę poszczególnych obiektów, a co za tym idzie i całej kolekcji”. Na koniec pracownik Instytutu Sztuki PAN przyznawał, że w zbiorach Porczyńskich znajduje się również „grupa dzieł, których autorstwo wydaje się prawdopodobne”, co jednak wymagałoby ostatecznego naukowego potwierdzenia. Nie wchodząc w tym miejscu

W siodle przez wieki

Jeźdźca prześcignęła dopiero w 1830 roku lokomotywa parowa

Kto pierwszy dosiadł konia?

W 2006 roku na stanowisku archeologicznym w północnym Kazachstanie, gdzie niegdyś żyły ludy związane z kulturą Botai, zespół pod przewodnictwem zooarcheolożki Sandry Olsen przekopał prehistoryczne wysypiska śmieci, aż trafił na kopalnię złota (przynajmniej dla historyka), tj. grubą warstwę końskiego nawozu sprzed 5600 lat.

Jako że w żadnej kulturze – w przeszłości ani współcześnie – nie zwracano sobie głowy wyrzucaniem odchodów dzikich zwierząt, odkrycie Olsen to pierwszy w dziejach dowód na udomowienie konia. Śmieszniak Botai z końskim nawozem to odpowiednik naszego kosza na śmieci – znajdują się tam kupy kocie i psie, ale nie niedźwiedzie. Gdyby w przyszłości jakiś archeolog wykopał nasze odpady, od razu wiedziałby, które zwierzęta udomowiliśmy.

Do jedzenia, a nie do jeżdżenia

Nawóz w osadzie Botai to jeden z najstarszych dowodów na udomowienie konia, lecz wielu badaczy podejrzewa, że ludy te przejęły zwyczaj hodowli od starszych kultur pasterskich sąsiadujących z nimi od zachodu, które również udomawiały zwierzęta. Naukowcy do dziś nie osiągnęli konsensusu,

kto tak naprawdę pierwszy oswoił konia.

Wiadomo jednak, jakie pierwotnie miały przeznaczenie: służyły nie do jeżdżenia, lecz do jedzenia. Konie traktowano jako źródło mięsa i mleka, a na surowym stepie wyjątkowo ceniono fakt, że pasły się mimo śniegu, w przeciwieństwie do bydła i owiec. Nic nie świadczy o tym, żeby z początku je ujeżdżano – przyczyną był zapewne brak możliwości zapanowania nad zwierzęciem. Nie znano wtedy siodła, strzemion, a przede wszystkim uzdy. Bez opcji skrętu i zatrzymania się przejażdżka byłaby eksperymentem krótkim i groźącym połamaniem kości. Sporadycznie ktoś może decydował się na taki popis, ale koń bez uzdy to jak motocykl bez kierownicy: to eksperymentujący wygrywał, lecz środek transportu kiepski.

Kultura Botai wszystko zmieniła

W 2009 roku na stanowisku archeologicznym Botai antropolog David Anthony znalazł komplet osobliwie pościeranych końskich zębów; można by je umieścić obok odcisku buta Neila Armstronga na Księżycu oraz pierwszej poślubionej koleinami drogi w Niemczech jako dowód najdonioślejszych momentów w historii transportu.

Jak ustalili później Anthony, drobne otarcie (zaledwie kilka strużyn z przedniego trzonowca) to dokładnie takie uszkodzenie, jakiego koń doznaje od uzdy.

Starte końskie zęby nie brzmią imponująco w zestawieniu ze śladami w księżycowym pyłe czy prastarymi drogami, ale to one właśnie pokazują, jak po raz pierwszy w dziejach ludzkości ktoś przemieszczał się po lądzie szybciej niż na własnych nogach.



Dopiero wynalezienie uzdy umożliwiło jazdę konną

Fot. Al

Powiedzieć, że wynalazca udy udoskonalił transport lądowy, to mało – on go stworzył od zera.

Kto udomowił konie?

Nazwijmy go Napoleonem, na cześć Napoleona Cybulskiego, polskiego fizjologa, który pierwszy wyizolował adrenalinę – hormon, który odegrał rolę w chwili olśnienia.

Napoleon urodził się w północnym Kazachstanie blisko 6000 lat

temu, a więc mniej więcej wtedy, gdy tysiące kilometrów na zachód wytwarzano pierwsze wyroby z brązu, tworzyły się wczesne miasta, a skrybowie zaczęli wyśkrobywać słowa na glinianych tabliczkach. Nasz bohater nie miał jednak pojęcia o tych postępach cywilizacji. Należał do kultury Botai opanowanej przez absurdalną obsesję na punkcie koni. Kiedy akurat nie doglądał udomowionych zwierząt, pieszo polował na dzikie. Konina stanowiła podstawę jego diety, a większość napojów zawierała końskie mleko. Rano pijał je świeże, potem zostawiał, żeby sfermentowało, i wieczorem spożywał już w formie kumysu – kwaskowatego napoju alkoholowego. Nie uprawiał ziemi ani nie hodował innych zwierząt, co najwyżej zajmował się psami. Z końskich kości wyrabiał narzędzia, z włosów – liny, a skóry wyprawiał; kiedy zaś umarł, bliscy pochowali go z koniem.

Anthony twierdzi, że jeśli nawet Napoleon ujeżdżał konie jeszcze przed wynalezieniem uzdy, zapewne trwało to krótko i miało charakter popisu jak na rodeo. Coś w rodzaju wyczynu nastoletniego chojraka, który nie ma jeszcze w pełni rozwiniętej kory przedczołowej. Gdyby Napoleon żył w dzisiejszych czasach, pewnie często byłaby u lekarza.

Muzeum...

→ 13

Rada nie powinna wchodzić w rolę sędziego w sprawach artystycznych, gdyż takie działania mogą być odbierane jako „próby wpływu na ocenę naukowe metodami politycznymi”. Doniosły promi test wybrzmiał też z trybuny sejmowej, skąd poseł Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego Marcin Libicki działania służące „dyskredytowaniu” dzieła fundatorów nazwał zwykłą „podłością”. W lutym 1993 roku sprawa stanęła też na prowadzonym przez Ryszarda Czarneckiego (również z ZChN) posiedzeniu sejmowej Komisji Kultury, gdzie zaproszono jednak tylko jedną stronę. Zbigniew Porczyński żalił się, że otrzymał informacje, iż o publikacji słyszano w Australii i „to już poszło na całego świat”. Poseł Andrzej T. Potocki uspokajał fundatora, że niezależnie od rozstrzygnięcia sporu znajduje się wraz z małżonką „w sytuacji moralnych zwycięzców”. Najbardziej rzeczowo wybrzmiał głos Danuty Waniek z Sojuszu Lewicy Demokratycznej, która zasugerowała „odwołanie się do jakiegoś międzynarodowego zespołu rzeczoznawców”, ale ponieważ tego wątku nikt nie podjął, posiedzenie

zakończyło się bez jakichkolwiek konkluzji.

Tycjan z angielskim podpisem

Niewiedza lub błędy darczyńców w zakresie właściwej oceny wartości artystycznej nabytych obrazów to jedno. Zupełnie inny kaliber miały zarzuty historyka sztuki o celowym rasowaniu kolekcji poprzez nieuzasadnione podnoszenie atrybucji obrazów, zabieganie o reprodukcje ich w albumach, inicjowanie naukowych rozpraw o ich wartości artystycznej i wykorzystanie ich na wystawy i organizowanie własnych. Innymi słowy, miało tu chodzić o zaplanowane i konsekwentnie realizowane oszustwo, wszystko pod sztandarami Jana Pawła II, w wyjątkowo bezkrytycznym otoczeniu. Ponieważ analizowanie w tym miejscu obraz po obrazie całej kolekcji mijają się z celem, przyjrzymy się tylko kilku znanym przykładom reprezentującym różne sytuacje.

Nawet dla malarskiego laika, oglądającego jedynie barwną reprodukcję niezłej klasy, dzieła „Dziecko rodu Medyceuszy” nie sposób powiązać z maestra Tycjana, którego obrazu już w latach osiemdziesiątych XX wieku licytowano za kwoty sześć- czy siedmiocyfrowe. Taką atrybucję wykluczała już sama

nieforemną, upiornie prześwieconą głową dziecka, do tego pokraczny pies, który niektórym przypominał raczej owcę. Zdaniem Moriki obraz ten Porczyński zakupił za kwotę tysiąca osmiuset funtów jako dzieło Jacopa da Empoli (Chimenti) znajdującego się do końca XIX wieku w zbiorach lorda Arundela w angielskim zamku Wardour i opisane tam jako autorstwa Tycjana. W publikacji KAW z 1988 roku jest opisany jako „Tiziano Vecellio, przypisywany” (co już było dużym awansem). Zgłądałem do skromnego, wydanego nieco chałupniczo, katalogu Artekstu z 1990 roku – tu również portret jest jedynie przypisywany włoskiemu mistrzowi, ale pojawiają się informacje, że „badania rentgenowskie i promieniami podczerwonymi potwierdzają atrybucję Tycjana”, a po odczyszczeniu obrazu odnaleziono datę 1537 oraz „niewyraźne ślady napisu: «TITIAN» (?)” (a więc napisu w wersji angielskiej, a nie włoskiej!). Owe naukowe badania musiał przeprowadzać nie kto inny, jak sam Zbigniew Porczyński, który jeszcze w czasach prezentacji zbiorów w Muzeum Archidiecezji potrafił wytropić na obrazach sygnatury, których za nic nie dostrzegali historycy sztuki, książd Andrzej Przekaziński. Na koniec otwieram przepiękny album Wydawnictwa Arkady z 1991 roku,

który udało mi się nabyć, ku mojej wielkiej radości, w wersji z autografem Zbigniewa Porczyńskiego. Jedno z pierwszych prezentowanych dzieł: „TYCJAN, właśc. Tiziano Vecellio (ok. 1488 – 1576), Dziecko rodu Medyceuszy”. Uwieńczony powodzeniem awans na własnoręczne dzieło mistrza...

Wstydlivy skansen

Po śmierci ofiarodawcy w lipcu 1998 roku przez kolejne dwie dekady zbiory prezentowane były dalej w budynku przy placu Bankowym 1. Przy braku jakiegokolwiek zainteresowania ze strony mediów, lekceważeniu historyków sztuki, a także w obliczu niewielkich nakładów finansowych ze strony państwa czy miasta muzeum zamieniało się powoli w wymierający, wstydlivy skansen pozabawiony gospodarza. Przeglądając opinie na Google Maps, łatwo dostrzec nie najwyższą średnią ocen (4,1 na 5 gwiazdek), gdzie oprócz zadowolonych turystów i uczestników wydarzeń kulturalnych można dostrzec i takie głosy:

- „Na tle europejskich muzeów wszystko traci jakby myśkają... Klimat muzeum z czasów PRL”;
- „Pulapka turystyczna, żaden z tych obrazów nie należał do Jana Pawła II” (opinia w języku francuskim);

- „Niestety, to muzeum jest bardzo złe. Większość obrazów to fałszerstwa (...). Są też interesujące dzieła, ale wbrew zapowiedziom nie są dziełami wielkich mistrzów, pochodzą raczej z ich warsztatu lub kręgu. Wśród nich może kilka arcydzieł” (opinia w języku angielskim);

- „Stęchlizna w środku, obrazy niepokładane, poupychane, fatalne oświetlenie”;

- „Dobra kolekcja obrazów pomimo wątpliwości co do autorstwa niektórych z nich (...). Bardzo złe obsługa” (opinia w języku angielskim);

- „Żalony zbiór wtórnych obrazów, kopii, falsyfikatów...”. I odpowiedź innego internauty: „Zakompleksiony pseudopatriota. Kup sobie, dziadu, lepsze obrazy i wtedy wygłasza takie durne opinie”.

W 2019 roku wystawa została „tymczasowo zamknięta”, a opiekę nad zbiorami przejęło Muzeum Jana Pawła II i Prymasa Wyszyńskiego, instytucja kultury prowadzona wspólnie przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Archidiecezję Warszawską, z siedzibą przy (a w zasadzie to nad) Świątyni Opatrzności Bożej na stołecznym Wilanowie.

Jakub Kuza
„Genialnie zmyśnione?”, *Kra-ków 2025, s. 397.*

W siodle przez wieki

Psycholog powiedziałby, że nadmiernie stymulują go nowe, nietypowe sytuacje. Wszyscy inni nawaliby go uzależnionym od adrenaliny amatorem mocnych wrażeń.

Konie, na które Napoleonowi zdarzało się pewnie wskoczyć, były już udomowione (choć oczywiście nadal groźne). Przez tysiąclecia sztucznej selekcji oswoiły się z ludźmi. Choć badacze nie wiedzą na pewno, kiedy, gdzie i jak rozpoczął się ten proces, większość paleozoologów zgadza się, że do domestykacji doszło zupełnie przypadkowo: mieszkańcy stepu zamknęli dzikie konie w zagrodzie niedaleko obozu, żeby zapewnić sobie stały dostęp do mięsa. Z czasem, kiedy zabijano te bardziej narowiste, a rozmnażano spokojne, gatunek stał się potulny i uległy.

Udomowienie to niezwykle rzadkie zjawisko w królestwie zwierzęcym. Według geografa Jareda Diamonda możliwe jest tylko, jeśli zwierzę dysponuje sześcioma cechami behawioralnymi i biologicznymi. Po pierwsze, kandydat do oswojenia nie może rywalizować z ludźmi o jedzenie. Musi żywić się resztkami jak świnia, a najlepiej czymś, czego ludzie nie mogą spożywać, na przykład trawą. Po drugie, potencjalny domownik musi być zdolny rozmnażać się w niewoli. Jeśli potrzebuje długich biegów godowych jak gepard albo innych skomplikowanych rytuałów, domestykacja jest niepraktyczna. Po trzecie, zwierzę musi szybko osiągać dojrzałość, żeby człowiek mógł czerpać korzyści z dorosłego osobnika. Po czwarte, musi to być stworzenie stadne, przyzwyczajone do hierarchii społecznej, jak pies. Gatunki stadne są genetycznie predysponowane do podporządkowywania się, więc człowiek może gładko przyjąć rolę przywódcy stada. Po piąte, zwierzę takie nie może łatwo się płoszyć ani posiadać silnego instynktu ucieczki. To wyklucza na przykład jelenia. Po szóste, w odróżnieniu choćby od zebry, stworzenie musi być albo z natury łagodne, albo podatne na tresurę. Nawet przy zastosowaniu hodowli selektywnej upór i agresja zebry uniemożliwiają jej oswojenie – archeologowie podejrzewają, że takie próby podejmowano wielokrotnie.

Niewielka liczba stworzeń, które udało się udomowić, świadczy o tym, jak rzadko występuje takie połączenie. Przez ostatnie 2000 lat ludzkość nie oswoiła żadnego istotnego zwierzęcia (z całym szacunkiem dla strusi), a większość produkowanego na świecie mięsa pochodzi zaledwie od trzech gatunków. Nawet w przypadku koni powodzenie mogło zależeć od jednego wyjątkowo potulnego ogiera. O ile dzikie klacze naturalnie podążają za przywódcą stada, dzikie ogiery są agresywne i walczą o samice. Uleganie innym nie leży w ich naturze, standardowo albo szukają stada klaczy, albo je



Rydwan był pierwszym wozem bojowym, do którego zaprzęgnięto konie

Fot. Al

prowadzą. Nie przyzwyczyłyby się tak łatwo do zagrody; z badań genetycznych przeprowadzanych na współczesnych koniach wynika, że o ile rozmnażano różne dzikie klacze, o tyle mógł istnieć tylko jeden koński praojciec. Ogier ten był przypuszczalnie spokojniejszy, co w naturalnym środowisku raczej nie zapewniłoby mu powodzenia wśród samic, ale we wczesnych zagrodach cieszył się niezłym wzięciem.

W czasach Napoleona konie były więc udomowione już od wielu wieków. Ponieważ jednak nie dało się nad nimi w pełni zapanować, stanowiły wyłącznie źródło pożywienia i innych materiałów – dopóki nasz bohater nie wynalazł uzdy.

Uzda – genialny wynalazek

Pierwsza miała zapewne najprostsza formę, dziś nazwalibyśmy ją „ogłowiem westernowym” (a raczej jego najbardziej podstawowym modelem): pętla ze skórzanego paska wokół żuchwy trzymająca w miejscu kawałkiem drewna. Ten genialny wynalazek umożliwiał delikatne prowadzenie konia dzięki przerwie między przednimi siekaczami a tylnymi przedtrzonowcami, gdzie pasek (a dzisiaj kawałek metalu) opiera się na dziąsłach. Szarpnięty pasek szczypie w dziąsła, więc koń odruchowo przekręca głowę i tułów w kierunku pociągnięcia, żeby uśmierzyć ból.

Użycie tego prostego narzędzia może przynieść znakomite rezultaty. Plemiona rdzennych Amerykanów z Wielkich Równin stosowały tylko minimalne ogłowia, bez siodła, a uważano ich za najlepszych jeźdźców świata.

Prostota konstrukcji nie odzwierciedla jednak złożoności samej koncepcji. Napoleon może i podejmował nie najmądrzejsze decyzje

w kwestii własnego bezpieczeństwa, ale w temacie koni był geniuszem. Nie istnieją żadne ewidentne odpowiedzi na pytanie, czy wśród zwierząt, które mógł znać. Wynalazku tego nie można było zapożyczyć od bydła ani owiec, bo te mają inną budowę jamy ustnej. Możemy wyłącznie spekulować, jak nasz bohater wpadł na ten pomysł. Prawdopodobnie próbował umieścić pasek czy linkę w wielu różnych miejscach, aż trafił na wygodną przerwę między zębami. Być może najbardziej wiarygodnym wytłumaczeniem odkrycia Napoleona jest po prostu jego świetna znajomość końskiej anatomii. Może wyróżniał się nawet spośród innych członków kultury zbliżowanej na punkcie tych zwierząt.

Olśnienie Napoleona to chwila, która nie ma sobie równych w historii transportu. Wymyślając hamulce, w praktyce wynalazł prędkość. Dzięki umieszczeniu linki w odpowiednim miejscu ludzkość znacząco przyspieszyła, a jazda konna przez ponad 5000 lat pozostawała najszybszym sposobem przemieszczania się. Jeźdźca udało się pokonać dopiero 28 sierpnia 1830 roku, kiedy to prześcignęła go lokomotywa parowa Tom Thumb.

Nic dziwnego, że prędkość drastycznie odmieniła życie na stepie. Anthony sądzi, że Botai zaczęli jeździć na jednym koniach, żeby polować na inne, co znacznie zwiększyło ich wydajność, ale jednocześnie przebudowało strukturę społeczną. Kiedy w XVI wieku Hiszpanie przywieźli udomowione konie na kontynent amerykański, sprowokowali swego rodzaju wyścig zbrojeń w dziedzinie jazdy konnej wśród rdzennych mieszkańców Wielkich Równin. Jak w 1851 roku pisał pewien handlarz z Zachodu, „piechurzy nie mogą dzielić ziemi z tymi, którzy dosiadają

koni, nawet jeśli ziemia ta jest wyjątkowo obfita w zwierzynę łowną. Konni pierwsi docierają do zdobyczy, wylawiają to, co chcą, po czym przeganiają resztę poza zasięg pieszych myśliwych”.

Wojenne zasługi konia

Rozwijana dzięki jeździe konnej prędkość miała jeszcze jeden, bardziej zdradliwy, skutek dla mieszkańców stepu. Przed wynalazkiem Napoleona najniebezpieczniejszym elementem najazdu był odwrot. Atakujący mógł zaskoczyć ofiarę i ukraść upragnione dobra, ale piesza ucieczka przed uzbrojonym i palającym żądzą zemsty wrogiem stanowiła poważny problem. Jak tłumaczy Anthony, dzięki użdzi koń stał się pierwszym pojazdem umożliwiającym ucieczkę z miejsca przestępstwa, a zatem zmienił rozkład sił na korzyść jeźdźców.

Pociągnęło to za sobą groźne i szkodliwe konsekwencje. Bez pisemnych źródeł trudno udowodnić wzmożony ruch konny w Azji Środkowej po wynalazku Napoleona, ale osady stepowe ubodowały się trudnymi do pokonania murami obronnymi, podejrzanie krótko po wymyśleniu jazdy konnej. Gdy nasz prehistoryczny śmieć wynalazł uzdę, być może jednocześnie wprowadził licencję na kradzież; życie na stepach zaczęło się wiązać z nowymi niebezpieczeństwami.

Z początku wojownicy używali koni wyłącznie jako środka transportu na pole bitwy i z powrotem, ale nie w samej walce – głównie dlatego, że ich broń się do tego nie nadawała. Dopiero blisko 1000 lat później w kulturze Sintasza-Pietrowka wymyślono rydwan, tworząc tym samym kawalerię. Późniejsze udoskonalenie łuku umożliwiło jeźdźcom Czyngis-chana strzelanie z końskiego grzbietu,

co pozwoliło temu władcy sterroryzować kontynent azjatycki. Konie odgrywały ogromnie ważną rolę bitewną przez blisko 6000 lat – od najazdów Napoleona z Botai po szarżę kawalerii polskiej w bitwie pod Krojantami na początku drugiej wojny światowej.

Prawdopodobnie najważniejszą zmianą społeczną, jaka zaszła za sprawą uzdy, była jednak relokacja zasobów oraz narodziny klas, statusu i warstw społecznych. Jako że pasterz dosiadający konia może zapanować nad dwukrotnie większym stadem owiec lub bydła niż piechur, własność, władza i bogactwo w kulturach pasterskich zaczęły się koncentrować w rękach mniejszości. Od czasu wynalezienia uzdy zauważa się drastyczny przyrost wyszukanego wyposażenia grobowego – dla archeologów to najważniejszy wskaźnik nierówności dochodowych.

Sam Napoleon też skończył w jednym z tych grobów, być może w wyniku tragicznego w skutkach hamowania. Prędkość oznaczała bowiem nie tylko nowy sposób życia, ale i nową przyczynę śmierci. A ponieważ ewolucja nie dobiegała wcześniej hominidów ze względu na strach przed szybkością (w odróżnieniu od lęku wysokości lub strachu przed węzami), Napoleon nie potrafił zrozumieć ryzyka wiążącego się z jego wynalazkiem; był kompletnie nieprzygotowany na nieznane zagrożenie. Być może nasz bohater, lubiący się popisować genialnym śmieciem, spadł z konia pędzącego pełnym galopem. I tak wynalazca prędkości mógł zostać zarazem jej pierwszą ofiarą.

Cody Cassidy

„Kto zjadł pierwszą ostrzęg? Niezwykli prekursorzy, odkrywcy i pionierzy”, Warszawa 2021, s. 237.

Poznać i zrozumieć świat – Borneo



W cieniu wielkiej góry

Otoczona kolczastym drutem drewniana strażnicza wieżyczka z rozstawionym karabinem maszynowym w naszej części Europy kojarzy się jednoznacznie. Na Sibuan jest wręcz przeciwnie. To gwarancja bezpieczeństwa, choć dziwnie kontrastuje z kokosowymi palmami, białym, drobnym piaskiem i błękitem morza.

Internetowe witryny MSZ wielu państw, w tym Polski, wciąż ostrzegają przed odwiedzaniem okolicy, choć ostatni znaczący incydent miał miejsce ponad dekadę temu. Na przełomie wieków wschodnie wybrzeże Borneo było terytorium działań różnej maści piratów, filipińskich separatystów czy wręcz islamistów powiązanych z Al-Kaidą. W kwietniu 2000 roku doszło do najbardziej spektakularnej akcji – porwania 21 osób z ośrodka wypoczynkowego na wyspie Sipadan. Nikt nie zginął, ale zakładnicy spędzili kilka miesięcy na południu Filipin, zanim zostali uwolnieni. Od tego czasu Malesja znacząco zwiększyła obecność armii na wschodzie stanu Sabah, zaś częstotliwość ataków spadła (nie licząc rajdu dwustu uzbrojonych poddanych samozwańczego sultana Sulu na miasteczko Lahad Datu w lutym 2013 roku). Dyplomaci wolą jednak dmuchać na zimne – na mapach region jest oznaczany jako „unikaj niepotrzebnych podróży”.

Na Mabul nikt nie przejmuje się zaleceniami swojego MSZ. Ani czarnoskóry obywatel Szwajcarii z europejską żoną i czworgiem nastoletnich dzieci, ani niemieckie

backpackerki, ani Hiszpan dyskutujący z Chińczykiem z Kuala Lumpur o technikach podwodnej fotografii. Andrzej, polski divemaster, który pracuje tu od półtora roku, potwierdza – jest spokojnie, podobno Malesja zaprosiła już nawet zachodnie delegacje, by naocznie przekonały się, że ich obywatelom nic tu nie grozi. Z wyspy codziennie wypływa kilkadziesiąt łodzi z nurkami – kierują się ku rafom koralowym wokół Mabulu, płyciznie Kapalai czy wreszcie niepozornej wysepce na południu. Wyróżnia ją jedynie brak zbudowanych na palach ośrodków wypoczynkowych, którymi usiany jest Mabul. Tu najważniejszym budynkiem jest budka, w której strażnik sprawdza skany paszportów. Jeśli nie zgadzają się z danymi z pozwolenia, delikwent musi opuścić wyspę, uboższy o potężną grzywnę.

Wystarczy spojrzeć pod wodę, by zrozumieć te wszystkie środki ostrożności. Sipadan jest w ścisłej czołówce najlepszych spotów nurkowych na świecie. Pod koniec lat 80. XX wieku przybył tu słynny francuski oceanograf Jacques Cousteau, który stwierdził, że podobne miejsca widywało się, owszem, ale pół wieku wcześniej. Sipadan zaś przetrwał. Kolejne dwie dekady to wzrost popularności wyspy i powstające na niej centra nurkowe. Dopiero w 2009 roku utworzono tu rezerwat ze ściśle reglamentowanym, odpowiednio drogim wstępem. Resorты wyburzono, nie ma szans, by prosto z pokoju wskoczyć na rafę jak dawniej. Chcąc nurkować na Sipadanie, należy się legitymować też odpowiednio

zaawansowanym certyfikatem. Snorkeling z kolei wymaga włożenia kamizelki ratunkowej – tutaj prądy są wyzwaniem nawet dla doświadczonych pływaków.

Owszem, rafy na okolicznych wyspach zachwycają bogactwem podwodnych form życia, ale Sipadan to inna liga. Przy doskonałej widoczności obserwuje się różnorodne koralowce, dziesiątki wielkich morskich żółwi, ogromne ławice kolorowych ryb, dwumetrowe Napoleon fish czy pojedyncze rekiny przypluwające z głębin i szukające zdobyczy na szczycie rafy. Dla nurków Świętym Graalem jest barracuda tornado – znalezienie się w środku wiru tworzonego przez ławicę metrowej długości drapieżników – czy odwiedzenie podwodnej jaskini wypełnionej szczątkami żółwi. Z rozmów ze współpasażerami wynika, że tu się nie przyjeżdża raz w życiu. Na Sipadan się po prostu co jakiś czas wraca.

Baza Scuba Junkie ma najlepsze oceny spośród kilkudziesięciu ośrodków na Mabul. Profesjonalnie zarządzane przedsiębiorstwo rozwija filie na innych wyspach Malesji i Indonezji, ale wszystko zaczęło się właśnie tutaj. Łódź z Semporny przybija do solidnego drewnianego pomostu, na ładzie czeka ukryty wśród tropikalnej roślinności ośrodek z czystymi pokojami i bar z zapasem zimnego singapurskiego piwa marki Tiger. Wliczone w cenę pobytu posiłki są smaczne, ale opierają się na mięsie, podczas gdy okoliczne wody są niewyczerpanym źródłem owoców morza. Gdy pytam o to Andrzeja, podaje niepodważalny argument. Scuba

Junkie stara się dbać o środowisko – sprzątają rafę, wypuszczają do wody świeżo wylęgnięte żółwiki. Zaopatrywanie się w ryby czy frutti di mare zawsze wiąże się z ryzykiem – nie ma gwarancji, że nie złowiono ich z pomocą dynamitu, starym sposobem wciąż praktykowanym przez niektórych Bajau.

Wioska Bajau sąsiaduje z bazą i jest dla niej kontrastem. Na wbitych w wodę palach stoją sklecone z blachy falistej domki, po skrawku zaśmieconej plaży kręca się półnagie dzieci i chude psy. Pod każdym domkiem łódka dłubanka. Bajau, zwani „morskimi Cyganami”, utrzymują się głównie z morza, spędzając na wodzie oraz pod wodą znaczną część życia (potrafią nurkować znacząco dłużej niż inni ludzie). Niektórzy wciąż wędrują pomiędzy wyspami, ale nawet osiadłe społeczności funkcjonują poza systemem. Dla władz Malesji Bajau nie istnieją. Dzieci nie chodzą do szkoły. Zresztą po co, skoro w żaden sposób nie wpłynie to na umiejętność wstrzymania oddechu i wynajdywania ławic tuńczyka? Na inne życie raczej nie ma szans. Trudno też o refleksję nad zrównoważonym rybołówstwem, liczy się dzień dzisiejszy. Zresztą, według słów Andrzeja, nie tylko Bajau niszczą tutejszy ekosystem. Dla Sipadanu fatalnym momentem była pandemia, gdy lokalni divemasterzy zajęli się po prostu kłusownictwem. Trudno ich winić – przestali przyjeżdżać płacący ciężkie pieniądze nurkowie, a rodziny należało wyżywić.

Semporna to jedna z najchętniej odwiedzanych miejscowości kraju. Miasto nie ma wprawdzie nic do zaferowania, ale to baza wypadowa na najpiękniejsze chyba wyspy Malesji. Nurkowie płyną na Mabul, Sipadan czy Si Amil, zaś tłumy Chińczyków (loty z Makau i kontynentalnych Chin to jedyne międzynarodowe połączenia obsługiwane przez oddalone o 80 kilometrów lotnisko Tawau) wybierają raczej inny kierunek. Wystarczy godziny na szybkiej łodzi, by znaleźć się na wyspach o nazwach przywodzących na myśl południowy Pacyfik. Timba Timba, Pom Pom czy Sibuan to wystające znad przejrzystej wody skrawki porośniętego palmami drobnego piasku. Miejsca jest akurat na jeden – dwa luksusowe resorты, wakacyjną atmosferę psują jedynie strażnice malezyjskiej armii. Co bardziej ambitni wchodzą na wierchołek Bohey Dulang – zalanego wulkanicznego krateru. Męczącą wspinaczkę przez deszczowy las, błotnistą ścieżką, po której pełzają wije grubości kciuka, wynagradza widok ze szczytu. Tu nie potrzeba filtrów, zdjęcia można bez obróbki wrzucać na media społecznościowe. Nic dziwnego, że piraci z Abu Sayyaf polowali

na zakładników właśnie w tym regionie.

Nasza łódź dopływa jako trzecia. W prześwicie trzcinowiska wbite są dwie inne, należące do konkurencyjnej agencji. Najwyraźniej mają bardziej obeznaną w terenie przewodniczkę. Wszyscy intensywnie wpatrują się w oddalone o jakieś sto pięćdziesiąt metrów wysokie drzewa. Dopiero podsunęta lornetka i konkretne wskazówki pozwalają odnaleźć siedzącego w gnieździe orangutana. W międzyczasie pojawiają się kolejne grupy. Ścisk jak w zoo, ale i tak wszyscy są zadowoleni. Kolejny gatunek z krótkiej listy zostaje odhaczony. Można wracać na śniadanie.

Kinabatangan jest najdłuższą rzeką w malezyjskiej części wyspy. Otaczająca ją dżungla to według przewodników jedno z najłatwiej dostępnych i najlepszych miejsc na spotkanie tutejszej fauny – orangutanów, nosaczy, krokodyli, słoni i dzioborożców zwanych szumnie „wielką piątką Borneo”. Przybrzeżne wioski oferują cały przekrój noclegów, od prostych pokojków z biegającym po ścianie gekonem do eleganckich ekologicznych bungalów. Program jest wszędzie podobny. Wielkiej piątki szuka się, pływając po rzece motorową łodzią. Nie zawsze się na nią trafia. Oczywiście to kwestia szczęścia, ale trudno oprzeć się wrażeniu, że ryk silnika nie pomaga, zaś oświetlone kolorowymi światłami przystanki przypominają raczej bazę Kurtza z „Czasu Apokalipsy” niż oddaloną od cywilizacji osadę. Jak na dłoni widać przekleństwo południowo-wschodniej Azji – równe rzędy palm olejowych dochodzą niemal do brzegów. Dla zwierząt pozostają wąskie paski lasu między plantacjami a rzeką. Legenda Kinabatangan nie wytrzymuje zderzenia z rzeczywistością. Zamiast spotkania z dziesięć przyrodą dostajemy udział w zbiorowym, skomercjalizowanym safari. Pozostaje mieć nadzieję, że „leśni ludzie” (jak tłumaczy się malajskie słowo *orang utan*) mają się lepiej w trudniej dostępnych zakątkach wyspy.

Leżące u stóp wielkiej góry miasto dostało co prawda po niej nazwę, ale majestatyczny czterotysięcznik często ukrywa się w chmurach. Pora deszczowa dopiero się kończy. Postrzępiony szczyt, widniejący na fladze Sabah, pokazuje się dopiero przy kolejnym powrocie z interioru do cywilizacji. Wystarczy. Nie mamy ambicji zdobywać góry, zwłaszcza biorąc pod uwagę biurokrację i koszt uzyskania pozwolenia na trekking.

Zrównane z ziemią przez Japończyków podczas drugiej wojny światowej całkowicie współczesne Kota Kinabalu nie jest szczególnie piękne, przybysza

Jeszcze nie raz go usłyszymy

Neil Young nie odpuszcza

interesuje głównie siatka połączeń tutejszego lotniska (na Borneo samolot to nie ekstrawagancja, ale podstawowy środek transportu). Trudno się tu jednak nudzić. Kilka kilometrów od wybrzeża KK leży Tunku Abdul Rahman Marine Park – pięć niewielkich wysp, które oferują wszystko, co potrzebne, by uciec od zgiełku centrum – piasek, ciepłą wodę, palmy i sensowną infrastrukturę. Na pobliskich rafach istnieje podobno cień szansy na spotkanie z rekinem wielorybim. Z przystani Jesselton (to stara brytyjska nazwa miasta) co chwila odpływają wypełnione łodzie. Na Mamutik czy Sapi jest ładnie, ale to nie ta klasa, co okolicie Semporny. Tłumy ludzi na plaży i w morzu też nie zachęcają. Niewątpliwą atrakcją są za to dwumetrowe warany wylegujące się pod restauracjami na wyspach.

Philippino market ożywa po zmroku. Na zadaszonym targu można kupić i zjeść wszystko, co pływa i rośnie w okolicy. Estetycznie ułożone na stoiskach ogromne langusty jeszcze poruszają wąsami, krewetki osiągały rozmiary, o jakich nie śniło się Europejczykowi, kolorowe ryby wyglądają jak ledwo wyciągnięte z rafy. Paczki suszonych koników morskich to chyba lokalny przysmak, biorąc pod uwagę ceny. Wycieczki z Chin skupiają się na stoiskach z durianem – popularnym owocem o wyjątkowo paskudnym zapachu. Grube pęczki świeżej trawy cytrynowej kosztują ringgita (niecała złotówka).

Mimo że Malezja jest krajem muzułmańskim i właśnie zaczął się ramadan, lokalna scena rozrywkowa ma się doskonale. Bary w centrum wyglądają podobnie – wieczny półmrok, plastikowe krzeselka, popielniczki z puszek po orzeszkach, ściany wyklejone reklamami piwa i portretami gubernatora stanu Sabah. W niektórych tylko zdarza się wyjątkowo interesująca klientela.

Ben i Phil to Brytyjczycy mieszkający tu od dawna. Wcześniej pracowali na platformach wiertniczych, teraz cieszą się beztrudnym życiem emerytów. Codziennie po południu pojawiają się w ulubionym lokalu, wylewnie witając obsługę. Opróżniają kolejne puszkę piwa z wypełnionego lodem wiaderka i wspominają dawne czasy, kiedy Royal Navy pilnowała w regionie porządku, a w mieście nie było tyłu Chińczyków.

To nic, że kiedy Malezja ogłaszała niepodległość, mieli najwyżej kilka lat, żona Phila to Malajka, a właścicielem spelunki jest Chińczyk. Napędzana tigerem mentalność *good old times* trzyma się mocno.

**Tekst i fot.:
MATEUSZ ŻEMŁA**
Angora 26/2025

Ten uczestnik legendarnego festiwalu Woodstock 1969 skończy w tym roku 80 lat. Nic jednak nie wskazuje na to, aby mimo zaawansowanego wieku zamierzał przejść na emeryturę. Wręcz przeciwnie. Nadal intensywnie koncertuje, a w czerwcu ukazała się jego kolejna płyta.

Niedawno śpiewał na dorocznym festiwalu w Glastonbury (25–29 czerwca br.). Towarzyszyła mu formacja Chrome Hearts. W repertuarze występu były zarówno piosenki delikatne, folkowo-balladowe, jak i kompozycje dynamiczne, w klimatach garażowego rocka. Takie bowiem zróżnicowane brzmieniowo muzyczne obszary obejmuje dorobek Younga – wokalisty o wysokim, zbliżonym do kobiecego głosie. Na bis były hity „Rockin’ in a Free World” (z albumu „Freedom”) i „Throw Your Hatred Down” (z krążka „Mirror Ball”). Występ rozpoczął się kameralnie. Young wyszedł na scenę sam z gitarą. Ubrany był w luźne spodnie, T-shirt i rozpiętą flanelową koszulę. Na głowie miał szarą czapkę z daszkiem, spod której wystawały jego długie do ramion siwe włosy. Rozpoczął koncert balladą „Sugar Mountain”. Napisał ją w swoje 20. urodziny, kiedy nocował w hotelu Victoria w Fort William (miasto w kanadyjskiej prowincji Ontario), dokąd zaprowadziła go trasa koncertowa grupy The Squires, której był wtedy członkiem. Piosenka jest o jego młodości w Winnipeg, stolicy prowincji Manitoba.

Mało brakowało, aby publiczność w Glastonbury nie zobaczyła go na scenie. Nie podobało mu się, że festiwal odbywa się pod egidą korporacyjnie zorganizowanego brytyjskiego nadawcy radiowo-telewizyjnego, którym jest BBC (British Broadcasting Corporation, czyli Brytyjska Korporacja Radiofoniczna). Ostatecznie jednak wystąpił mimo wcześniejszych oporów. Young ma w wielu sprawach swoje zdanie, którego trzyma się stanowczo, ale – jak widać – nie za długo. Parę lat temu kazał zdjąć swoje płyty ze Spotify w proteście przeciwko treści jednego z nadawanych przez ten portal podcastów komika Joe Rogana. Niedawno zmienił jednak zdanie i znów jego albumy tam są. Krytykował też Spotify za transmitowanie nagrań w plikach o niskiej rozdzielczości, podczas gdy jego ostatnie płyty charakteryzują się dźwiękiem audiofilskim (o parametrach 192kHz/24-bit).

Po młodzieńczym muzykowaniu w Kanadzie wyruszył do USA. Tam poznał Stephena Stillsa. Z nim oraz z Deweyem Martinem (perkusja), Bruce’em



Neil Young

Fot. Rex Features/East News

Palmerem (bas) i Richardem Furayem (gitara) założył grupę Buffalo Springfield. Zespół ten należy do prekursorów stylów pop-rock i country-rock. Ma na koncie trzy albumy studyjne, wydane w latach 1966–1968.

Po przygodzie z Buffalo Springfield nagrywał samodzielnie. Jego solowy debiut – bez tytułu – ukazał się w 1968 roku. W studiu towarzyszyli mu m.in. Ry Cooder i Jim Messina. Longplay nie cieszył się wzięciem. Lepiej sprzedawał się krążek „Everybody Knows This Is Nowhere” nagrany rok później z formacją Crazy Horse. Magazyn „Rolling Stone” umieścił go na 407. pozycji swojej listy 500 najlepszych albumów wszech czasów. Jest tam też sześć innych płyt Younga. Najwyżej – bo na miejscu 72. – uplasował się jego album „Harvest” z 1972 roku.

Ważnym etapem w karierze Younga była współpraca ze wspomnianym Stillssem oraz Davidem Crosby’em i Grahamem Nashem. Muzycy zawiązali razem muzyczny kwartet. Jako Crosby, Stills, Nash & Young pojawili się na festiwalu Woodstock przed blisko półmilionową widownią. „To nasz drugi wspólny występ, więc umieramy ze strachu” – powiedział wtedy ze sceny Stills. On z Crosby’em i Nashem rozpoczęli występ, a od piosenki „Mr. Soul” towarzyszył im Young. Fragment ich setu – choć bez Younga – trafił do oscarowego filmu o Woodstocku, który wyreżyserował Michael Wadleigh. Young już

wtedy chodził własnymi ścieżkami. Zastrzegł, żeby go nie filmować, gdyż obawiał się, że kamery będą go rozpraszać i odwrócą uwagę widzów od muzyki.

Mimo to dokument „Woodstock” rozślawił cały kwartet, więc nie trzeba było długo czekać na jego pierwszą studyjną płytę. Jest nią longplay „Déjà Vu” (1970) z utworem „Woodstock” skomponowanym przez Joni Mitchell. Artystka odmówiła udziału w festiwalu, bo zaraz po nim miała zaplanowany wywiad w programie „The Dick Cavett Show” i bała się, że jeśli wystąpi, to może do telewizyjnego studia nie zdążyć. Wtedy jeszcze nikt nie wiedział, że festiwal obrośnie legendą i większość jego uczestników zyska światową sławę.

Na „Déjà Vu” są dwie kompozycje Younga – „Helpless” i „Country Girl” oraz napisany przez niego, razem ze Stephenem Stillssem, utwór „Everybody I Love You”. W 1988 roku muzyk wydał z kolegami longplay „American Dream”, a 11 lat później zarejestrował krążek „Looking Forward”.

Powrót do samodzielnej działalności zaowocował longplayem „After the Gold Rush” (1970) i wspomnianą płytą „Harvest” (1972). Solowy dorobek artysty obejmuje 48 płyt. Towarzyszą mu na nich muzycy sesyjni oraz zespoły. Najwięcej longplayów Young nagrał z formacją Crazy Horse. Inne grupy to The Shocking Pinks, The Bluenotes, Promise of the Real i Chrome Hearts. Z ostatnią Young zarejestrował album „Talkin’ to the Trees” (premiera 13 czerwca br.).

Young jest dwukrotnym laureatem Grammy i dwa razy przyjął go do Rockandrollowej Izby Sławy (w 1995 roku jako solista i dwa lata później jako członek Buffalo Springfield). Prywatnie jest od 2018 roku mężem aktorki Daryl Hannah, która jest jego trzecią żoną. Z pierwszą – Susan Acevedo – był poślubiony w latach 1968–1970. Nie miał z nią dzieci. Ma syna ze związku z Carrie Snodgrass i dwójkę dzieci z drugą żoną, którą w latach 1978–2014 była Pegi Morton. Jest przeciwnikiem rasizmu. Dał tego wyraz w piosence „Southern Man” (1970). Popiera produkcję zdrowej żywności. Wspiera ruchy środowiskowe, daje koncerty charytatywne, aby wesprzeć rolnictwo (Farm Aid) i pomóc dzieciom o specjalnych potrzebach komunikacyjnych.

„Robię w kółko to samo, ale na różne sposoby” – mówi o podejściu do komponowania. – „Trzymam się przy tym tego, w co wierzę. Czekam najpierw, aż mi przyjdzie do głowy pomysł, a następnie go rozwijam”. Zatem wygląda na to, że jeszcze nie raz go usłyszymy.

GRZEGORZ WALENDA
Angora 28/2025

ANGORA[®]
tylko 27 euro
w prenumeracie rocznej
www.prenumerata.de

Strach się bać

Przepowiednie o końcu świata są, niestety, bardzo realne

Śmierć przyjdzie z Kosmosu

„Nadchodzą ostatnie dni naszej ery. Liczni utracą życie w olbrzymim płomieniu, kiedy na ziemię spadnie ognista kula. Będzie ona wyglądała jak wirujące słońce spadające na ziemię. Ognista kula będzie dla wszystkich widoczna przez dwa tygodnie. Następnie nadejdą trzy dni ciemności. Upřednio jeszcze nastąpi wybuch na słońcu. Niebo nabierze koloru różowego...”.

Tak koniec świata spowodowany uderzeniem w naszą planetę nieznanego ciała niebieskiego widziała ćwierć wieku temu amerykańska wizjonerka Weronika Lueken z Nowego Jorku.

Wizje zagłady świata spowodowanej działaniem sił kosmicznych są obecnie najbardziej popularne. Chodzi tu zarówno o katastrofę wywołaną zderzeniem Ziemi z obiektem kosmicznym, jak i inwazję nieznanych, tajemniczych cywilizacji. Wojny gwiazdowe, deszcz meteorów spadających na wielkie miasta świata, pobudzają fantazję całych gałęzi przemysłu rozrywkowego – od filmu poprzez różnego rodzaju wydawnictwa, aż po specjalne programy komputerowe.

Czy na pewno jednak są to tylko wizje producentów masowej rozrywki? Zapowiedzi takich kataklizmów znajdujemy w prorocत्वach, które powstały setki lat temu. Autorom ich nie były znane ani statki kosmiczne, ani wiedza astronomiczna. W wielu krajach powołane zostały specjalne zespoły badawcze, nie tylko dla zbadania prawdopodobieństwa tego typu zagłady, ale przygotowania strategicznych programów obronnych i ratunkowych w przypadku jakiegokolwiek zagrożenia z kosmosu. Coraz więcej zwolenników i dowodów materialnych zyskuje teoria, że cywilizacja ziemská już przynajmniej raz doświadczona została kataklizmem z kosmosu.

Katastrofa na Jukatanie

65 milionów lat temu w Ziemię uderzył wielki meteor, którego średnicę szacuje się na 10 km, a masę na 500 miliardów ton. Ślady po tym gigantycznym kosmicznym karambolu zostały do dziś w postaci 180-kilometrowego krateru, widocznego na półwyspie Jukatan w Ameryce Środkowej, częściowo zalanego przez morze. W jej wyniku na Ziemi nastąpiły tak wielkie zmiany klimatyczne, że spowodowały całkowitą zagładę wielkich gadów, rozpoczynając przy tym erę ssaków, które właśnie po tym wydarzeniu zaczęły dominować. W przekrojach geologicznych niemal na całym świecie odnajdujemy ślady katastrofy w postaci równej warstwy czarnego osadu,

charakteryzującego się tymi samymi właściwościami chemicznymi i wiekiem geologicznym, bez względu na miejsce na Ziemi, w którym zostały odkryte.



Do obrony przed meteorami może przydać się broń nuklearna

Fot. Al

Gdyby podobna katastrofa wydarzyła się dziś, 6 miliardów mieszkańców planety straciłoby życie w ciągu doby. Trzęsienia ziemi, wywołane uderzeniem, powodzie i fala uderzeniowa zmiotłyby z powierzchni ziemi wszystkie wielkie miasta. Taki obraz katastrofy znajdujemy właśnie w wielu przepowiedniach.

Uczeni szacują, że każdej doby na ziemię spada około 100 ton materii kosmicznej, w postaci niewielkich meteoroidów. Większe ciała kosmiczne docierające w pobliże naszej planety są niszczone w atmosferze Ziemi. Ziemia jako jedyna z planet Układu Słonecznego została tak wyposażona w bariery ochronne, że nie jest bombardowana gradem meteoroidów, tak jak inne. Zdjęcia kosmiczne z innych planet ukazują obraz ich powierzchni pełnej kraterów i dziur, niemal jak dobrego gatunku sera szwajcarskiego.

Obliczono, na podstawie wielu symulacji komputerowych, że gdyby na Ziemię spadł obiekt o wielkości do 100 metrów, wywołałby trzęsienie ziemi o sile 7,5 stopnia w skali Richtera, powodując kataklizm w promieniu 20 km od miejsca zderzenia oraz śmierć

300 tysięcy osób, w przypadku uderzenia w teren o wysokim stopniu zurbanizowania i 70 tysięcy osób, w przypadku uderzenia w tereny słabo zaludnione.

Uderzenie obiektu o wielkości 200 metrów w wody Atlantyku spowodowałoby powstanie fali morskiej o wysokości do 180 metrów i zniszczenie cywilizacji do głębokości do 100 km od wybrzeży Europy, Afryki i obu Ameryk.

Apokaliptyczne wizje

Jeszcze większe zniszczenia sprawiłby obiekt, uderzając w wody Oceanu Spokojnego. Tam wysokość fal oceanicznych, wzmocniona prądami morskimi i ruchem powietrza, dochodziłaby do 250 metrów, całkowicie niszcząc Japonię, połowę Chin, Półwysep Indochiński, wszystkie wyspy Oceanii, Australię oraz wąski pas wzdłuż obu Ameryk, przy tym jednak gęsto zaludniony na terytorium USA i Meksyku. Dzięki południkowemu układowi gór na kontynencie amerykańskim od strony zachodniej zniszczenia terytorialne nie byłyby aż tak znaczne. Całkowicie jednak przerwany zostałby wąski pas Ameryki Środkowej, a tą drogą skutki takiego kataklizmu dotarłyby przez Atlantyk do Europy.

Kontynuując tę apokaliptyczną wizję, przytoczmy symulację, gdyby w Ziemię uderzył asteroid wielkości do 800 metrów. Uderzenie takie

wywołałoby eksplozję o sile miliona megaton, tj. 20 razy większej niż całego obecnego arsenału nuklearnego. Chmura pyłu, jaka wzniosłaby się nad powierzchnię planety,

okrażałaby ją i na okres niemal roku przesłoniłaby całkowicie światło słoneczne. Wywołane przy tym zmiany klimatyczne spowodowałyby kataklizm w skali całej planety.

Gdyby, podobnie jak 65 milionów lat temu, ponownie w Ziemię uderzył asteroid o wielkości 10 km, zniszczenia byłyby niewyobrażalne nawet dla dzisiejszego systemu symulacji komputerowych. Fala morską sięgnęłaby wysokości 5 km. Wszystkie kontynenty byłyby zalane, a 90 proc. powierzchni kontynentów znalazłoby się całkowicie pod wodą. 1500 km od miejsca uderzenia fala morską sięgałaby jeszcze wysokości pół kilometra. Wokół Ziemi przez 4 lata zalegałoby niby pancerny płaszcz pasmo pyłów, odgradzając całkowicie dostęp promieni słonecznych. Siła eksplozji szacowana na 100 milionów megaton niemal całkowicie zniszczyłaby wszelkie ślady osadnictwa. Do tego dochodzą jeszcze straty związane z oziębieniem klimatu, prawie całkowitym zaprzestaniem wegetacji roślin, trzęsieniami ziemi, falą uderzeniową, pożarami. Tlen i azot połączone w atmosferze pod wpływem temperatury dałyby na naszej planecie opady niszczących resztek życia kwaśnych deszczy. Tylko

mikroorganizmy ukryte głęboko pod ziemią w pieczarach i organizmy, które zdołałyby ukryć się w głębokich wodach, przetrwałyby taką katastrofą. Odrodzenie nowego życia trwałoby miliony lat.

Globalna katastrofa już się zaczęła?

Tylko w ostatniej ćwierci XX wieku odnotowano na całym świecie więcej pożarów, powodzi, trzęsień ziemi, wybuchów wulkanów o niszczycielskiej sile niż w całym obecnym tysiącleciu. Różne prorocтва i wizje dowodzą, że największe z tych kataklizmów jeszcze przed nami. Wielu naukowców jest zdania, że katastrofa globalna wywołana z kosmosu już się zaczęła. Nie jest i nie będzie to jedna gigantyczna kolizja, lecz proces narastający. Są oni zdania, że ów proces już się rozpoczął. Kiedy trzęsienia ziemi i wielkie powodzie w ostatniej dekadzie wzrosły w liczbie i intensywności, teza o zbliżaniu się katastrofy globalnej znalazła nieoczekiwane uwiarygodnienie.

Widoczne do dziś ślady katastrofy tunguskiej z początku naszego wieku dodają kolejnego argumentu zwolennikom tych apokaliptycznych wizji. W pierwszych dniach lipca 1999 roku na północno-australijskim i nowozelandzkim niebie widoczny był wybuch nieznanego ciała niebieskiego, przybyłego w pobliże naszej planety. Grzmot i blask towarzyszące wybuchowi były tak wielkie, że wielu świadków uderzenia przeświadczone było o początku wielkiej katastrofy.

W 1982 roku na niebie obserwowano niezwykle wydarzenie, przeciwniegi Ziemi zgrupowania po stronie Słońca większości planet Układu Słonecznego. Sądzone, że zjawisko to wywoła trzęsienie ziemi, zwłaszcza na granicach wolno ruszających się płyt tektonicznych. Sądzone, że wstrząsy i ruchy tektoniczne w rejonach pęknięć płyt np. uskok św. Andrzeja, będą miały natężenie znacznie większe niż w innych okresach w przeszłości. Spekulowano wreszcie, że wywołają one rozszerzającą się w przyszłości falę trzęsień ziemi ze skutkami tragicznymi dla cywilizacji.

Nic więc dziwnego, gdy owe przypuszczenia potwierdziły się po 1982 roku, że z obawą oczekuje się kolejnego, jeszcze radszego zjawiska astronomicznego. Astronomowie przestrzegają przed sytuacją, w której Merkury, Mars i Ziemia będą znajdowały się na prostej linii z wielkimi planetami Układu Słonecznego: Saturnem, Jowiszem oraz Plutonem i dodatkowo księżycem Ziemi. Przy czym Wenus

Strach się bać



Weronika Lueken, amerykańska wizjonerka, która widziała koniec świata
Fot. Creative Commons

będzie także blisko tego układu – wyrównania liniowego planet.

Od dawna znane jest oddziaływanie chociażby fazy Księżyca na przyprawy i odpływy morza. Wyrównanie liniowe planet może być powodem trzęsień ziemi. Ułożenie naszej planety w stosunku do pozostałych może w sposób silny zaburzyć jej rotację, powodując nawet zachwianie się jej osi i może doprowadzić do negatywnego przemianowania się biegunów – przebiegunowania Ziemi. Skutki tego zjawiska trudne są do wyobrażenia.

Zmiany klimatyczne, a co za tym idzie zmiany w strukturze osiedleńczej ludności, to tylko najłagodniejsze skutki kataklizmu. Podobne wydarzenia – choć niezwykle rzadko – miały już miejsce w naszych dziejach.

Przepowiednie starożytnych

Żyjący przeszło 2300 lat temu babiloński historyk i astrolog Berossus zbadał i opisał skutki poprzedniego wyrównania liniowego planet. Rzymski poeta Seneka 300 lat później zrelacjonował wyliczenia Berossusa. Starożytni byli przeświadczeni, że wszystkie wydarzenia mają miejsce stosownie do obiegu gwiazd. Astronomia i układ gwiazd wyznaczają czas „pożogi i potopu”. Berossus twierdził, że „wszystkie ziemskie istoty zostaną zniszczone, gdy obecnie biegnące po swych różnych orbitach planety, wszystkie zbiegną się pod znakiem Raka i tak się ułożą, że prosta linia będzie mogła przejść przez nie wszystkie, a potop nastąpi, gdy taka sama koniunkcja planet zdarzy się pod znakiem Koziorożca; pierwsza w lecie, a ostatnia w zimie roku...”.

Chodzi oczywiście nie o nasz rok kalendarzowy, lecz o rok gwiazdowy, przez który przewędrują wszystkie znaki zodiaku. Taki rok

trwa 25 827 naszych lat kalendarzowych, a era każdego znaku zodiaku trwa 2152 i 1/4 roku – porównaj te wyliczenia z tzw. „Rokiem piramidowym”. Z tej lub innej przyczyny (o tym później) możliwe jest, aby w przeszłości nastąpiło już raz przebiegunowanie Ziemi. Teżę powyższą może wesprzeć rysunek nieba odnaleziony w grobowcu jednego z faraonów. Pośród wielu oczywistych dla widzanego w Egipcie nieba ciał niebieskich umieszczonych na tym rysunku, wyraźnie widoczny jest tzw. Krzyż Południa i inne gwiazdozbiory normalne na półkuli północnej, oczywiście w Egipcie niewidoczne. Skąd, jeżeli nie wskutek przyczyn, o których pisaliśmy, astronomowie egipscy znali południowy obraz nieba?

Inną, bardziej odległą datą graniczną, datą końca obecnego świata, jest dzień 14 sierpnia 2126 roku. Jest to dzień, w którym orbita Ziemi przetnie się z orbitą planetoidy Toutatis. Tragizm sytuacji dodaje fakt, że według obliczeń astronomów i Ziemia, i Toutatis znajdują się dokładnie w tym samym miejscu. Czy to jest w ogóle możliwe?

Zbliżenie Ziemi z rzadko pojawiającą się kometą może wywołać tragiczne skutki. Zgodnie z teorią przyprływów i odpływów oceanów, takie nadmierne zbliżenie może wywołać olbrzymie fale i masy wody oceanu w konsekwencji mogą doprowadzić do biblijnego potopu. I w tym przypadku odnajdujemy zadziwiająco bliską analogię w prorocztwie zawartym w tajemnicy piramid. Przypomnijmy, że największa z nich – wedle podań koptyjskich – liczy 80 tys. lat i była „świadkiem” wielkiego potopu, jaki Ziemi zgotował bóg Ra.

Wielki grecki myśliciel i historyk z Halikarnasu w Azji Mniejszej,

Herodot, żyjący w V wieku p.n.e., w czasie swoich licznych podróży po ówczesnym świecie dotarł także do Egiptu. Przywiózł stamtąd wiedzę zaczerpniętą od kapłanów, że w początkach istnienia państwa egipskiego kometa Tryphon niemal „otarła” się o Ziemię. To zbliżenie z kometą wywołało zapewne potop, o którym dowiadujemy się z przekazów koptyjskich. Zdaniem dr. Immanuela Velikowsky’ego Ziemia w swojej przeszłości kilkakrotnie przeżywała wielkie katastrofy kosmiczne, wskutek nadmiernego zbliżenia się do niej komet, planetoid, a szczególnie zbliżenia się planety Wenus. Wenus – siostrzana Ziemi planeta – w największym stopniu oddziałuje na cykliczne odwracanie się osi Ziemi. Teorie te mają wielu wybitnych i znanych badaczy, między innymi L. Subala, P. Warlowa, a szczególnie niemieckiego psychologa i filozofa prof. Hansa Jürgena Andersona.

Ogniste orkany, góry wody, pożary miast...

Zagrożenia płynące z kosmosu stanowią treść ogromnej liczby przepowiedni i wizji. Astronom z obserwatorium w Bochum w Niemczech, H. Kamiński, ostrzega, że jeżeli państwa nie zaprzestaną podziemnych wybuchów nuklearnych, to wkrótce nastąpi ostateczne rozerwanie płyt kontynentalnych, ich ponowne przesunięcie, a co za tym idzie – nastąpi era trzęsień ziemi, powodzi i zmian klimatycznych.

Ojciec Pio zostawił nam taką oto relację o zbliżającej się katastrofie kosmicznej: „Z nieba spłyną ogniste orkany i dmą huragany. Deszcze i burze. Trzęsienia ziemi będą następowały jedno po drugim. Z nieba bezustannie będzie lał się ogień... Wiatr będzie niósł ze sobą trujące gazy, a z nimi śmieci. Dopiero trzeciej nocy ustaną trzęsienia ziemi”.

Niemal identyczne wizje przekazały nam cztery dziewczynki z Garabandal, którym w 1961 roku ukazała się Matka Boska, nawołując do nawrócenia, bo kara boska jest nieunikniona. Także wymieniony już przez nas bawarski chłop Alois Irlmayer i aż cztery razy Nostradamus w czterech wiekach przywoływał katastroficzną wizję zagłady ludzkości.

Zapowiedzi zagrożenia Ziemi i katastrof wywołanych na naszej planecie przez komety odnajdujemy także u Kathe Niessen z Krefeld w Niemczech, która pisała: „wywołane przez kometę trzęsienia Ziemi rozciągną się u nas szczególnie w rejonie na północ od Düsseldorfu po Nijmegen i sięgną aż po Belgię. W moich wizjach widziałam w tamtych okolicach góry ziejące ogniem oraz trzęsienia ziemi, które wywołają pożary miast. Moje przepowiednie pokrywają się z wizjami mego znajomego jasnowidza Leona Theurisa z Mortsel, który dodał, że holenderskie miasto Nijmegen oraz okoliczne miejscowości, tak holenderskie, jak i niemieckie, ulegną zniszczeniu”.

W 1950 roku inny jasnowidz – Awmin Vogt tak pisał o swoich wizjach: „Stałem nad brzegiem morza i widziałem olbrzymią górę wody, sięgającą horyzontu i zbliżającą się szybko do brzegów. Byłem jakby z dala od kuli ziemskiej. Spoglądając w dół, dostrzegłem jakieś dziwne promieniowanie. Widziałem, jak na ziemi spadają niezliczone ilości nieznanych mi bryłek. Kolejne widzenie miałem już na ziemi. Walki, chaos, wojna. Wszędzie zamieszanie. Następnie zauważyłem w oddali wypaloną ziemię. Obraz ten zbliżał się do mnie. Mój głos wewnętrzny pytał zaś: co robić?, dokąd się udać? Lecz nie znalazłem nań odpowiedzi. Natomiast równocześnie z daleka przybliżał się ku ziemi czerwony punkt. Coś mi mówiło, że jest to jakieś obce ciało niebieskie, a cząstki w powietrzu, które wcześniej zauważyłem, to kawałki owego ciała zbliżającego się do ziemi”.

Czy można zapobiec tym katastroficznym wizjom?

W 1953 roku natomiast Orfeo Augelucci – robotnik z zakładów lotniczych Lockheada – w transie doznał wizji planety zagrożonej przez kometę, widoczną początkowo w formie czerwonej kropki. Kometę zbliżała się do planety z niezwykłą prędkością, następnie w nią uderzyła, powodując ogromną katastrofę kosmiczną. W innym transie widział znów kometę, która przed dotarciem do planety zniszczona została przez rakietę wystrzeloną

→ 20



Gdyby dzisiaj w Ziemię uderzył 10-kilometrowy obiekt, 6 miliardów ludzi straciłoby życie

Fot. Al

Co w trawie piszczy

Z owadami najlepiej walczyć naturalnymi metodami

W tym roku plagi komarów raczej nie będzie

– Wiosna bez większych opadów i prawie dekada pogłębiającej się suszy hydrologicznej powoduje, że komarów jest mniej. W tym roku raczej plagi komarów nie będzie – powiedział prof. Stanisław Czachorowski z Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie.

Choć w maju występowały deszczowe dni, to według wstępnych danych Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej opady w tym mieście były niższe niż średnia w latach 1991–2020.

Prof. Czachorowski ocenił w rozmowie z PAP, że w tym roku raczej plagi komarów nie będzie. – Groziłaby nam, gdybyśmy mieli dużo wody po ulewnych, letnich deszczach. Komary zawsze pojawiają się lokalnie, tak jak i inne owady, ale nie jest ich dużo. Mamy stosunkowo suchą wiosnę i prawie dekadę pogłębiającej się suszy hydrologicznej. Stąd wiele takich siedlisk wiosennych zniknęło i komarów jest mniej, tak jak i innych owadów wodnych – zaznaczył.

Naukowiec podkreślił, że komary mają najlepsze warunki do rozmnażania się, gdy w środowisku występuje dużo płytkiej wody okresowej. Wyjaśnił, że są to np. kałuże, w których wylewa rzeka oraz małe zbiorniki wodne, gdzie może występować ryba.

– Komary są znakomitymi kolonizatorami i szybko zasiedlają, składają jaja w małych zbiornikach wodnych, czasami w beczkach lub gdzieś pod dachem – podkreślił.

Zdaniem eksperta nagły wzrost populacji komarów jest mało prawdopodobny. Podkreślił, że pojedyncze ulewne deszcze lub większe deszczowe opady mogą sprawić, że lokalnie wody będzie więcej, a komary mogą szybko odbudować populację. Dodał jednak, że kałuże musiałyby się wtedy utrzymać co najmniej 2–3 tygodnie, ale efekt byłby lokalny.

Sposoby zwalczania komarów

W ocenie Czachorowskiego najlepszą metodą, którą władze lokalne

mogą stosować, aby ograniczyć populację komarów, są sposoby naturalne. – Myślę, że najskuteczniejszą metodą są ich naturalni

tropikalnych, tam, gdzie zagraża wirus Denga czy Zika, próbuje się ograniczyć liczebność komarów poprzez modyfikacje genetycz-

preparatów na owady, które można kupić w aptekach. Wybierając się na działkę, można natomiast zaopatrzyć się w specjalne świece

We Wrocławiu działania ograniczające populację komarów są uzależnione od panujących warunków hydrologicznych i atmosferycznych w danym roku. – Gmina od 1998 r. realizuje program kontroli liczebności komarów – poinformowała wiceprezydent miasta Renata Granowska w majowej odpowiedzi na interpelację radnej rady miejskiej Izabeli Duchnowskiej. Dodała, że decyzje są podejmowane na podstawie ustaleń zespołu ds. monitoringu dynamiki rozwoju populacji komarów. – W wyniku wieloletnich działań i obserwacji wyznaczone zostały stałe, potencjalne miejsca rozwoju komarów, które mają znaczący wpływ na zwiększoną uciążliwość tych owadów dla miasta (ok. 300 stałych punktów) – podkreśliła.

Wrocław w zwalczaniu problemu komarów stosuje metody biologiczne, takie jak wykorzystywanie ich naturalnych wrogów (drapieżników, pasożytów, patogenów i toksyn bakteryjnych) do likwidowania larw w zbiornikach wodnych. Miasto likwiduje też miejsca rozwoju komarów, np. poprzez utrzymywanie drożności infrastruktury melioracyjnej. – Wykonywanie zabiegów preparatami chemicznymi odbywa się wyłącznie w sytuacjach wzmożonej uciążliwości ze strony dorosłych osobników komarów – zaznaczyła wiceprezydent Granowska.

W Lublinie odkomarzania były prowadzone od około 20 lat, ale w ub.r. odstąpiono od tej praktyki. Anna Czerwonka z lubelskiego ratusza powiedziała PAP, że miasto podejmuje inne, ekologiczne działania w celu walki z komarami. – Na terenach rekreacyjnych wybierane są gatunki roślin odstraszające te owady. Montowane są ponadto budki lęgowe dla jeryzków i nietoperzy, które są naturalnymi wrogami komarów – stwierdziła. Dodała, że wczesną wiosną w mieście prowadzone są akcje ochrony plaż, które również pomagają w walce z tymi owadami. (PAP)



Bez małych zbiorników wodnych komary nie przetrwają

Fot. Al

wrogowie, czyli jeryzki, nietoperze, jaskółki, ogólnie gatunki owadożerne, ale również owady drapieżne, takie jak szerszenie, ważki itp. Nowoczesne budownictwo pozabawia te gatunki ptaków miejsc lęgowych, przez co ich populacja ulega zmniejszeniu. Władze lokalne powinny tworzyć dla nich nowe miejsca, stawiając budki lęgowe – zaznaczył.

Ekspert zauważył, że roślinność także może przyczynić się do zmniejszenia liczby komarów. Wyjaśnił, że niektóre gatunki roślin swoim zapachem mogą odstraszать i dezorientować owady.

– Są również metody chemiczne, ale one powodują więcej szkód niż pożytku. W ekstremalnych warunkach oczywiście są możliwości chemicznego zwalczania komarów, ale raczej powinniśmy zadbać o równowagę w przyrodzie – powiedział. – W krajach

ne i wypuszczanie do środowiska bezpłodnych samców. W naszych warunkach myślę, że jest to jednak kwestia odpowiedniego doboru roślin zielnych i drzew w miejscach, na których nam najbardziej zależy – dodał.

Profesor zaznaczył też, że wraz z globalnym ociepleniem możemy spodziewać się migracji południowych gatunków komarów. Przyznał jednak, że obecnie nie ma powodów do obaw, gdyż nie ma to znaczenia sanitarnego.

W ocenie Czachorowskiego w okresie, gdy komarów jest najwięcej, należy przede wszystkim wybierać odpowiednią porę dnia na wyjście z domu. Wyjaśnił, że komary nie lubią suchego powietrza i słońca. Jeśli można, warto również włożyć na spacer np. koszulę z długimi rękawami. Profesor zaznaczył, że skuteczne będzie stosowanie repelentów, czyli

zapachowe odstraszające komary.

Jak polskie miasta walczą z owadami

Władze lokalne w polskich miastach stosują różne metody walki z komarami. – W Warszawie urząd miasta nie planuje w tym roku akcji odkomarzania – poinformowała dyrektor koordynator ds. zielonej Warszawy Magdalena Młochowska w majowej odpowiedzi na interpelację radnej miasta Karoliny Ziolo-Pużuk. Podkreśliła, że takie działania mogą jednak podejmować poszczególne dzielnice. Ponadto – jak zaznaczyła – opryskiwanie preparatami chemicznymi ma toksyczny wpływ na pszczoły, inne owady i organizmy wodne. – Akcje takie budzą też wiele kontrowersji z uwagi na możliwy niekorzystny wpływ na ludzi, głównie alergików i małe dzieci – przekazała.

Śmierć...

→ 19

z tej planety. Zdziwiająca to wizja jak na początek lat 50. Dziś jest to obraz zupełnie realny.

Jeane Dixon, z której rad wielokrotnie korzystała administracja amerykańska „w latach pięćdziesiątych widziała, jak kometę spada na Ziemię. Na skutek gwałtownego zderzenia – wpadnie do oceanu – rozpoczną się trzęsienia ziemi, a wody morza wystąpią

z brzegów i zaleją ogromne obszary. Będzie to bodajże największa katastrofa XX wieku”.

Cytowana już przez nas Weronika Lueken z Nowego Jorku przewidywała wielką wojnę w Azji i w Afryce; „ludzi ogarnie panika. Ci, którzy jeszcze żyją, biegają jak szaleni po ulicach. Dym i pył przesłaniają wszystko i tylko jakiś głos mówi mi: trzy dni, trzy dni, trzy dni...”. Ta sama Weronika Lueken także widziała kolizję naszej planety z nieznanym ciałem niebieskim: „...nadszedł ostatnie

dni naszej ery. Liczni utracą życie w olbrzymim płomieniu, kiedy na Ziemię spadnie ognista kula. Będzie ona wyglądała jak wirujące Słońce spadające na Ziemię. Ognista kula będzie dla wszystkich widoczna przez dwa tygodnie. Następnie nadejdą trzy dni ciemności...”.

W Stanach Zjednoczonych stworzony został specjalny program kosmicznej obserwacji „Spacewatch”, zorganizowany i prowadzony przez Toma Gehrelsa. Celem programu jest obserwowanie

i katalogowanie możliwie wszystkich ciał kosmicznych, planet, komet, meteorów, planetoid, które mogą znaleźć się na kursie kolizyjnym z Ziemią.

Okazuje się, że takich ciał jest 40 razy więcej, niż przypuszczano do tej pory. Program zakłada także przygotowanie ewentualnych form obrony Ziemi przed zagrożeniami. Wcześniej, zdawałoby się futurologiczne filmy o deszczach meteorów zagrażających cywilizacji ziemskiej, dziś stają się niebezpieczeństwem zupełnie realnym. Na

szczęście mamy już techniczne możliwości obrony. Z jednej strony poprzez skierowanie niebezpiecznych ciał na inną orbitę, tak aby ominęły Ziemię, z drugiej poprzez nawet całkowite ich zniszczenie zanim staną się realnym niebezpieczeństwem. W tym przypadku wybawieniem dla Ziemi będzie broń nuklearna.

Robert A. Haasler

„Księga zagłady. Przepowiednie na koniec świata”, Katowice 1999, s. 305.



Wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma

Tu wszystko można załatwić szybko, online i bez problemów

Czy warto wyjechać do Szwecji?

Rozciągająca się w północnej Europie Szwecja sąsiaduje z Norwegią na zachodzie oraz z Finlandią na wschodzie. Stanowi część Unii Europejskiej i należy do strefy Schengen. Podobnie jak Norwegia jest to kraj atrakcyjny dla wielu Polaków ze względu na możliwości pracy oraz stabilną sytuację gospodarczą.

Szwecja słynie z wysokiego standardu życia, zaawansowanego systemu opieki społecznej i edukacji, a także z tego, że promuje równość płci oraz zrównoważony rozwój. Językiem urzędowym jest szwedzki, ale wielu mieszkańców posługuje się również angielskim.

Ile zarabia się w Szwecji?

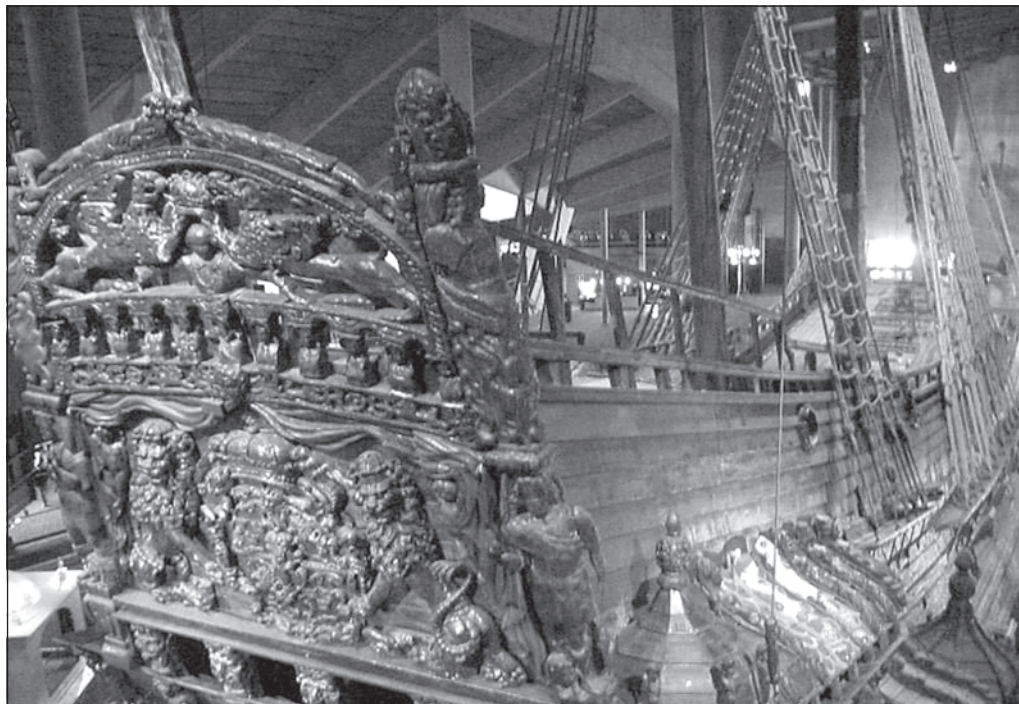
Wynagrodzenia w Szwecji są jednymi z najwyższych w Europie. Minimalna płaca dla osób pracujących na pełny etat od 2022 roku wynosi ok. 156 SEK za godzinę.

Klimat

W niektórych północnych częściach kraju panuje klimat subarktyczny. Szwecja jest piątym największym państwem w Europie (powierzchniowo), więc pogoda różni się w zależności od lokalizacji. Generalnie jednak ma klimat umiarkowany, zimy są długie i mroźne, a lata raczej krótkie i chłodne. Jest sporo lasów i miejsc, w których spędza się czas na łonie natury.

Warunki pracy w Szwecji

Kodeks pracy normuje warunki zatrudnienia oraz wymagania dotyczące umowy o pracę. Ta ostatnia jest zazwyczaj sporządzana po szwedzku, a pracodawca nie



Jedną z wielu atrakcji turystycznych w Szwecji jest wrak okrętu „Vasa”

Fot. Wikimedia

ma obowiązku tłumaczenia jej na język pracownika.

W Szwecji panują korzystne warunki pracy dla zatrudnionych. Pracodawcy są zobowiązani do zapewnienia równych szans i równego traktowania wszystkich pracowników, a dyskryminacja jest surowo zabroniona. Istnieje bardzo silna ochrona praw pracowniczych, zapewniona jest m.in. minimalna stawka godzinowa oraz określone są wymagania dotyczące czasu pracy, a także minimalny urlop wynoszący 25 dni w ciągu roku.

Jeśli zastanawiacie się, jak mieszka się w Szwecji, przeczytajcie wywiad z Moniką Mizińską-Momčilović, która razem z mężem

wyprowadziła się do Västmanlandu – regionu, w którym może korzystać z cudownej natury, czyli lasów i jezior. Wolny czas spędza właśnie tam. Uwielbia doskonałą szwedzką organizację oraz ekologiczne jedzenie. Na co dzień pracuje w branży SaaS jako przedstawiciel ds. rozwoju sprzedaży. Wcześniej mieszkała m.in. w Maroku i Serbii, ale to na Północy zapuściła korzenie. Dlaczego? Tego dowiesz się z poniższej rozmowy. Monikę możesz znaleźć na Instagramie: www.instagram.com/monika.momcilovic oraz na blogu: bewilderedslavica.com.

– Czy łatwo było ci się zadowolić?

– Szwecja jest piątym krajem, w którym mieszkam. Myślę, że z tego powodu poszło mi w miarę szybko odnalezienie się w nowej rzeczywistości. Na pewno bardzo w tym pomogło zorganizowanie Szwedów i obowiązujące zasady. Urzędy mają jasno określone reguły, jakie dokumenty są potrzebne, a ich pracownicy na ogół są pomocni. Miałam poczucie, że kierują mnie we właściwą stronę, a nie są nastawieni przeciwko mnie. Dotychczasowy stres związany z urzędami minął.

Szwedzi cenią sobie prywatność i z doświadczenia powiem, że łatwiej zwrócić przyjaźnię z obcokrajowcami żyjącymi w Szwecji.

– Jak wyglądały twoje początki w Szwecji?

– Początki były zdecydowanie wymagające. Rynek mieszkaniowy w większych miastach był dość wypełniony, gdy przyjechalismy, i dlatego przeprowadzaliśmy się mniej więcej co 1 – 3 miesiące. W końcu stwierdziliśmy, że mamy tego dość i kupiliśmy własne lokum. Zakup nieruchomości w Szwecji najczęściej odbywa się przez pośrednika (*maklare*), który załatwia całą papierkową robotę, oczywiście za niemałą opłatą.

Kocham Szwecję za to, że wszystko można tu załatwić szybko, online i bez problemów dzięki BankID. Aby go dostać, trzeba mieć *personnummer*, odpowiednik naszego numeru PESEL. Na stronach urzędów zamieszczane są jasne informacje po szwedzku, angielsku i często w innych językach, więc łatwo się w tym zorientować i załatwić inne sprawy przed przeprowadzką.

– Czy trzeba znać szwedzki, żeby żyć w Szwecji?

– Szwedzi świetnie mówią po angielsku, więc można załatwić sprawy urzędowe, zdrowotne itp. w tym języku, ale mieszkając tutaj, dobrze znać szwedzki. Poza tym jest on niezbędny w wielu firmach. Owszem, są też takie, w których oficjalnie mówi się po angielsku (tak jak ta, w której ja pracuję), często z branży IT (SaaS). Ja jednak uważam, że zawsze dobrze znać język kraju, w którym się mieszka. Ułatwia to nawiązywanie kontaktów i ogólnie życie.

Obcokrajowcom zapewnia się bezpłatne kursy SFI (*Svenska För Invandrare*), na których można zdobyć solidne podstawy do komunikacji. Słyszałam różne opinie o nich, szczególnie od emigrantów mieszkających w dużych miastach. Moje osobiste doświadczenia są jednak bardzo pozytywne. Chodziłam do szkoły w małym miasteczku i miałam cudowne nauczycielki. Warto wspomnieć, że wszystkie kursy szwedzkiego odbywają się od początku tylko po szwedzku. Nawet dla tych, którzy w ogóle nie znają języka. Dzięki takiemu systemowi jesteś otoczony językiem i musisz próbować się nim porozumieć.

– Co najbardziej cię zaskoczyło?

– Nie miałam żadnych oczekiwań, przeprowadzając się do Szwecji. Po prostu przyjechałam z otwartością i ciekawością. Wiedziałam już, że każdy kraj jest inny. Miłym zaskoczeniem było to, jak łatwo można załatwić sprawy urzędowe online, oraz to, jak chętnie Szwedzi spędzają czas w lesie i na trekkingu.

– Jaki jest poziom życia w Szwecji?

Rozwiązania zagadek ze str. 21

9	18	9	3	12	3			
					15			
			7	2	2		2	2
					2	2		
2	2		10					



Wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma



W Sztokholmie ceny wynajmu mieszkań należą do najwyższych

Fot. Wikimedia

– Myślę, że to kwestia indywidualna, ale ja jestem zadowolona z życia i służby zdrowia (wiem, że wielu rodaków nie podziela mojego zdania).

Bardzo jasne są też zasady dotyczące segregacji odpadów i dbania o środowisko. Na przykład jeśli kupujesz puszki z napojami, nie gnieć ich po opróżnieniu. Zwraca się je do automatu w sklepie i dostaje kaucję z powrotem.

Szwedzi cenią sobie bliskość natury i latem można spotkać ludzi nawet na dzikich szlakach głęboko w leśnej głuszy. Bardzo popularne są też kempingi, biwaki na dziko oraz leśne chatki, czyli drewniane wiatrochrony, w których można odpocząć podczas wędrowki. Nieśamowite jest również to, że przyroda według *Allemansrätten* (po szwedzku „prawo wszystkich ludzi”) jest dostępna dla każdego, dlatego wolno zbierać jagody, grzyby, biwakować na dziko. Często w takiej chatce obcy ludzie się dosiadają, grillują koło nas. I to jest normalne, bo każdy ma prawo cieszyć się otaczającą go naturą!

Jest jeszcze jedna rzecz, która według mnie wiele znaczy: doskonała woda pitna w całej Szwecji. Mam butelkę, którą po prostu napełniam pod kranem. Dla mnie jej dostępność oznacza lepszą jakość życia! Wybór wód butelkowanych jest w Szwecji zdecydowanie mniejszy niż w Polsce, Maroku lub Serbii.

– **Jak wygląda opieka zdrowotna w Szwecji?**

– Kiedy rozmawiam z innymi Polakami, odnoszę wrażenie, że mówimy o różnych krajach, bo większość rodaków, których do tej pory spotkałam, bardzo narzeka na szwedzką służbę zdrowia. Moje doświadczenia z nią są bardzo pozytywne. Podoba mi się to, że jest zorganizowana. Moim zdaniem lekarze mają holistyczne podejście. Są też jasne zasady dotyczące przyjmowania pacjentów, zgłaszania się do kolejki itp.

– **Co najbardziej lubisz w życiu w Szwecji?**

– Bliskość lasów i przyrody nawet w większych miastach oraz

organizację i klarowność w sprawach urzędowych. To są moje dwa główne powody, dla których lubię tu żyć.

Kocham Szwecję przez cały rok. Jest magiczna bez względu na to, czy drzewa pokrywa biały puch, czy są skąpane w promieniach letniego słońca. Od maja do października spędzamy w lesie właściwie każdy dzień. Dostępność natury na każdym kroku bardzo dobrze wpływa na samopoczucie. Podoba mi się też to, że wiele osób przyzwyczaja dzieci od małego do biwakowania; często widzę kilkuletnich chłopców łowiących ryby z ojcami. W przedszkolach maluchy tarzają się w śniegu, nawet gdy jest bardzo niska temperatura, a latem robią szalasy.

– **Największy minus mieszkania w Szwecji to...**

– Dla mnie minusem jest to, że ciężko zawrzeć przyjaźnię. Odbieram Szwedów jako naród z dystansem. Rozrywki tu są zupełnie inne niż te, do których przywykłam w Serbii, Maroku i raczej trudno o spontanicznie wyjścia oraz spotkania.

Dla porównania, gdy mieszkałam w Casablance lub Belgradzie, byłam przyzwyczajona do gwaru każdego dnia. Serbowie wychodzą do *kafan* (coś w rodzaju pubów) od poniedziałku do niedzieli. W Maroku z kolei życie toczy się późnym wieczorem i nawet w poniedziałki bary, restauracje i place w miastach wypełniają ludzie. Ale czy fakt, że tu jest inaczej, jest

czymś negatywnym? Nie, tu jest po prostu inaczej, na swój sposób wspaniale.

– **Opowiedz więcej o pracy w Szwecji.**

– Jestem zatrudniona w szwedzkiej firmie i bardzo sobie cenię miejscową kulturę pracy. Zdecydowanie lepiej mi tu niż w brytyjskich, polskich oraz marokańskich przedsiębiorstwach. Jeśli miałabym określić jednym słowem szwedzkie podejście do pracy, powiedziałabym, że jest „ludzkie”. Wszyscy w biurze mówią sobie po imieniu i nie ma hierarchii. Panuje przyjemna, luźna atmosfera. Razem pracujemy, skupiamy się na celach, ale też razem się bawimy na imprezach oraz lunchu. Ważna jest tak zwana *fika*, czyli przerwa na kawę i coś słodkiego. Z doświadczenia wiem, że tradycja ta jest kultywowana w wielu miejscach. Cukier nie przygotowują nawet specjalnie oferty i pakiety, które cieszą się ogromną popularnością.

Z doświadczenia w dwóch miejscach pracy (pierwsze to był mały, rodzinny hotel, drugie to start-up zatrudniający ok. 40 pracowników) mogę powiedzieć, że Szwedzi rozumieją, że aby dobrze pracować, trzeba też odpoczywać. Jestem wdzięczna, że trafiłam do miejsc, w których szanuje się ludzi, ich zdrowie i życie osobiste.

W mojej obecnej pracy raz na jakiś czas zamawiamy bułki cynamonowe (*kanelbulle*) i ok. godz. 14 siadamy na pół godziny wszyscy

przy stole w kuchni, pijemy kawę, herbatę i rozmawiamy na tematy niezwiązane z pracą. Uwielbiam ten czas!

Co do szukania pracy, nie jestem ekspertem w dziedzinie zatrudnienia, więc polecę każdemu, by na własną rękę zdobywał informacje o zarobkach lub perspektywach kariery. Wszystko jest dostępne w internecie. Uważam, że warto próbować.

W pierwszej pracy (hotel) potrzebny mi był szwedzki, natomiast w obecnej (SaaS) mówimy głównie po angielsku. Ciężko mi powiedzieć, jakie zawody są szczególnie poszukiwane. Nie interesuję się zbytnio rynkiem pracy, a moje życie zawodowe jest bardziej związane z językami, copywritingiem, sprzedażą i marketingiem. Nie mogę się więc wypowiedzieć na temat innych branż. Ponieważ pracuję w SaaS, jestem na bieżąco w tej kwestii i jedno jest pewne: Szwecja bardzo szybko się rozwija w tym kierunku i potrzebni są programiści. Widzę też stale zapotrzebowanie na specjalistów ds. sprzedaży oraz marketingu właśnie w tej branży. To tyle z mojej działki, o innych niewiele wiem.

Warto szukać w różnych miejscach pracy, która nam odpowiada. Ja swoją znalazłam na LinkedIn.

Jeśli chodzi o chorobowe, to do tygodnia nie trzeba żadnego papieru od lekarza. Dzwonisz

do pracodawcy i po prostu mówisz, że jesteś chory.

– **Czy w Szwecji łatwiej się utrzymać niż w Polsce?**

– Jeśli zarabia się w serbskich dinarach lub złotych, trzeba się liczyć na początku z dużymi kosztami utrzymania. Wynajem w Szwecji jest sporo droższy, więc należy mieć jakieś oszczędności. Z Polski, w której nigdy nie utrzymywałam się sama i nie wynajmowałam mieszkania, wyjechałam zaraz po studiach. Jeśli porówna się zarobki i jakość życia w Szwecji i Serbii, to wychodzi, że zdecydowanie łatwiej żyć w Szwecji. Koszty życia są wyższe, ale pensja też.

Myślę jednak, że to znowu kwestia bardzo indywidualna. Znam ludzi, którzy mają bardzo wysokie zarobki, a ciągle im brakuje pieniędzy. Znam też takich, którzy mają niewiele większe pensje niż w Polsce, a żyją dobrze.

Uważam, że dużo zależy od tego, jak sami zarządzamy pieniędzmi, jak również od miejsca, w którym mieszkamy. Różnice w cenach wynajmu, sprzedaży nieruchomości są ogromne w poszczególnych regionach, miastach i miasteczkach. Ceny produktów codziennego użytku w Szwecji są niewiele większe niż w Polsce, a zarobki generalnie wyższe.

Ewelina Gac

„Poradnik dla rozważających emigrację”, Bielsko-Biała 2023, s. 317.

Warto zabrać ze sobą:

- prawo jazdy
- odpis aktu urodzenia, najlepiej przetłumaczony na język szwedzki lub przynajmniej angielski
- świadectwa ukończenia szkoły oraz/lub dyplom wyższej uczelni, najlepiej przetłumaczone na szwedzki lub angielski.

Podstawowe informacje:

- obowiązująca waluta to korona szwedzka (SEK),
- język urzędowy to szwedzki
- kraj liczy ponad 10 mln obywateli, z czego ok. 90 tys. to Polacy.

W związku z wyjazdem do Szwecji należy mieć:

- ważny paszport lub dowód osobisty,
- Europejską Kartę Ubezpieczenia Zdrowotnego (EKUZ), którą można wyrobić online lub w oddziałach Narodowego Funduszu Zdrowia.

To trzeba wiedzieć

• Usytuowana w Europie Północnej Szwecja graniczy z Norwegią i Finlandią. Jest to trzeci co do wielkości kraj w Europie. Jest członkiem Unii Europejskiej i strefy Schengen.

• Słynie z długiego urlopu macierzyńskiego, który trwa 480 dni i jest w pełni opłacany przez państwo. To jeden z najbardziej przyjaznych rodzinie krajów, biorąc pod uwagę cały świat.

• Ceny wynajmu mieszkań w Szwecji najwyższe są w miastach, takich jak Sztokholm, Göteborg czy Malmö. O wiele taniej można wynająć, a nawet kupić lokum w mniejszych miejscowościach.

• Szwedzi są znani z produkcji mebli (stąd pochodzi Ikea) oraz z muzyki (stąd pochodzi Abba).

• Na północ kraju w zimie występują noce polarne – słońce może nie wschodzić przez kilka tygodni. Za to latem istnieje zjawisko białych nocy i słońce nie zachodzi przez podobny okres.

Smacznego

W kuchni Ewy Wachowicz

Słodkie „pływające wyspy”



Mam kurnik. I to zmienia wszystko – zwłaszcza w kuchni. Od kiedy mam dostęp do świeżych, domowych jajek, zaczęłam wykorzystywać je w kuchni jeszcze częściej. Jednym z deserów, który na tym zyskał, są „pływające wyspy” – delikatne chmurki z białka unoszące się na kremowym sosie waniliowym. Pyszna i prosta przekąska dla każdego.

Muszę przyznać, że własny kurnik to jedna z najlepszych decyzji, jakie podjęłam. Dzięki niemu codziennie mam świeże jajka, ale to tylko część korzyści. Moje kury grzebią w ziemi, zjadają ślimaki,

larwy i inne szkodniki, pomagając mi naturalnie dbać o ogród. Przy okazji spulchniają glebę i poprawiają jej strukturę, co pozytywnie wpływa na wzrost roślin. Ich ściółka i odchody trafiają do kompostownika, tworząc świetny nawóz – bogaty w składniki odżywcze i całkowicie naturalny. A jajka z własnej hodowli? Mają intensywny kolor, są pełne smaku i zdecydowanie bardziej odżywcze – zawierają więcej witamin, kwasów omega-3 i mniej cholesterolu niż te z masowej produkcji.

Wracając do naszego deseru. Francuski klasyk, *île flottante*, to kwintesencja prostoty, ale też elegancji. Ubijane na sztywno białka gotowane są na mleku lub wodzie, a potem „pływają” na aksamitnym, słodkim *crème anglaise*, czyli klasycznym sosie waniliowym na żółtkach. Choć we Francji to coś powszedniego, w Polsce już niekoniecznie.

Deser ten zachwyca nie tylko smakiem, ale też kontrastem tekstur – puszysta, lekka jak obłok piana z białek delikatnie unosi się na gładkim, kremowym sosie waniliowym, tworząc harmonijną całość. Co ciekawe, *île flottante* dawniej bywały we Francji domowym deserem dla dzieci, a dziś serwuje się je w eleganckich restauracjach.

Warto więc przygotować go we własnej kuchni. To jeden z tych deserów, które robią wrażenie, choć opierają się na najprostszych produktach.

Składniki:

- 400 ml mleka
- 2 jajka
- łyżka cukru pudru do pianek

- 2 łyżki cukru pudru do sosu
- opakowanie cukru waniliowego z ziarnami wanilii
- łyżeczka mąki ziemniaczanej

Do podania:

maliny

Przygotowanie:

1. W garnku lub głębokiej patelni zagotować wodę. Białka oddzielić od żółtek, dodać sól i ubić na sztywno. Wsypać cukier puder i miksować, aż się rozpuści i utrwali pianę. Za pomocą łyżki zrobić „chmurki” i położyć na lekko gotującą się wodę. Z obu stron

gotować mniej więcej po dwie minuty. Ugotowane bezy odsączyć na ręczniku papierowym.

2. Mleko zagotować w garnku. Żółtka utrzeć z cukrem pudrem i cukrem waniliowym. Wymieszać. Dosypać mąkę ziemniaczaną i jeszcze raz zmiksować. Cienkim strumyczkiem wlać gorące mleko i cały czas ucierać. Przelać do garnka i podgrzać, nie zagotować.

3. Gotowy sos wlać na talerz. Delikatnie umieścić pianki. Udekorować malinami.



Fot. archiwum domowe

Marek Brzeziński
PROPONUJE



Język mieszkańców tej malowniczej krainy – rozciągającej się od dzikich, majestatycznych Pirenejów po wody Atlantyku, które rozbijają się o skaliste wybrzeża i oblewają piaszczyste plaże – bez wątpienia należy do jednych z trudniejszych w Europie. Dla lingwisty stanowi jednak fascynującą zagadkę, pełną tajemnic do odkrycia. Podobnie jest z kuchnią. Kuchnia Kraju Basków, podzielonego Pirenejami na część hiszpańską i francuską, należy do ciekawszych na mapie kuchni regionalnych – nie tylko Francji. Rzućmy

Kogut baskijski i... armagnac

okiem na możliwości kulinarne tej krainy.

Kuchnia baskijska, która jest pod wielkim wpływem Gaskonii i Béarn (paradoksalnie wykwintny sos berneński pochodzi nie stamtąd, lecz spod... Paryża), jest bogata w ryby, z czerwonym tuńczykiem w roli głównej. Taki płat tuńczyka w oliwie z rusztu, z grilla – palce lizać. To rejon, w którym zjadamy się owocami morza. Krewetki, langusty, kraby, homary. W słynnym we Francji porcie rybackim Saint-Jean-de-Luz podadzą nam doskonale faszerowane kalmary albo ttoro – zupełną rybą z kawałkami tuńczyka, suszonego dorsza, langustynkami, omułkami i nieodczynnymi w tym kraju pomidorami, cebulą i espelette. Z mięs zjemy jaginięcinę, wieprzowinę z młodych dwukolorowych – różowo-czarnych – prosiąt (mają czarne łby i pupy, reszta jest różowa), legendarną wędzoną szynkę z Bayonne, wcale nie za bająńską cenę, bo ten synonim astronomicznych pieniędzy trafił do polszczyzny za sprawą ogromnej kontrybucji nałożonej przez Napoleona na Księstwo Warszawskie, a samo

Bayonne nie jest bająńsko drogie. Mamy ragout z cielęciny z... espelette, wołowinę, no i drób. Ano właśnie. Cocorico – jak pieją francuskie koguty. Baskijskie też. W obroty bierzemy nogi kurczaka. Opiekamy je ze wszystkich możliwych stron. Teraz pierś tegoż ptaka kroimy na spore kawałki. Też obsmażamy. Dolewamy pół litra białego wytrawnego wina. Dorzucamy pokrojone na kawałki pomidory, oczyszczone ze skórek i z pestek. Teraz dwie – trzy solidne łychy przecieru. Bierzymy się do papryki. Zdejmujemy z niej

skórkę, kroimy w paski, oczyszczamy z pestek. Cebula pokrojona w krążki. Espelette i kawałki kurczaka pichcimy trzy kwadransy na wolnym ogniu. Sprawdzamy widelcem, czy mięso jest miękkie. Odcedzamy kurczaka i z zalewy robimy sos.

Dolewamy szklanek lokalnej brandy, czyli armagnacu. To „woda życia”, jak Francuzi nazywają mocne trunki, a Szkoci swoją whisky. Armagnac jest destylatem wina i produkowany jest w departamentach południowo-zachodniej Francji, powstaje w Gers – krainie

muszkietierów, położonej w sercu Gaskonii oraz w malowniczych Landach, gdzie piaszczyste plaże, imponujące wydmy i rozległe sosnowe lasy tworzą niepowtarzalny krajobraz. Wytwarzany jest także w Lot-et-Garonne, na terenie Nowej Akwitarii. To region bogaty w piękne krajobrazy, wina, wspaniałą kuchnię i mocne trunki. Wymienione miejsca należą do dawnej prowincji Armagnac, skąd wywodzi się ta brandy. Tylko alkohol pochodzący z tego regionu może nosić tę nazwę. Tak jak koniak czy szampan. Armagnac produkowany jest od średniowiecza, głównie w rejonach Eauze i Condom, ale proces ten nabrał rozpędu w XVII wieku, osiągając apogeum dwa stulecia później. Do naszego sosu, tak jak w ogóle do gotowania, nie używamy trunku z najwyższej półki – czy to będzie szampan, koniak, wino, calvados czy właśnie armagnac, raczej ten pośledniejszy, tańszy. Chodzi przecież o aromat i smak. Alkohol wyparuje, a one zostaną w naszej potrawie. Oto Saint-Vivant z Condom en Armagnac-Gers. Sos mocno podgrzewamy. W powietrzu unosi się zapach armagnacu. Dodajemy espelette. Też czysto baskijska przyprawa... rodem z Gwatemali. Małe ziemniaczki i gotowe.



Fot. autor

Autobiografia Whoopi Goldberg

Latem włoskie miasta przyciągają gwiazdy filmowe, które świecą niezależnie od sezonu. Whoopi Goldberg odwiedziła Matere jako turystka, wędrując uliczkami jak zwykła podróżna, ale w Taorminie znów stanęła przed reflektorami. Odebrała nagrodę i zaprezentowała książkę, intymną opowieść o sobie, matce i bracie. O miłości, która nie przemija, i pamięci, która nie pozwala zniknąć temu, co najważniejsze.

Konfrontacja z włoską publicznością była szczerą i daleką od celebryckiego blichtru. Whoopi Goldberg – jedna z najbardziej rozpoznawalnych twarzy amerykańskiej kultury, członkini elitarnego grona laureatów EGOT, czyli zdobywczyńi Emmy, Grammy, Oscara i Tony – przyjechała do Taorminy z historią, która poruszyła publiczność festiwalu Taobuk, poświęconego w tym roku tematowi szeroko rozumianych „granic”. Jej autobiografia *Frammenti di memoria* to nie tylko wspomnienia z dzieciństwa w biednej dzielnicy Nowego Jorku, lecz przede wszystkim hołd dla matki Emmy i brata Clyde’a. „Byłam niesamowicie szczęśliwa, że miałam taką mamę i takiego brata” – mówiła podczas spotkania autorskiego. Nie unikała trudnych emocji. Zachęcała, by mówić bliskim wszystkim, co czujemy – „bo śmierć może przyjść w każdej chwili, a lepiej nie żałować, że czegoś nie zdążyliśmy wyrazić”.



Urodziła się jako Caryn Elaine Johnson – była córką Emmy, czarnoskórej samotnej matki, która w Ameryce lat 50. potrafiła stworzyć dzieciom świat pełen czułości i godności mimo codziennych

nierówności i biedy. „Mama była twarda, ale sprawiedliwa – uczyła nas nie tylko jak przeżyć, lecz także kwitnąć” – wspominała Goldberg z wyczuwalnym wzruszeniem. Ich relacja była

bezwarunkowa, mocna. W książce znalazło się kilka bezcennych zdjęć: Emma jako młoda kobieta w grupie pielęgniarek podczas ceremonii wręczenia dyplomów w szkole, a także w Białym Domu. Jest też Caryn, jeszcze nie Whoopi, z bratem Clyde’em – dzieci na progu życia, które miało ich wystawić na próbę.

Już jako dziewczynka grała w lokalnych teatrach. Porzuciła szkołę, by występować na Broadwayu. Wypatrzył ją Mike Nichols – ten od *Kto się boi Virginii Woolf?* i *Absolwenta* – i wtedy machina ruszyła. Przełom nastąpił z rolą Celie w *Kolorze purpury*, kiedy Spielberg dał jej szansę, której nie zmarnowała. Posypały się nagrody, role dramatyczne i komediowe. To jej nie zmieniło – w głębi starała się pozostać sobą. Bez masek, bez fałszu, z nerwem autentyczności przebijającym się przez każdą rolę. Potrafiła wzruszać i rozśmieszać, grać, pisać, produkować, prowadzić talk-show, używać głosu postaci. Lecz przede wszystkim – potrafiła mówić własnym głosem. A to w świecie show-biznesu bywa najtrudniejsze.

Emma, choć biedna, potrafiła nadać światom sens. Uczyła dzieci chodzić do muzeów, patrzeć uważnie, nie wstydzić się marzeń. Największym ciosem dla Whoopi było to, że matka przez dwa lata jej nie rozpoznawała – po utracie pamięci, po terapii, po bólu. W książce nie ma sentymentalizmu. Jest

bliskość. Jest gniew. Jest siła, którą daje pamięć – ta prawdziwa, nieupiększona. To dzięki obrazom przeszłości wie, że jej własny głos narodził się gdzieś między Coney Island a Harlemem. Głos, który poprowadził ją przez Broadway, kino, książki – aż tu, do Włoch, gdzie przyjęło ją huraganem brow.

Jednak przeżyła też momenty cichego zdumienia. Po śmierci Marlona Brando dowiedziała się, że zapisał jej w testamencie kawałek ziemi na Fidżi. Była zaskoczona i wzruszona. Nie przyjęła go. Uważała, iż należy się jego rodzinie. Dla niej sam gest był darem. W Taorminie – miejscu zawieszonym między niebem a morzem – znalazła przestrzeń, by się odsłonić. Festiwal Taobuk przyjął ją jak przyjaciółkę. To tam przyznała bez skrępowania, że chętnie spotkałaby się z papieżem Leonem XIV. Nie z grzeczności. Z ciekawości. Aby się upewnić, że są ludzie, którzy – jak ona – żyją poza schematami.

To właśnie przez tę nieszablonowość niedawno gościła na czołówkach – po tym, jak w programie *The View* w ostrych słowach przypomniała, iż historia Stanów Zjednoczonych nie jest wolna od cieni i że nie trzeba patrzeć na Iran, by zrozumieć, czym jest przemoc systemowa. Mówi ostro. Bez filtra. I nie każdy chce to słyszeć. Ale dla niej milczenie nigdy nie było opcją. Tę niezgodę wyniosła z domu. (ANS)

Na podst.: ansa.it, repubblica.it, corriere.it, sassilive.it

Angora 28/2025

Jak tysiące brytyjskich studentów oszukuje z pomocą AI

Nowe narzędzia, nowi szalbierze

Dziennikarze „The Guardian” ujawnili wśród brytyjskich studentów prawie siedem tysięcy potwierdzonych przypadków oszustw z wykorzystaniem AI, do jakich doszło w ciągu ostatnich lat. Spadła za to liczba zwykłych plagiatów.

Badanie naruszeń uczciwości akademickiej wykazało prawie siedem tysięcy przypadków oszukiwania przy użyciu narzędzi AI w latach 2023 – 2024. To oznacza 5,1 na tysiąc studentów – i wzrost z 1,6 na tysiąc w latach 2022 – 2023. Dane te pozwalają zakładać, że w bieżącym roku wskaźnik wzrośnie ponownie – do około 7,5 na tysiąc studentów. Jednak według ekspertów dane te to jedynie wierzchołek góry lodowej, a uniwersytety

stanęły obecnie przed nowym wyzwaniem: muszą dostosować metody oceniania do świata nowych technologii.

W latach 2019 – 2020 plagiat stanowił prawie dwie trzecie wszystkich nieuczciwości akademickich. Podczas pandemii zjawisko to się nasiliło, ponieważ studenci częściej korzystali z internetu. Najnowsze badanie wykazało, że liczba potwierdzonych przypadków plagiatu spadła z 19 na tysiąc studentów do 15,2 w roku akademickim 2023 – 2024 i oczekuje się, że będzie dalej spadać do około 8,5 na tysiąc. „The Guardian” skontaktował się ze 155 uniwersytetami. 131 z nich dostarczyło dane, ale nie każdy miał odrębne zapisy dla każdego roku lub różnych kategorii nieuczciwości. Ponad 27 proc. uniwersytetów nie zapisywało nadużyć związanych z AI jako osobnej kategorii wykroczeń w latach

2023 – 2024. Dodatkowo wiele przypadków może pozostawać niewykrytych.

W zeszłym roku naukowcy z University of Reading testowali własne systemy oceniania i okazało się, że prace wygenerowane przez AI nie zostały wykryte w 94 proc. przypadków. Doktor Peter Scarfe z wydziału psychologii na Uniwersytecie w Reading, współautor badania, stwierdził, że zawsze istniały sposoby na oszukiwanie, a teraz instytucje edukacyjne będą musiały się dostosować do rzeczywistości, w której każdy ma dostęp do sztucznej inteligencji. Dziennikarze „Guardiana” znaleźli na TikToku dziesiątki filmów, gdzie prezentuje się narzędzia do parafrazowania i pisania esejów za pomocą sztucznej inteligencji, mające pomagać studentom oszukać detektory AI.

Sztuczna inteligencja służy jednak nie tylko do oszukiwania.

Brytyjski minister nauki i technologii Peter Kyle powiedział niedawno, że powinna ona zostać wdrożona w celu wyrównania szans dzieci z dysleksją. Doktor Thomas Lancaster, badacz uczciwości akademickiej z Imperial College London, mówi, że często sugeruje się, by częściej przeprowadzać egzaminy ustne. Podkreśla jednak, że wartość uczenia się na pamięć i utrwalanej wiedzy maleje z roku na rok, a najważniejsze stają się umiejętności, których nie da się łatwo zastąpić sztuczną inteligencją, np. komunikacyjne i interpersonalne.

Rzecznik rządu poinformował, że Wielka Brytania przeznacza ponad 187 mln funtów na programy rozwoju umiejętności i opublikował wytyczne dotyczące wykorzystania sztucznej inteligencji w szkołach. Jednak uniwersytety muszą zdecydować, w jaki sposób działać, by

odnosić z niej jak największe korzyści i minimalizować związane z nią ryzyko.

Sigal Samuel z amerykańskiego portalu Vox, która prowadzi panele dyskusyjne na uczelniach wyższych i ocenia prace pisemne studentów kierunków humanistycznych, zauważa, że wielu nauczycieli akademickich pracuje nad opracowaniem takich metod nauczania, aby nieuczciwe korzystanie z AI uczynić mniej kuszącym dla studentów. Przyznaje jednak, że gdyby sama miała stworzyć program nauczania, nie przyjęłaby surowej polityki „anty-AI”. Zamiast tego szczerze dyskutowałaby ze studentami o prawdziwych korzyściach płynących z nauk humanistycznych oraz o tym, dlaczego oszukiwanie z pomocą AI to w praktyce oszukiwanie samego siebie. Potem dałaby im dwie opcje do wyboru: napisanie eseju z pomocą AI lub bez.

Jeśli zdecydowałaby się na użycie chatbota, musieliby uzasadnić swoją decyzję. (AS)

Na podst.: theguardian.com, vox.com

Angora 26/2025

Rozrywka

HOROSKOP

Gwiazdy patrzą na nas..

BARAN

Poczujesz, że w twoim życiu zapanowała stagnacja. Nie myśl ciągle o tym, jak to zmienić, bo życie samo przyniesie niespodzianki. Choć na samotność na pewno narzekać nie możesz, to jednak poczujesz, że nie ma przy tobie nikogo wyjątkowego.

BYK

Ten tydzień spędzisz raczej na przyjemnościach, nawet jeżeli miałyby to oznaczać gafy spowodowane przez ciebie. W miłości bez względu na to, czy jesteś w związku, czy nie, zechcesz poflirtować. Jednak uważaj, co robisz, by nie napytać sobie wrogów.

BLIŹNIĘTA

Bądź otwarty na niespodzianki. Na brak powodzenia u płci przeciwnej na pewno nie będziesz mógł narzekać, lecz nie powinienś angażować się uczuciowo. Jeżeli pracujesz na stanowisku, gdzie możesz sobie pozwolić na więcej własnej inicjatywy, z pewnością wymyślisz coś nowatorskiego.

RAK

Zaczyna się okres, kiedy nabierzesz więcej sił i zarówno twoje sprawy finansowe, jak i życie uczuciowe nabiorą tępa. Jeśli masz na oku osobę godną uwagi, zrób wszystko, by coś między wami w końcu ruszyło z miejsca. Jeżeli zaś już jesteś w stałym związku, to może on wejść w nowy etap.

LEW

Będziesz teraz cieszył się ogromnym powodzeniem, a jedna z napotkanych osób może okazać się miłością twojego życia. Będziesz miał niepowtarzalną możliwość rozwoju osobistego. W pracy bardzo dobry czas, by się rozwijać i wdrażać nowe projekty.

PANNA

Nadchodzący tydzień to dobry czas, by wybrać się w końcu na upragnione wakacje. Spróbuj odebrać się od rzeczywistości i wybrać w podróż lub też pomyśleć o rodzinie. W miłości na razie stagnacja. Natomiast na pewno jest to szczęśliwy okres dla stałych par.

WAGA

Na pewno dojdzie do pewnego przełomu w twoim życiu prywatnym. W miłości będziesz teraz po prostu sobą i nie zamierzasz kryć się z uczuciami ani pozytywnymi, ani też negatywnymi. Teraz najważniejsze dla ciebie są wyłącznie twoje potrzeby.

SKORPION

Twój partner będzie się teraz zachowywał bardzo egoistycznie. Możliwe, że poczujesz, jakbyś wychowywała duże dziecko, w dodatku bardzo grymaśne. Niestety, takie zachowanie może wytrącić cię z równowagi, zresztą będzie to uzasadnione.

STRZELEC

Teraz jesteś skłonny zaryzykować wszystko dla chwil słabości. Zachowaj umiar, a będzie to dla ciebie bardzo szczęśliwy tydzień. W pracy wszystko w porządku i na pewno nie będziesz teraz się nią martwić, a nadmierne ambicje również ci nie grożą. Może powinienś teraz skorzystać z urlopu.

KOZIOROŻEC

Tydzien pod znakiem wyczynku, ale jeżeli nie możesz wybrać się teraz na urlop, staraj się zachować granice między koniecznością a przyjemnościami. W pracy dużo obowiązków czeka Koziorożce urodzone na początku znaku. Możesz też liczyć na przyływ gotówki.

WODNIK

Życie przyniesie ci miłe niespodzianki w każdej dziedzinie. Pokaż się od jak najlepszej strony, bo to może mieć wpływ na twoją pracę i finanse. W miłości na pewno zero nudy, ale czy będą to dobre chwile, pokaże czas. Uważaj w finansach, za dużo wydajesz.

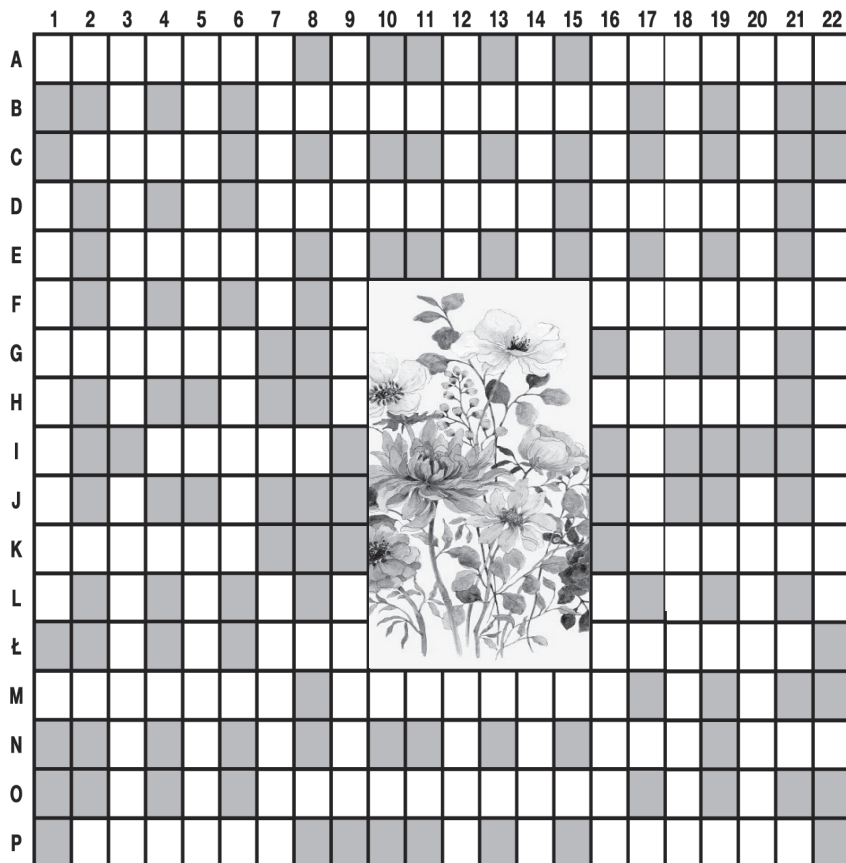
RYBY

Na początku tygodnia możesz mieć trudności ze zorganizowaniem sobie czasu, ale nie martw się - to minie. Jeżeli jesteś w stałym związku, niestety, nie będzie się dziać najlepiej. W pracy będziesz bardzo stanowczy i szybko wprowadzisz ład w tej dziedzinie.

King, murzyński pianista	▼	Despotyczny zwierzchnik	▼	Zajmuje się nauką o ciałach niebieskich	▼	Z karą	▼	Trampolina	
Szef	24					Kuchynka kuny		Daszek nad paleniskiem	Kłuta lub szarpana
►				Indyk samiec	►				►
15									
Kobieta z Ameryki Południowej	►						21	1	
►				Sznur z pętlą do chwytania zwierząt	►				
	9								
Linijka krawcowej						Cztery mendle			
Herakles w Rzymie	►	Pański, akademicki	►		17	Rodzaj surduta			
►				Stan po przepiciu	►			Biblijny raj	Z Mokotowem
10	11	16							
Władca turecki						„... krwi”			
Okres dziejowy	►			14		30	4046,86 m ²	4	23
►				Płotek lodowiska	►				
				Lukier auta				7	20
Stragan na jarmarku		Przekazywanie energii biologicznej	►	Przez Florencję i Pizę	►			22	
►									
25		29		Psych. stan podniecenia	►				
Grzyb pasożyt									
Ogon cietrzewia	►								19
►				Chlorek sodu	►				
	5								
Reklama świetlna									
Sterna drewna do spalania	►				18				
Góry na granicy Europy		Dzienny ze sprzedaży		Podniesienie do wyższej godności	►				
►									
Śródlądowy zbiornik wodny	►								Biblijna żona Abrahama
		13							
►					Zwrotnik półkuli północnej	Nie lub krupnik	►	Zespół ludzi spokrewnionych ze sobą	►
3						Stopień nasycenia barwy			
Zespół urzędów	►								
Irena na Wschodzie		2						26	
►						Przeciwstawianie się			
							12		
Fanfaronada, samochwalstwo	►								
						28		27	

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16
17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29	30		

Krzyżówka z przymrużeniem oka



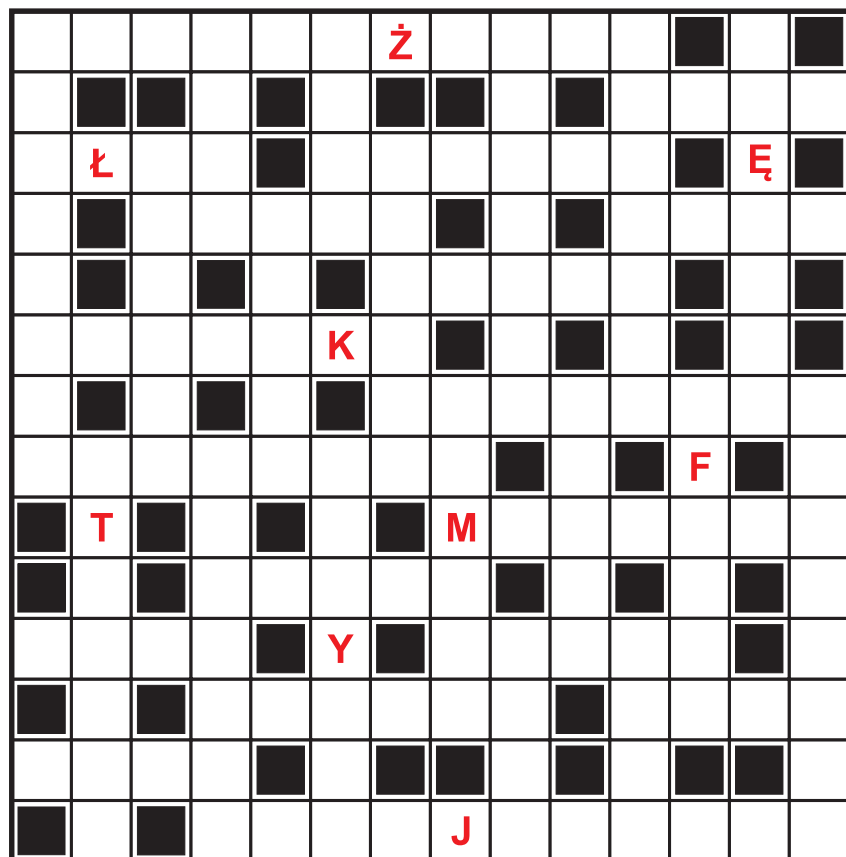
POZIOMO:

- A1 bestseller zapisany ósemkami i ćwiartkami
 A16 polityk ekstremista
 B7 meblowa dama
 C2 za dużo słońca na głowę
 D7 zesmacone ciuszki
 D16 rozpuszczalna chata
 E3 zamek bez wież
 F16 autozakochanie
 G1 przedsiębiorstwo ze stawką?
 H16 z wodną „windą” na kanale
 I4 jogurt w jurcie
 K1 z nigdy nieczesanym warkoczem
 K17 wszystkie znaki na niebie
 Ł7 dużo drzew na mokradłach
 Ł16 choroba... kryzysowa?
 M1 cesarz z wdziękiem w imieniu
 M9 nauka o panu świata i stworzenia
 N16 marokańskie miasto na tureckiej głowie
 N20 litera: ktoś lub ileś
 O7 miasto o leczniczych właściwościach
 P2 usługa za usługę, towar za towar
 P16 motylek na łopacie

PIONOWO:

- 1D „liścik” z krajobrazem
 3A tchu brak z dziesiąteczką?
 3J ten dryg do ciągnięcia zysków
 5A jagoda z Nowego Świata
 5K ona, ona i on
 6G dwuślad na szachownicy
 7A owoc w krtani
 7L linia – granica przedmiotu
 9A cywil zrzeszony przy zakonie
 9L nie danie, a można się najęść?
 12A komponenty i magazyn
 12M skała płynna i gorąca
 14A cebula w spadku po pradziadku
 14M spacerują jedna za drugą
 16A kąt w okręgu
 16L podium dla kątą nad ofiarą
 17F zachwyt wykłaskany
 18A aktor bez twarzy
 18K dodatki do urządzenia
 20A zamieszanie na mapie Ukrainy?
 20J między morzem i morzem
 22D minimalistyczne „rękawki”

Jolka



Znaczenia wyrazów w zmienionej kolejności

- łatwość podporządkowania się domowemu tyranowi
- fryzura z krzaczasto nastroszonych i skręconych włosów
- jezioro w powiecie ostródzkim, w gminie Morąg
- amerykański drapieżnik z rodziny kotów
- poufale do pani Dudziak
- o przepastnej głębi jeziora
- czerwony atrament (z wyrażenia: bum rur)
- maszyna drukarska do składania tekstów
- błahostka, faramuska
- czwarta część litra
- gra na jednym z instrumentów perkusyjnych
- zapach przypalonego mięsa
- bywa dzielony na czworo
- przybudówka przed wejściem do domu
- „... Show”, film z Jimem Carreym
- przesadnie elegancki i wymuskany
- region i miasto na Sycylii
- korzystnej się nie odrzuca
- angielski tytuł przysługujący żonie lorda
- lecą w tytule radzieckiego filmu
- Romeo..., bohater Szekspirowski
- najślynniejszy był z Notre Dame
- konna w terenie lub autem po mieście
- znane, oklepne powiedzenie
- słowa do utworu muzycznego
- zmiana brzmienia samogłoski spotykana w językach germańskich
- przedstawienie przebiegu jakiegoś wydarzenia
- Jacek... -Wolski, eurodeputowany
- Cr na tablicy Mendelejewa
- jest nią absynt i ratafia
- ... Brzeski, miasto na Opolszczyźnie
- amerykański stan nad jeziorem Erie
- imię Disneya, twórcy postaci Myszki Miki
- spiralne na płytach analogowych
- ozdoba choinkowa w postaci błyszczących nitok
- George, najstarszy żyjący spośród byłych prezydentów USA



KSIAŻKA
– TO, CO LŚNI
– DANIELLE STEEL

6,90 euro

Telefon: 02174 8941155

Nicole miała mieć wszystko. Dziewczęta takie jak ona – piękne córki wpływowych rodziców – mogą przebiegać w życiowych szansach. Studia na elitarniej uczelni, praca w prestiżowym magazynie i miłość najbliższych sprawiają, że jej życie wypełnia blask.

Ale nie ma światła bez ciemności, a los prędzej czy później każdemu pokaże swoje mroczne oblicze. Rodzice Nicole giną w zamachu terrorystycznym. Zdruzgotana dziewczyna zostaje sama na świecie.

Życie odłoni przed nią cały swój blask i wielki mrok. Kolejne miłości przyniosą jej zarówno szczęście, jak i ból, a wyzwania sprawiają, że Nicole stanie się silniejsza.

Czy odkryje, co jest w życiu najważniejsze?

I czy mimo zawirowań losu – zdoła poznać samą siebie?

www.sklep.de

e-mail: kundenservice@sklep.de

Reklama

SKUP nieruchomości oraz udziałów w Polsce. Mogą być z lokatorem, zadłużone, spadkowe lub z problemami prawnymi.
Tel. 0048-884-308 046
www.solidnyskup.pl



- pomoc w zakładaniu firm
- kompleksowa obsługa biurowa
- rozliczenia finansowe firm oraz osób prywatnych

Finanzwirt

Marian Gruchel

Lise-Meitner-Str.-1-3, 42119 Wuppertal

Tel.: 0202-60933172

finanzwirt@gruchel.com

Szukasz pracy w Niemczech? Czy mówisz i rozumiesz język niemiecki?
Poszukujemy murarzy, dekarzy, kierowca ciężarówki.
Kontakt: info@deutschewitz.com
www.deutschewitz.com

Polski Sklep w Gevelsberg cieszący się dobrą opinią i zatowarowaniem! 300 m kw. na sklepie, zaplecze 100 m kw., chłodnia podzielona na trzy komory tzn. wędliny, mięso, warzywa, kompletnie wyposażony.
Cena do negocjacji. Proszę o kontakt pod tym numerem na WhatsApp
Tel. 0176-43482673

sklep.de

Damian Ballon
Rechtsanwalt



Alt-Griesheim 18
65933 Frankfurt

Tel. 069-67739093

www.adwokat-frankfurt.pl

Rechtsanwaltskanzlei

Gregor Matuszczyk

Springestraße 8

45894 Gelsenkirchen - Buer

Tel.: 0209 / 318 22 30 (Sekretärin)

Tel.: 0209 / 318 22 22 (direkt)

Fax: 0209 / 318 22 12

Mobil: 0172 / 56 74 289

e-mail: info@ra-matuszczyk.de

Porady prawne w języku polskim i niemieckim

Bürozeiten: Mo.-Fr. 9-12:30 und 15-18 Uhr

Termine nach tel. Vereinbarung

Kancelaria adwokacka w Hamburgu

Rechtsanwältin

Patricia Jurewicz-Behrens

Doradztwo prawne w języku polskim
Prawo rodzinne (specjalizacja)
Prawo pracy (specjalizacja)
Prawo cywilne

Große Theaterstraße 14, 20354 Hamburg

Tel. 040-59460983

kontakt@kanzlei-jurewicz.de

www.kanzlei-jurewicz.de

KANCELARIA ADWOKACKA



DIPL.-JUR. MARKUS G.

MATUSZCZYK

RECHTSANWALT

ADWOKAT • TŁUMACZ PRZYSIĘGŁY

- porady prawne w języku polskim i niemieckim dla firm i osób prywatnych
- reprezentacja przed urzędami i sądami w Niemczech i w Polsce
- wszystkie dziedziny prawa



Kommandanturstr. 8

30169 HANNOVER

tel.: +49 (0) 511 - 35 779 888

e-mail: info@matuszczyk.com

Przyjaciółka z historiami

Magazyn o życiu i ludzkich perypetiach. Historie napisane przez los: o miłości, samotności, problemach w rodzinie i pracy, o najmłodszych i seniorach. W środku znajdziemy także krzyżówki.

Prenumerata roczna (12 miesięcy): 40 €

Prenumerata półroczna (6 miesięcy): 23 €

Zamów prosto do domu

Tel. 02174-89 644 80

abo@prenumerata.de

www.prenumerata.de lub www.sklep.de



DER WILLE VERSETZT BERGE. BESONDERS DER LETZTE.

Ein Vermächtnis zugunsten von
ÄRZTE OHNE GRENZEN kann für
viele Menschen einen ersten Schritt
in ein neues Leben bedeuten.

Wir informieren Sie gerne. Schicken
Sie einfach diese Anzeige an:

ÄRZTE OHNE GRENZEN e.V.
Am Köllnischen Park 1
10179 Berlin



MEDECINS SANS FRONTIERES
ÄRZTE OHNE GRENZEN e.V.

1104985

Kolekcja HARLAN COBEN. ŚLADEM TAJEMNIC

To seria 35 mistrzowskich thrillerów jednego z najbardziej znanych autorów na świecie. Książki Cobena od lat utrzymują się na szczytach list bestsellerów, a wszystkie jego powieści nieustannie zachwycają zwrotami akcji i wymyślnymi intrygami.
W kolekcji ŚLADEM TAJEMNIC czytelnicy oprócz pojedynczych książek Cobena po raz pierwszy znajdą wszystkie książki z serii z kultowym bohaterem, Myronem Bolitarem!
Thrillery zapierające dech w piersiach, wyjątkowe wydania w twardej oprawie, spójna szata graficzna i przystępna cena to wszystko sprawia, że chcesz mieć te książki na półce!
W ramach kolekcji: Bez skrupułów, Nie mów nikomu, Nie odpuszczaj, W głębi lasu, Krótka piłka, Zachowaj spokój, Już mnie nie oszukasz, Bez śladu, Tęsknię za tobą, Tylko jedno spojrzenie, Błkitna krew, Zostań przy mnie, Na gorącym uczynku, Jeden fałszywy ruch, Sześć lat później, Bez pożegnania, Ostatni szczegół, O krok za daleko, Niewinny, Najczarniejszy strach, Nieznajomy, Jedyna szansa, Obiecaj mi, Klinika śmierci, Zaginiona, Mistyfikacja, Wszyscy mamy tajemnice, Schronienie, Kilka sekund od śmierci, Odnaleziony, W domu, Chłopiec z lasu, Mów mi Win, Brakujący element, Za wszelką cenę.



KSIAŻKI Z SERII ŚLADEM TAJEMNIC



Zamówienia:

Tel. 02174-8964480, kolejne tomy co dwa tygodnie na: www.sklep.de

Hurt i kolportaż polskiej prasy

Tel. 02174 - 894 11 55

Fax 02174 - 894 11 56

Dr. Andrzej Remin

adwokat/Rechtsanwalt

FACHANWALT für ERBRECHT

(adwokat - specjalista od prawa spadkowego)
tłumacz przysięgły języka niemieckiego
kancelarie adwokackie w Niemczech, Polsce i Austrii

obsługa w języku polskim

postępowania spadkowe, zachowek, testamenty,
dziedziczenie ustawowe
w Niemczech i w Polsce
sprawy rodzinne (rozwoły, alimenty)
obrońca w sprawach karnych

50672 KÖLN

Hohenzollernring 1-3

Telefon: 0221.925.37.56

Telefax: 0221.925.37.58

komórka: 0172.290.22.13

www.remin.de

e-mail: remin@t-online.de

Świnoujście

2 pokojowe mieszkanie wakacyjne z garażem.
Cena 1050 Euro za tydzień

tel. +48 609 237544
biuro2@hotelpolaris.pl

Schütze, was du liebst.
Mit deiner Spende.



FÖRDERVEREIN
NRW-STIFTUNG
NATUR · HEIMAT · KULTUR

Ein Teil von dir.

www.schuetze-was-du-liebst.de

Międzywodzie – cicha miejscowość nadmorska

Kameralny obiekt ze strefą SPA i domową kuchnią.
Blisko wejścia na plażę, przy lesie. Nocleg ze śniadaniem i obiadokolacją, dostęp do SPA w cenie. Obiekt z windą.

Wakacje pokój 2-osobowy 520 zł/doba HP.

recepca@pensjonat-lazur.pl
www.pensjonat-lazur.pl
+48 603 598102

Lazur
Wellness & Spa

**Domek z działką w Świnoujściu**

Dom drewniany, ocieplony, pętrowy, 70 m², ma 2 lata + Taras 14 m². 3 Pokoje + kuchnia i łazienka, wszystko nowe umeblowane. Wszystkie Media, TV + internet.
Działka 500 m².

Cena wywoławcza 450.000,- PLN.

OKAZJA!

Telefon: +48/533-774455

+49/0178-2187446, +49/030-49872663



prenumerata.de

Sat-Rudek
TV-Sat- & Antennentechnik

Polska telewizja satelitarna

- z umową lub bez umowy

Doładowanie kart NC+, TNK

Szeroka oferta dekodowników, moduły CI

Sprawdź ofertę na stronie:

www.sat-rudek.de

Tel. 05031 9585207

0176 6259 68 61

GWARANCJA NISKICH CEN I PEŁNEGO SERWISU!

**Rechtsanwälte**

uprawnieni do występowania przed wszystkimi sądami w Niemczech

Markus Hüsches

Fachlehrgang Arbeitsrecht

Dierk Bernhardt

(ausgeschieden zum 31.12.2019)

Marlies Ziemer

Dr. Monika Everschor

Fachanwältin für Verkehrsrecht

Herbert Ziemer †

Max Ziemer

zugleich Fachanwalt für Miet- & WEG-Recht
zugleich Fachanwalt für Strafrecht

Mirka Johanna Ziemer

Fachanwältin für Familienrecht
Rechtsberatung auch in polnischer Sprache



Rechtsanwältin

Mirka Johanna Ziemer
(geb. Barski)

Fachanwältin

für Familienrecht

Specialistka prawa rodzinnego

Porady i obsługi w języku niemieckim
i polskim we wszystkich dziedzinach prawa

Öffnungszeiten: montags bis freitags von 08.00 Uhr - 18.00 Uhr
- Sprechstunden nach Vereinbarung -

Anschrift: Römerstr. 32, 53840 Troisdorf
(pomiedzy Köln i Bonn / naprzeciwko Burg Wissem)

Tel: 02241/75001 - Fax: 02241 / 79690
Email: info@bzwzh.de



**CENTRUM
DENTYSTYCZNE
Dr. Prośniak**

Usługi dentystyczne
Wszystkie specjalności
Na miejscu Labor i RTG

Katowice ul. Zbożowa 20

Katowice ul. Dębowa 4

Tel. 0048 32 202 90 95

www.centrumdentystyczne.pl

biurop@centrumdentystyczne.pl



Jesteśmy
dla was online

www.samo-zycie.de

Linia Ziola Mnicha stworzona została z myślą o osobach ceniących tradycyjne składniki oraz sprawdzone receptury. Dzięki temu pełnią bardzo wiele ważnych funkcji dla organizmu. Sięgnij po bogactwo natury starannie zamknięte w małych torebkach, by korzystać w pełni z właściwości, aromatu i smaku jakie oferują Ziola Mnicha.



1,55 €
opakowanie
20 torebek

więcej na stronie:

www.sklep.de

lub telefonicznie:

02174 8964480

Herbatka z morwy białej to idealny wybór dla tych, którzy pragną wspierać utrzymanie prawidłowego poziomu cukru. Liście morwy białej mogą przyczynić się do utrzymania równowagi metabolizmu węglowodanowego w organizmie.



Herbatka ziołowa skrzyp Herbatol Skrzyp wspomaga utrzymanie prawidłowego stanu skóry, włosów i paznokci oraz wspiera remineralizację organizmu. Przyczynia się także do prawidłowej pracy układu krążenia. Herbatol to doskonały przykład połączenia tradycji z nowoczesnością, cieszący się tym, co najcenniejsze – zaufaniem czterech pokoleń konsumentów.

Kontakt do działu reklamy:

Tel. 02174 896 44 80

(pon.-wt. od 9:00-15:00)

Fax 02174 896 44 81

E-mail: werbung@samo-zycie.com

www.samo-zycie.com



Unikatowe mydła naturalne z miodem, propolisem, pyłkiem i woskiem pszczelim.

Produkty pszczele są cennymi surowcami używanymi w kosmetyce – mają wyjątkowo pozytywne oddziaływanie na skórę człowieka. Pozyskane z naszej własnej Markowej Pasieki, zlokalizowanej na skraju Puszczy Knyszyńskiej, wśród łąk pełnych dzikich kwiatów i ziół, z dala od pól uprawnych rolnictwa wielkoobszarowego.

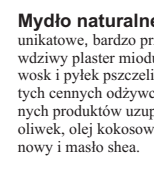
Kosmetyki - Mydła	Cena
Mydło naturalne trawa cytrynowa z glinką zieloną, spiruliną i miodem	6,90
Mydło naturalne kawa cynamonowa z miodem	6,90
Mydło naturalne len z pyłkiem pszczelim	6,90
Mydło naturalne nagietek w słodkiej pomarańczy	6,90
Mydło naturalne awokado z jedwabiem i mniszkiem lekarskim	6,90
Mydło naturalne kakaowe z miodem malinowym i olejem ryżowym	6,90
Mydło naturalne peeling morelowy z jedwabiem, miodem i glinką białą	6,90
Mydło naturalne plaster miodu	6,90
Mydło naturalne rozmaryn z miętą	6,90
Mydło naturalne konopie z młodym jęczmieniem	6,90
Mydło naturalne węglowe z miodem, masłem shea, eukaliptusem i lawendą	6,90
Mydło naturalne Propolisowe	6,90
Dezodorant w kremie bergamotka z lemonką	7,90
Balsam do ciała w kostce - Mandarynka	9,90
Balsam do ciała w kostce - Zielone ukojenie	9,90



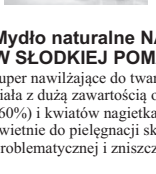
Mydło naturalne PROPOLISOWE
przeznaczone do każdego rodzaju skóry, w szczególności do pielęgnacji skóry problematycznej, wymagającej regeneracji, skłonnej do powstawania zmian łojotokowych, zmagającej się z trądzikiem.



Mydło naturalne KAKAOWE Z MIODEM MALINOWYM I OLEJEM RYŻOWYM
kojące i łagodne, bezzapachowe z dodatkiem oleju ryżowego, miodu i kakao świetnie nadaje się dla osób z cerą suchą oraz często podrażnioną.



Mydło naturalne PLASTER MIODU
unikatowe, bardzo przypomina prawdziwy plaster miodu: zawiera miód, wosk i pyłek pszczele. Kompozycje tych cennych odżywczo pielęgnacyjnych produktów uzupełnia oliwa z oliwek, olej kokosowy, olej rycynowy i masło shea.



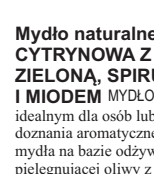
Mydło naturalne AWOKADO Z JEDWABIEM I MNISZKIEM LEKARSKIM
o bardzo wysokich właściwościach odżywczych, nawilżających i łagodzących, skóra wrażliwa, delikatna, również podrażniona oraz starzejąca się.



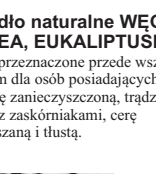
Mydło naturalne PEELING MORELOWY Z JEDWABIEM MIODEM I GLINKĄ BIAŁĄ
do ciała o działaniu peelingującym, do każdego rodzaju cery, o delikatnym słodkim, przyjemnym aromacie.



Mydło naturalne TRAWA CYTRYNOWA Z GLINKĄ ZIELONĄ, SPIRULINĄ I MIODEM
MYDŁO NA SZNURKU idealnym dla osób lubiących rześkie doznania aromatyczne, ceniących mydła na bazie odżywczej, mocno pielęgnującej oliwy z oliwek.



Mydło naturalne WĘGLOWE Z MIODEM, MASŁEM SHEA, EUKALIPTUSEM I LAWENDĄ
jest przeznaczone przede wszystkim dla osób posiadających skórę zanieczyszczoną, trądzikową, z zaskórnikami, cerę mieszaną i tłustą.



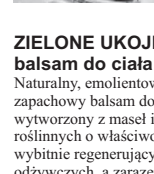
Mydło naturalne KAWA CYNAMONOWA Z MIODEM
o lekkich właściwościach peelingujących z wykorzystaniem mocnego naparu z mielonej kawy, cynamonu (mielonego oraz pod postacią olejku eterycznego) oraz miodu.



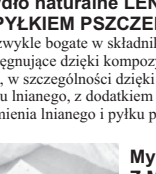
Mydło naturalne LEN Z PYŁKIEM PSZCZELIM
niezwykle bogate w składniki odżywczo-pielęgnujące dzięki kompozycji sześciu olei, w szczególności dzięki zawartości oleju lnianego, z dodatkiem mielonego siemienia lnianego i pyłku pszczelego.



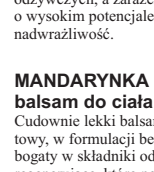
Mydło naturalne ROZMARYN Z MIĘTĄ
baaardzo ziołowe - wykonane na bazie olejowego maceratu rozmarynowego oraz olejków eterycznych rozmarynowego i miętowego. Polecane szczególnie do skóry problematycznej, trądzikowej, tłustej.



Mydło naturalne KONOPIE Z MŁODYM JĘCZMIENIEM
z dużą zawartością oleju z konopi siewnej o właściwościach regenerująco-nawilżających, przeznaczone szczególnie do skóry delikatnej, wrażliwej, alergicznej, potrzebującej ukojenia i ochrony.



Mydło naturalne BALSAM DO CIAŁA W KOSTCE
Naturalny, emolientowy, bezzapachowy balsam do ciała, wytworzony z masel i olejków roślinnych o właściwościach wybitnie regenerujących i odżywczych, a zarazem NIE zawierających składników o wysokim potencjale alergizującym lub powodujących nadwrażliwość.



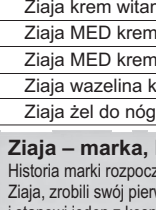
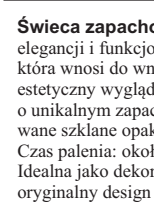
Mydło naturalne BALSAM DO CIAŁA W KOSTCE
Cudownie lekki balsam emolientowy, w formulacji bezwodnej, bogaty w składniki odżywcze i regenerujące, które pomagają utrzymać optymalny stopień nawilżenia i natłuszczenia skóry. Otula ciało ciepłym, słonecznym, radosnym zapachem czerwonych mandarynek.



Mydło naturalne BALSAM DO CIAŁA W KOSTCE
Cudownie lekki balsam emolientowy, w formulacji bezwodnej, bogaty w składniki odżywcze i regenerujące, które pomagają utrzymać optymalny stopień nawilżenia i natłuszczenia skóry. Otula ciało ciepłym, słonecznym, radosnym zapachem czerwonych mandarynek.

Świece zapachowe	Cena
Bispol świeca zapachowa w szkle. Delikatne kwiaty	1,75
Bispol świeca zapachowa w szkle. Letnie owoce	1,75
Bispol świeca zapachowa w szkle. Zmysłowe kwiaty	1,75

Świeca zapachowa w karbowanym szkle Aura to harmonijne połączenie elegancji i funkcjonalności. Jest częścią limitowanej serii, która wnosi do wnętrza delikatny zapach oraz estetyczny wygląd. Limitowana seria o unikalnym zapachu, stylowe, karbowane szklane opakowanie. Czas palenia: około 18 godzin. Idealna jako dekoracja lub prezent, oryginalny design przyciągający wzrok.



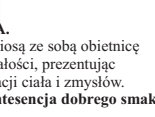
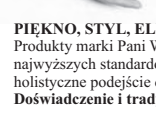
Kosmetyki - Być może...	Cena
Być może... LONDON perfumy 10ml	4,50
Być może... NEW York perfumy 10ml	4,50
Być może... PARIS perfumy 10ml	4,50
Być może... ROME perfumy 10ml	4,50
Być może... TOKYO perfumy 10ml	4,50



Kto nie zna Pani Walewskiej?
Początek pięknej historii ikony polskiego rynku kosmetycznego. A wszystko zaczęło się 50 lat temu, w krakowskiej fabryce na Zabłociu.

Sila tkwi w flakonie!
Charakter marki podkreślają wysmakowane, powalające szlachetnym minimalizmem opakowania, które wyróżnia unikatowy kształt, stylizowany na kapelusz Napoleona.

PIĘKNO, STYL, ELEGANCJA.
Produkty marki Pani Walewska niosą ze sobą obietnicę najwyższych standardów doskonałości, prezentując holistyczne podejście do pielęgnacji ciała i zmysłów. **Doświadczenie i tradycja. Kwintesencja dobrego smaku i stylu.**



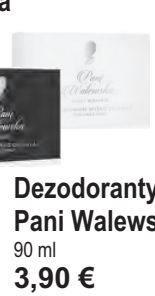


Perfumy Pani Walewska
30 ml
7,90 €





Mydła Pani Walewska
100 g
0,99 €



Dezodoranty Pani Walewska
90 ml
3,90 €

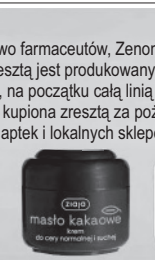
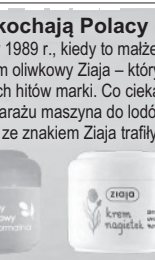
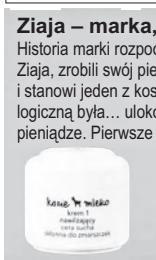
Kosmetyki - Pani Walewska	Cena
Pani Walewska dezodorant classic 90ml	3,90
Pani Walewska dezodorant sweet romance 90ml	3,90
Pani Walewska dezodorant white 90ml	3,90
Pani Walewska mydło classic 100g	0,99
Pani Walewska mydło sweet romance 100g	0,99
Pani Walewska mydło gold 100g	0,99
Pani Walewska mydło white 100g	0,99
Pani Walewska mydło noir 100g	0,99
Pani Walewska perfumy classic 30ml	7,90
Pani Walewska perfumy gold 30ml	7,90
Pani Walewska perfumy noir 30ml	7,90
Pani Walewska perfumy sweet romance 30ml	7,90
Pani Walewska perfumy white 30ml	7,90
Pani Walewska krem nawilżający olej z awokado na dzień 50ml	6,60
Pani Walewska krem półtłusty na dzień i noc 50ml	6,60
Pani Walewska krem przeciw zmarszczkom na dzień i noc 50ml	6,60
Pani Walewska krem tłusty na dzień i noc 50ml	6,60





Kosmetyki - Ziaja	Cena
Ziaja krem aloe nieperfumowany 50ml	2,40
Ziaja krem do rąk i stóp głęboko odżywczy 50ml	2,30
Ziaja krem do rąk ochronny z ekstraktem bawełny 100ml	1,65
Ziaja krem do rąk z proteinami jedwabiu 100ml	1,75
Ziaja krem do rąk z proteinami kaszmiru i masłem shea 100ml	1,90
Ziaja krem do stóp głęboko nawilżający 80ml	2,80
Ziaja krem do stóp na pękającą skórę pięt 60ml	2,80
Ziaja krem kozie mleko 1 nawilżanie 50ml	3,80
Ziaja krem kozie mleko 2 odżywianie 50ml	3,80
Ziaja krem masło kakaowe 50ml	2,20
Ziaja krem nagietek 100ml	3,50
Ziaja krem ogórkowy 100ml	3,50
Ziaja krem oliwkowy 50ml	2,20
Ziaja krem oliwkowy lekka formuła 50ml	2,30
Ziaja krem oliwkowy z filtrem UV 50ml	2,60
Ziaja krem pod oczy kozie mleko 15ml	2,90
Ziaja krem pod oczy z witaminą E 15ml	2,20
Ziaja krem rumianek nieperfumowany 50ml	2,40
Ziaja krem witaminy tłusty 50ml	2,20
Ziaja MED krem do rąk mocznik ultranawilżający 100ml	8,50
Ziaja MED krem do stóp mocznik ultranawilżający 100ml	8,50
Ziaja wazelina kosmetyczna 30ml	1,50
Ziaja żel do nóg kasztanowy 100ml	2,50

Ziaja – marka, którą kochają Polacy
Historia marki rozpoczęła się w 1989 r., kiedy to małżeństwo farmaceutów, Zenon i Aleksandra Ziaja, zrobili swój pierwszy krem oliwkowy Ziaja – który zresztą jest produkowany do dziś i stanowi jeden z kosmetycznych hitów marki. Co ciekawe, na początku całą linią technologiczną była... ulokowana w garażu maszyna do lodów – kupiona zresztą za pożyczone pieniądze. Pierwsze kosmetyki ze znakiem Ziaja trafiły do aptek i lokalnych sklepów.





Coś na lato!

Więcej książek na: www.sklep.deZamówienia telefoniczne: **02174 8964480**Zamówienia pisemne: **Verlag Matuszczyk KG, Luisental 2, 51399 Burscheid**

Słuchowiska	Cena
Bestia z Buchenwaldu - Max Czornyj / czyta: Anna Grochowska, 396 min., CD MP3	9,90
Drach edycjoń słonsko - Szczepan Twardoch / czyta: Dariusz Chojnacki , 692 min., CD MP3	9,90
Efekt morza. Hubert Meyer psycholog śledczy - Katarzyna Bonda / czyta: Adam Bauman, 715 min., CD MP3	9,90
Kat Hitlera - Max Czornyj / czyta: Leszek Filipowicz, 410 min., CD MP3	10,90
Na więzi. Detektyw Jakub Sobieski - Katarzyna Bonda / czyta: Adam Bauman, 689 min., CD MP3	9,90
Strach. Opowiadania kresowe - Stanisław Srokowski / czyta: Michał Breitenwald, 544 min., CD MP3	10,90
Żydzi i Polacy 1918–1955. Współistnienie, zagłada, komunizm - Marek Jan Chodakiewicz / czyta: Konrad Biel, 1829 min., CD Mp3	11,90



Bestia z Buchenwaldu - Max Czornyj

CD Mp3, 396 min.

Wydarzenia w tej książce są oparte na faktach, prawda bywa bardziej przerażająca od najwymyślniejszej fikcji. Człowiek jest zdolny do wszystkiego. Ilse Koch dokonała okrutnych czynów, wiedząc, że Buchenwald w wyjątkowo bestialski sposób zęcała się nad więźniami, była jedną z najbardziej odrażających sadystek w historii. W willi kochów odnaleziono wyroby z ludzkiej skóry. Co sprawiło, że uroczą dziewczyną stała się wyrafinowaną sadystką? Zaskakujące, jak łatwo człowiek adaptuje się do zmian. Wydarzenia w tej książce są oparte na faktach, prawda bywa bardziej przerażająca od najwymyślniejszej fikcji. Człowiek jest zdolny do wszystkiego.



Efekt morza. Hubert Meyer psycholog śledczy - Katarzyna Bonda, CD Mp3, 715 min.

Tajemnicze zniknięcie dziewiętnastoletki wstrząsnęło całym krajem. Mimo intensywnych działań prowadzonych przez policję, detektywów, jasnowidzów i rodzinę – dziewczynę nie udało się odnaleźć. Kilkanaście lat później w tym samym nadmorskim miasteczku znaleziono zwłoki. Sprawa wygląda na beznadziejną – denat ma zmasakrowaną twarz i nie wiadomo, czy to samobójstwo, wypadek, czy może inscenizacja. Wśród lokalnej społeczności nie milną głosy, że mężczyzna mógł wiedzieć, co się stało z zaginioną Martą Berg. Do śledztwa zostaje zaangażowany Hubert Meyer. Czy profiler przerwie panującą zmnowę milczenia? Kto z otoczenia Marty wie więcej, niż chce przyznać? Kim jest denat i czy za swoją wiedzę zapłacił życiem?



Strach. Opowiadania kresowe - Stanisław Srokowski

CD Mp3, 544 min.

„Najpierw bandy OUN zaatakowały sąsiednie wsie. Potem przeniosły się na północ. Płonął Wołyn a po nim Podole i Pokucie. Płonęły Kresy. Ogarniał nas przerażający strach. Widzieliśmy cały koszmarny zniszczenia, degradację człowieka i natury ludzkiej” – Stanisław Srokowski. Autor pozostaje wierny tematyce kresowej. Jego opowiadania ukazują bezmiar okrucieństwa, cierpienia oraz dramat ludobójstwa. „Strach” rozszerza i pogłębia tę tematykę. Srokowski przenosi ją – po latach – do naszych czasów. Oddaje klimat zbrodni, pokazuje zwyrodnienia i degenerację istoty ludzkiej wyrastające z obłędnej ideologii integralnego nacjonalizmu.



Córka nazisty

Przejmująca powieść o przeszłości, która nie pozwala o sobie zapomnieć. O strasznych czasach II Wojny Światowej i o miłości na przekór wszystkiemu. O dzieciach, które nie powinny odpowiadać za winy swoich rodziców.



Drach

Krwawa, miłosna, pierwotna. Totalna. Wymykająca się regułom saga z ziemi przekłejtej... Drach widzi wojny, powstania, narodziny i śmierć, chwile trwogi i rozkoszy...



Esesman i Żydówka

Pełna niespodziewanych zwrotów akcji, barwnych postaci, osadzona w realiach II wojny światowej powieść, w której nie jest proste, ale wszystko staje się możliwe, gdy w grę wchodzi uczucia.



Lekarz z Auschwitz

Józef Bellert – cichy bohater, którego biografią można obdzielić kilkanaście osób. Lekarz, który ocalonym z piekła przywrócił godność, zdrowie i wiarę w drugiego człowieka.

Siostra nazisty - Wiktoria Gische

Brat staje się zdrajcą. Ukochany wrogiem. Ona musi odnaleźć siłę, by stawić czoło wojnie. Jak dużo można poświęcić dla miłości?

To spotkanie odmieni całe jej życie. Marta, młoda Ślązaczka, podczas nocy sylwestrowej zakochuje się bez pamięci w przystojnym Niemcu. Ich miłość wydaje się bajkowa do czasu wybuchu wojny. Bez akceptacji rodziny, na przekór wszystkiemu, walczą o swoje uczucia. Sytuację dodatkowo komplikuje fakt, że jeden z braci Marty jest zafascynowany nazizmem. Odwraca się od rodziny i angażuje w politykę.

Martę targają skrajne emocje. Z jednej strony bezgranicznie kocha męża, a z drugiej całym sercem pragnie pokoju. Co zrobi? Jak potoczą się losy jej podzielonej przez wojnę rodziny?

Inspirowana prawdziwymi wydarzeniami, pełna sprzeczności opowieść o miłości, tragicznych dylematach i podziałach narzuconych przez historię. Poruszy najgłębsze zakamarki waszych serc.



Książki - Powieści	Cena
Bestia z Buchenwaldu - Max Czornyj	8,90
Chłopiec z listy Schindlera - Leon Leyson	8,90
Ci, którzy przeżyli. Stulecie Winnych. Tom 1 - Alben Grabowska	9,90
Ci, którzy walczyli. Stulecie Winnych. Tom 2 - Alben Grabowska	9,90
Ci, którzy wierzyli. Stulecie Winnych. Tom 3 - Alben Grabowska	9,90
Córka fałszerza - Joanna Jax	17,90
Córka nazisty - Max Czornyj	9,90
Doktor Anna. Uczniowie Hippokratesa. Tom 2 - Alben Grabowska	10,90
Doktor Bogumił. Uczniowie Hippokratesa. Tom 1 - Alben Grabowska	10,90
Doktor Zosia. Uczniowie Hippokratesa. Tom 3 - Alben Grabowska	10,90
Drach - Szczepan Twardoch	13,90
Duma i gniew. Spisek - Joanna Jax	10,90
Duma i gniew. Uciekinierzy - Joanna Jax	10,90
Dziewczynka w zielonym sweterku - Daniel Paisner, Krystyna Chiger	15,90
Esesman i Żydówka. Wojna i miłość - Justyna Wydra	10,90
Król - Szczepan Twardoch	12,90
Którędy na wolność? - Marta Byczkowska-Nowak	7,90
Lekarz z Auschwitz - Szymon Nowak	12,90
Lwowska odyseja tom 1. Pora westchnień, pora burz - Magdalena Kawka	10,90
Lwowska odyseja tom 2. Powrót z piekła - Magdalena Kawka	10,90
Lwowska odyseja tom 3. Nowy początek - Magdalena Kawka	10,90
Lwowska odyseja tom 4. Trudna radość - Magdalena Kawka	10,90
Lwowska odyseja tom 5. Krąg życia - Magdalena Kawka	10,90
Matki i córki - Alben Grabowska	9,90
Miłość 44. 44 prawdziwe historie powstańczej miłości - Agnieszka Cudała	8,90
Miłość i wojna - Max Czornyj	10,90
Miłość pod czerwoną gwiazdą - Joanna Jax	12,90
Morfina - Szczepan Twardoch	13,90
Najważniejsze to przeżyć - Alben Grabowska	10,90
Oficer i Szpieg - Robert Harris	8,90
Podróż Cilki - Heather Morris	10,90
Północ i południe tom 1 - Elizabeth Gaskell, tw.opr.	9,90
Północ i południe tom 2 - Elizabeth Gaskell, tw.opr.	9,90
Saga dworska. Kolor róż - Krystyna Mirek	9,90
Saga dworska. Kwiatowy dwór - Krystyna Mirek	9,90
Saga dworska. Zapach bzów - Krystyna Mirek	9,90
Saga dworska. Kolor róż + Kwiatowy dwór + Zapach bzów - Krystyna Mirek	22,90
Saga Estery. Ostatnie dni beztroski - Wiktoria Gische	9,90
Saga Estery. Pierwsze dni niepokoju - Wiktoria Gische	9,90
Saga Estery. Zaręczona z nazistą - Wiktoria Gische	9,90
Siła kobiet - Barbara Wysoczańska	9,90
Siostra nazisty - Wiktoria Gische	9,90
Smak wolności - Joanna Jax	9,90
Tatuażysta z Auschwitz - Heather Morris	8,90
Trzy siostry - Heather Morris	9,90
Uciekłem z getta - John Carr	12,90
Wojenna miłość - Joanna Jax	10,90
Zdrada pod czerwoną gwiazdą - Joanna Jax	12,90



Agnieszka Cudała

Miłość 44.

44 prawdziwe historie powstańczej miłości
Wzruszające, dramatyczne, niezwykle opowieści o gorących porywach serca, seksie, który w najstraszniejszych chwilach stawał się namiastką bliskości...



Max Czornyj

Miłość i wojna

Łódź. Ziemia Obiecana. 1938 rok.
Czasem lepiej nie próbować wydobyć na wierzch okropnych historii. Zagrzebane w pamięci nie są tak bardzo szkodliwe, jak wypuszczone na wolność.



Szczepan Twardoch

Morfina

Szalona, transowa... powieść psychologiczna, historyczna, sensacyjna, skandaliczna. Pierwsze dni okupacji niemieckiej. Warszawa trwa w niepewności.



Heather Morris

Tatuażysta z Auschwitz

Zadaniem Lale Sokolow było tatuowanie numerów na przedramionach przybywających do obozu więźniów. Naznaczanie ich. Pewnego dnia w kolejce stała młoda przerażona dziewczyna, Gita.

Pełna emocji opowieść o uczuciach wystawionych na próbę, rodzinnych sekretach i walce o przetrwanie w czasach burzliwej historii. Wielkie namiętności, dramatyczne wybory i losy splecione przez wojnę – ta saga poruszy Was do głębi!



Saga Estery – miłość, tajemnice i wojenne burze

Trzytomowa Saga Estery to porywająca opowieść o namiętnościach, rodzinnych sekretach i losach splecionych przez historię. W tle krakowskie kamienice, eleganckie salony Wiednia i mroczne cienie nazistowskich Niemiec.

Estera Kaufmann dorasta w świecie, który wydaje się pełen możliwości, ale rzeczywistość szybko burzy te marzenia. Miłość, którą obdarza tajemniczego mężczyznę, zostaje wystawiona na ciężką próbę, a decyzje podjęte w młodości będą miały dramatyczne konsekwencje. Tymczasem nad Europą zbierają się wojenne chmury, a granice dobra i zła stają się coraz bardziej nieostre.

Czy w świecie pełnym chaosu i podziałów można ocalić to, co najważniejsze? Jakie tajemnice skrywało serce bohaterów? Saga Estery to pełna emocji historia, która wciąga od pierwszej do ostatniej strony.

SAGA ESTERY

NIEZWYKŁA TRYLOGIA

WIKTORIA GISCHE

Siła i determinacja

ONE ODMIENIŁY ŚWIAT

**Hatszepsut**

1502 – 1458 p.n.e.

Hatszepsut to władczyni Egiptu. Była najdłużej sprawującą władzę faraonem kobietą. Zasłynęła z wielu dokonań budowlanych. Najważniejszym dziełem jej życia była Świątynia Milionów Lat w Deir el-Bahari.

Kleopatra

69 – 30 p.n.e.

Władła Egiptem, była bezpośrednio zaangażowana w kierowanie państwem zmagającym się z wieloma trudnościami. O jej urodzie pisało się przez całe wieki po jej śmierci.

**Maria z Nazaretu**

przed 20 p.n.e. – po 30 n.e.



Matka Jezusa, czczona zarówno przez chrześcijan, jak i muzułmanów, prawdopodobnie najsłynniejsza kobieta w historii.

Joanna d'Arc

1412 – 1431

Znana jako Dziewica Orleańska. Francuska bohaterka narodowa, która podczas wojny stuletniej poprowadziła armię francuską do kilku ważnych zwycięstw. Spalona na stosie w wieku zaledwie 19 lat. Na początku XX wieku beatyfikowana i kanonizowana.

**królowa Wiktoria**

1819 – 1901

Pozostaje jednym z najbardziej ikonicznych władców Wielkiej Brytanii. Ukoronowana w 1837 roku, była świadkiem olbrzymich przemian społecznych i ekonomicznych w Imperium Brytyjskim.

**Cixi**

1835 – 1908

Xiaoqin Xian – Cixi była cesarową Chin z dynastii Qing. W swoim kraju bezsprzecznie stała się najpotężniejszą kobietą, która bezwzględными metodami utrzymywała się przy władzy. Jednak okres jej panowania to czas dominacji obcych mocarstw.

**Coco Chanel**

1883 – 1971

Ikona stylu, która zrewolucjonizowała świat mody. Wylansowała proste, minimalistyczne fasony, pozbawione ozdób suknie. Kobiety pokochały jej legendarną małą czarną i jedyną tolerowaną przez Chanel biżuterię – perły.

**Maria Skłodowska-Curie**

1867 – 1934

Polska fizyczka i chemiczka, zdobyła Nagrodę Nobla dwukrotnie: w 1903 i 1911 roku. Zapoczątkowała nową gałąź nauki – radiochemię. Odkryła dwa nowe pierwiastki: rad i polon. Dzięki niej rozpoczęto badanie nowych metod leczenia raka z wykorzystaniem promieniotwórczości.

**Indira Gandhi**

1917 – 1984

Jedyna kobieta sprawująca funkcję premiera w Indiach. Została zamordowana przez sikhijskich fundamentalistów. W plebiscycie BBC w 1999 roku została uznana za Kobietę Tysiąclecia.

Margaret Thatcher

1925 – 2013

Pierwsza kobieta na stanowisku premiera Wielkiej Brytanii. Poradziła sobie z politycznym rozbiemem i ekonomiczną recesją. Z uwagi na swoje decyzje polityczne i sposób sprawowania władzy została nazwana Żelazną Damą.

**Malala Yousafzai**

ur. 1997

Okrzyknięta pakistańską działaczką na rzecz praw kobiet (zwłaszcza prawa do edukacji), w 2014 roku została laureatką Pokojowej Nagrody Nobla – najmłodszą w historii. Odważyła się sprzeciwić talibom i podjąć walkę o prawo dziewcząt do nauki.



SŁYNNE POLKI

św. Jadwiga Andegaweńska

1373 – 1399



Pierwsza kobieta na polskim tronie, jej ślub z wielkim księciem Jagiellą przypieczętował unię Polski z Litwą. Opiekunka szpitali i kościołów, przyczyniła się do odnowienia Akademii Krakowskiej.

Bona Sforza

1494 – 1557

Królowa, włoska żona Zygmunta Starego, dążyła do poprawy międzynarodowej pozycji Polski. Zawdzięczamy jej rozpropagowanie włoskiej kultury, obyczajów i potraw.

**Emilia Plater**

1806 – 1831

Bohaterka narodowa Polski, Litwy i Białorusi, jedna z wielu kobiet walczących w powstaniu listopadowym.

**Helena Modrzejewska**

1840 – 1909

Aktorka o międzynarodowej sławie specjalizująca się w rolach tragicznych. Jedna z najpiękniejszych kobiet swej epoki.

**Pola Negri (Apolonia Chałupiec)**

1896 – 1987

Gwiazda kina niemego, do dziś najbardziej znana na świecie polska aktorka.

**Wanda Rutkiewicz**

1943 – 1992

Jako pierwsza Europejka stanęła na szczycie najwyższej góry świata – Mount Everest, a jako pierwsza kobieta w historii – na szczycie K2.

**Irena Sendlerowa**

1910 – 2008

Pielęgniarka, działaczka społeczna, podczas drugiej wojny światowej pracowała w Radzie Pomocy Żydom „Żegota”, uratowała od śmierci ok. 2500 żydowskich dzieci.

**Wisława Szymborska**

1923 – 2012

Polska poetka, felietonistka, tłumaczka. Jest jedną z niewielu kobiet, które zostały laureatkami Nagrody Nobla w dziedzinie literatury. Przez całe swoje życie opublikowała zaledwie 350 wierszy.

